

Siegfried
Lenz

Biuro rzeczy znalezionych



CZYTELNIK

Siegfried Lenz
Biuro rzeczy znalezionych

Przełożyła Sława Lisiecka

CZYTELNIK
Warszawa 2006

Thomasowi Ganske

Wreszcie Henry Neff odnalazł biuro rzeczy znalezionych. Radośnie wkroczył do pustej, nieprzytulnej poczekalni, gdzie znajdował się jedynie czarny pulpit do pisania, odłożył torbę z płótna żeglarskiego, między której uchwytami leżał kij hokejowy, i skinął głową starszemu mężczyźnie, stojącemu przed szerokim zasuwany oknem, gdy ten — prawdopodobnie już nie po raz pierwszy — naciskał guzik dzwonka. Za oknem, w głębi pomieszczenia, którego istnienie dało się zaledwie przeczuć, rozległ się dziwny łoskot, brzmiący tak, jakby kółka uderzała najpierw raz na jakiś czas, a potem z ogromną szybkością waliła w dzwonek, po chwili zaś dało się słyszeć kroki kogoś, kto najwyraźniej przybywa z wielkiej oddali. Stary, ciemno ubrany mężczyzna, noszący czarny krawat do białej koszuli, spojrzał z ulgą na Henry'ego, poruszył wargami, jakby przezornie wypróbował słowa, obmacał kieszenie, nie znajdując tego, czego szukał, a kiedy za mleczną szybą pojawiła się ciemna sylwetka, przesunął ręką po włosach i mocniej zaciągnął krawat.

Ktoś uniósł z impetem okno i Henry po raz pierwszy ujrzał Bussmanna, Alberta Bussmanna — czło-

wieka o markotnej twarzy, w zbyt obszernym, poplamionym fartuchu, który przy bardziej zamasztych ruchach zdawał się go owiewać. Na pytające spojrzenie Bussmanna Henry ustąpił pierwszeństwa starcowi — ten pan był tutaj przede mną — oparł się o pulpity i z pełnym satysfakcji zaciekawieniem przysłuchiwał się pertraktacjom, jakie przypuszczalnie sam będzie niebawem prowadził, odniósł nawet wrażenie, iż jeszcze przed rozmową o swoim zatrudnieniu w tym miejscu otrzymuje świetną lekcję pogładową.

Starszy pan oznajmił, że zgubił portfel, na dworcu, przy kasie, brązowy portfel — skóra stara i już trochę popękana. Bussmann obojętnie skinął głową, gdyż zguba wydała mu się nader pospolita, więc prawie o nic nie pytał, tylko wytrwale przyglądał się dłoniom starca, a potem odwrócił się bez słowa i podszedł do metalowej szafy, szafy z przedmiotami wartościowymi, którą otworzył przy użyciu dwóch kluczy. Chociaż Bussmann stał tyłem do obu przybyszów, uwadze Henry'ego nie uszło, że przy czymś tam manipuluje, sięga po coś, obmacuje to i z powrotem odkłada, by wreszcie wziąć jakąś rzecz i ukryć ją w dużej kieszeni fartucha. Nie dał po sobie poznać, czy znalazł przedmiot zgubiony przez starca, zapytał jedynie, jaki monogram widnieje na portfelu, na co petent odpowiedział pytaniem:

— Monogram? Jaki monogram?

Bussmann zadowolił się tą odpowiedzią, a następnie postanowił się upewnić, czy starszy pan przypomina sobie kwotę, jaką miał ze sobą.

— Tak, nie, to znaczy owszem — powiedział —

było tam osiemset marek, zanim kupiłem bilet, bilet do Frankfurtu, bo zamierzam pojechać na pogrzeb siostry.

Później przypomniał sobie również, że bilet kosztował dwieście trzydzieści marek, z dopłatą, na co Bussmann stwierdził:

— Wobec tego w pańskim portfelu powinno być jeszcze pięćset siedemdziesiąt marek — po czym podał mu go bez skrzywienia, mówiąc: — Proszę, niech pan przeliczy, należy nam się trzydzieści marek opłaty manipulacyjnej.

I jakby czytał fragment instrukcji biura rzeczy znalezionych, dodał:

— Nie musi pan uiszczać znaleźnego, gdyż tę zgubę przyniósł nam sokista.

Starzec skwapliwie zapłacił wymaganą kwotę, podziękował zdawkowo i już chciał odejść, gdy Bussmann podał mu dwa formularze i polecił wypełnić wszystkie rubryki, od razu, na miejscu.

Henry uśmiechnął się, pogratulował staremu mężczyźnie, przeszedł obok niego i z uznaniem skinął głową Bussmannowi, który spytał monotonnym głosem:

— Jaką zgubę chce pan zgłosić?

— Nazywam się Henry Neff — powiedział Henry.

— Dobrze — odparł Bussmann — a co pan zgubił?

— Nic — rzekł Henry z zadowoleniem — jeszcze nic, miałem się tutaj zgłosić, do biura rzeczy znalezionych.

Bussmann zmierzył wzrokiem młodą, szczerą twarz, na której malowała się beztroska; twarz po-

zbawioną typowego wyrazu zwątpienia czy wręcz rozpacz, przejawianych przez przychodzących tu codziennie ludzi, którzy coś zgubili, i spytał:

— A czemu to miał się pan do nas zgłosić?

— Przeniesiono mnie tutaj — powiedział Henry — do biura rzeczy znalezionych, moje dokumenty na pewno już do państwa dotarły.

— Wobec tego musi pan porozmawiać z szefem — oświadczył Bussmann, wskazując na oszklone pomieszczenie przed regałami, gdzie można było dostrzec potężne plecy mężczyzny, czytającego coś przy mrocznym świetle.

Podczas gdy Henry zastanawiał się, którądy ma się dostać do szefa, Bussmann zaprosił go gestem, aby po prostu wszedł przez sięgające kolan otwarte okno i okrążył stertę walizek, które, o czym informowała tabliczka, zostały właśnie przygotowane do wystawienia na licytację.

Szef, ciężki mężczyzna o siwych szczeciniastych włosach i wodnistych oczach, wstał na widok Henry'ego, uprzejmie podał mu rękę i rzekł:

— Jestem Hannes Harms, witam w placówce Kolei Państwowych.

Odsunął kilka papierów na bok — Henry był pewien, że to jego dokumenty — wypił łyk kawy z porcelanowego kubka i zapalił papierosa. Następnie wskazał gościowi krzesło i spojrzał na białą klatkę, w której z drążka na drążek przeskakiwał gil, wydając przy tym jeden jedyny pytający dźwięk.

— Piękny ptak — powiedział Henry.

— Zguba — odparł Harms — zguba jak wszystko tutaj, ktoś znalazł go w pociągu do Fuldy, przy-

jechał prosto z biskupstwa; a ponieważ nie udało nam się pozbyć tego ptaka na licytacji, wziąłem go do siebie i dałem mu na imię Pius.

Henry spojrzął na gila ze zdumieniem, potrząsnął głową i zapytał:

— Jak można zapomnieć o ptaku, o ptaku w klatce?

— Jeszcze piętnaście lat temu, gdy tu zaczynałem, ja też bym o to spytał — przyznał Harms — ale z biegiem czasu nauczyłem się już niczemu nie dziwić. Nie uwierzy pan, co ludzie dzisiaj gubią, o jakich rzeczach zapominają; zostawiają w pociągu nawet takie, od których zależy ich los, a potem przychodzą do nas, oczekując, że pomożemy im odszukać ich własność. — I dodał ze znużeniem w głosie: — Poza tym nigdzie na świecie nie ma takiego miejsca, gdzie mógłby pan usłyszeć tyle słów skruchy, tyle obaw i samooskarżeń, no, sam pan zresztą tego doświadczy.

Ponownie przysunął do siebie papiery, opuścił wzrok i pochylony nad stołem spytał:

— Neff? Henry Neff? — po czym, nie czekając na potwierdzenie Henry'ego, stwierdził: — Tak samo nazywa się kierownik naszego rejonu.

— To mój wujek — odparł Henry, a powiedział to cicho, niemal mimochodem, jakby ta rodzinna koligacja nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Harms tylko skinął głową, jego badawczy wzrok ślizgał się po dokumentach, Henry zaś wiedział z góry, o co za chwilę zostanie zapytany, i nie pomylił się; szef bowiem postanowił się nagle dowiedzieć, czy Henry zrezygnował z pomysłu, żeby po-

nownie, może w przyszłości, podjąć pracę na kolei w charakterze konduktora. Henry wzruszył ramionami.

— Nie sędzę — powiedział — przeniesiono mnie tutaj i mam nadzieję, że na razie będę mógł tu zostać.

— Przeniesiono — rzekł Harms i powtórzył: — Przeniesiono, no tak.

Uwadze Henry'ego nie uszła jednak pewna wątpliwość, kryjąca się w tym powtórzeniu. Przyglądał się przyszlęmu szefowi, jego dużym dłoniom, obwisłym policzkom, zauważył luźno związany krawat i brązową marynarkę z wełny, a kiedy Harms wstał, by nalać ptakowi wody i dosypać ziarna, Henry poczuł, że oto odnalazł swoje miejsce. Napełniając miseczkę ziarenkami z torebki i rozsypując suche nasiona na dnie klatki, szef powiedział, a zabrzmiało to tak, jakby mówił do siebie:

— Panie Neff, ma pan teraz dwadzieścia cztery lata, dwadzieścia cztery, mój Boże, w tym wieku powinno się już nabrać pary, zdążać do jakiegoś celu, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. A pan tymczasem ląduje u nas, na naszym bocznym torze, tak, w pewien sposób musi pan poczuć się tu jak na boczniczy, stąd bowiem nie prowadzi żaden tor do kariery, u nas nie ma możliwości awansu, w pewnym momencie człowiek zaczyna czuć się jak odczepiony wagon.

Harms usiadł z powrotem, zamilkł i spojrzał pytająco na Henry'ego, który, podejrzewając w tym spojrzeniu wyzwanie, odrzekł:

— Nie czuję takiej potrzeby, panie Harms, na-

prawdę, awanse pozostawiam innym, mnie wystarczy, że będę się dobrze czuł w pracy.

— Dobrze czuł — powtórzył Harms z uśmiechem — mam nadzieję, że znajdzie pan u nas po temu okazję.

Wskazał na sportową torbę, na kij hokejowy, i spytał:

— Gra pan w hokeja? Hokeja na lodzie?

— Tak, w „Blue Devils” — odparł Henry — w zespole drugoligowym, dzisiaj wieczorem mamy trening.

— Są tu dwa kije — powiedział Harms — znalezione w EuroCity z Berlina, przypuszczalnie zespół świętował w pociągu zwycięstwo, a potem ktoś zapomniał zabrać swój sprzęt. Może pan później ocenić te kije fachowym okiem. Zresztą pańscy koledzy do tej pory nie złożyli wniosku o wszczęcie poszukiwań, co zawsze skłania mnie do zastanowienia, iluż to ludzi godzi się ze stratami. Oblegają nas liczni petenci, wielu jednak nie znajduje do nas drogi i szybko porzuca nadzieję.

— Ja pewnie zachowałbym się tak samo — przyznał wesoło Henry — nauczyłem się już nie opłakiwać zbyt długo zgubionych rzeczy; większość z nich można przecież zastąpić innymi, czyż nie?

Harms spojrział na niego ze zdumieniem, sceptycznie i ze zdumieniem, przetarł stół ręką, wstał z trudem, odwrócił się w stronę półek zapchanych zgubami i powiedział:

— Nie, panie Neff, nie wszystko można zastąpić czym innym, doprawdy nie wszystko, pewnego dnia sam pan to zrozumie.

Po czym zaproponował mu, aby udał się z nim do dwojga pozostałych kolegów wiedzących już, że pan Neff ma dzisiaj zacząć pracę jako następcą pracownika, który złożył wypowiedzenie po pół roku zatrudnienia. Na odchodnym Henry rzucił jeszcze raz okiem na jedyną ozdobę ścian biura — zdjęcie historycznego parowozu, wypuszczającego parę nad jakimś mostem na Renie — przez chwilę taksował wzrokiem tego potężnego, staroświeckiego kolosa, który ciągnął za sobą niezliczone wagony, i stwierdził:

— One już wtedy były dość szybkie, jak na swoje możliwości.

— Interesują pana stare parowozy? — spytał Harms, a Henry odrzekł:

— Nie, nie parowozy, ja zbieram zakładki, nowe i stare, mam kilka cudownych okazów, powinien je pan kiedyś zobaczyć.

— Chodźmy — poprosił Harms.

Kierownik biura rzeczy znalezionych powiódł Henry'ego wokół stertywalizek przygotowanych na kolejną licytację — były wśród nich duże i elegancjki, ale także podniszczone i sflaczałe, niektóre zaś oklejone plakietkami znanych hoteli — i dalej do szpaleru sięgających aż po sufit regałów. W milczeniu mijali zapchane do pełna półki, Henry coraz to zwalniał kroku, aż wreszcie zatrzymał się przy jednej z nich, gdzie składowano kapelusze, czapki i egzotyczne nakrycia głowy, po czym wskazał na czapkę marynarską z napisem na otoku: „Niszczyciel Hamburg” i mruknął pod nosem:

— A to się ktoś musiał wściekać.

Harms nic nie odpowiedział, lecz pociągnął Henry'ego w stronę półki, załadowanej całym stosem parasoli, czarnych, białych i cukierkowo kolorowych parasoli, a kiedy Henry zauważył, że można by tu otworzyć niezły sklep z parasolami, szef wyjaśnił, iż zasadniczo parasole oferuje się na licytacji wyłącznie tuzinami, podobnie jak laski spacerowe, piłki i książki. Henry wziął ze sterty jakąś książkę, natychmiast znalazł tkwiącą w niej jeszcze zakładkę — miesięczny abonament na basen miejski — i bez słowa wsunął ją z powrotem pomiędzy kartki. Z rosnącym zdumieniem przebiegł oczyma tytuły innych książek i zdawał się zaskoczony tym, co też ludzie czytają i przez zapomnienie zostawiają w pociągach.

W niszy, pod oknem z widokiem na rampę załadunkową, zobaczył Paulę Blohm. Siedziała przy biurku, przysadzista kobieta z czarnymi, krótko obciętymi włosami i ciemnoniebieskimi oczyma, która do swetra z golfem miała przypiętą srebrną lub posrebrzaną broszkę, wyobrażającą liść miłorzębu. Harms przedstawił ich sobie i nazwał Henry'ego „naszą nową siłą pomocniczą”, Paulę zaś zaprezentował jako „centrum biura rzeczy znalezionych”, do którego spływa cała korespondencja.

— Połowa, panie Harms — zaprzeczyła Paula — połowa też wystarczy — a podawszy Henry'emu rękę, wyłowila z segregatora jakąś kartkę.

— Proszę — powiedziała — laptop tego sekretarza stanu jest już w centrali w Wuppertalu, trafił tam także sznur koralu — ponieważ jednak Harms na te słowa tylko skinął głową, z powrotem odłożyła list i zwróciła się w stronę Henry'ego, który spoj-

rzał na dwa skromne bukiety kwiatów stojące na brzegu biurka i zapytał:

— Ma pani dziś urodziny?

— Miałam, przedwczoraj — odparła, a kiedy złożył jej życzenia, wyraziła ubolewanie, że nie może poczęstować go kawą; Henry patrzył na piegowatą twarz Pauli i w tej samej chwili tknęło go przecucie, że jeszcze kiedyś będzie jej dotykał. Jakiś chłód, jakieś opanowanie emanowało z tej twarzy, pociągając go osobliwie.

— Cieszę się na współpracę z panią — powiedział i dał Harmsowi do zrozumienia, że jest gotów podążyć za nim dalej. Paula zmrużyła oczy, co miało dodać mu otuchy, i zapytała:

— Najpiękniejszy sklep z porcelaną w mieście, także największy... ma prócz tego filie... Neff i Plumbeck... jeśli wolno spytać?

— Oczywiście — odparł Henry — mnie można pytać o wszystko; przedsiębiorstwo założył mój dziadek Edmund Neff, który później spotkał na swej drodze Josefa Plumbecka.

— Kupiłam tam serwis do herbaty — powiedziała Paula — błękitny, chiński, sama go sobie podarowałam, codziennie piję z niego herbatę.

Henry uśmiechnął się do niej, mówiąc:

— A ja najbardziej lubię pić z kubka o grubych ściankach, z mojej diakonicznej porcelany, jak ją nazywam.

Harms poprowadził go dalej wzdłuż szpaleru regałów, obok półki z zabawkami dla dzieci, obok półki z naczyniami, na której stało również kilka wiklinowych koszyków zabieranych na pikniki, po

chwili zaś przystanął obok bardzo rozległego działu z zapomnianymi i zgubionymi częściami garderoby, zwracając Henry'emu uwagę na płaszcze, marynarki, szale i swetry; robił to w milczeniu, wytrwale, jakby chciał, aby nowy pracownik sam zdał sobie sprawę z rozmiarów i różnorodności zgub, jakie zdarzają się na kolei. Uśmiechając się pod nosem, Henry oglądał wiszące na wieszakach części ubrań, nagle jednak gwizdnął przez zęby i wyciągnął brązowy habit, mnisi habit, po czym rozbawiony przyłożył go do siebie.

— Pasuje — powiedział, a potem dodał: — Kiedy mnie pan zwolni, panie Harms, odejdę stąd jako mnich zakonu żebraczego.

— Znalaziono tę rzecz w pociągu InterCity z Kolonii — oznajmił Harms — pewnie był to kostium karnawałowy.

— Jeśli ten habit zostanie kiedyś wystawiony na licytację, chciałbym wziąć w niej udział — rzekł Henry, na co Harms odparł zdecydowanie:

— Pan jest z tego wykluczony, cała nasza czwórka jest wykluczona.

Starannie odwiesił habit, zerknął na wskroś przez regały i powiedział:

— Chodźmy, chciałbym jeszcze poznać pana z panem Bussmannem, to nasz najbardziej doświadczony pracownik, może się pan od niego sporo nauczyć.

Ubrany w roboczy fartuch Albert Bussmann siedział w kucki na podłodze, mając wokół siebie zawartość opróżnionego plecaka — bieliznę, pudełka, neseser, pończochy. W ręku trzymał kilka listów.

— No jak tam, Albercie — spytał Harms — znalazłeś już właściciela?

— Nie ma adresu — odrzekł zapytany, po czym dodał z mieszaniną niechęci i niedowierzania: — Nie wyobrażasz sobie, z czego niektórzy ludzie zwierzają się sobie w listach, o czymś takim nikt z nas nie śmiałby nawet pomyśleć.

Harms poklepał swojego pracownika po ramieniu, jakby chciał go uspokoić, wskazał na Henry'ego i również tym razem przedstawił nowicjusza jako „naszą nową siłę pomocniczą”, co Bussmann obojętnie przyjął do wiadomości — bądź co bądź jednak podniósł wzrok i podał Henry'emu rękę, a kiedy ten powiedział: „Poznaliśmy się już wcześniej”, chciał najpierw zrobić jakąś uwagę, potem jednak powściągnął się i ponownie zagłębił w lekturze listów.

— Po upływie pewnego czasu — wyjaśniał Harms — mamy tu prawo otworzyć plecak czy walizkę; dzięki temu już nieraz udało się nam odnaleźć właściciela. O ile wcześniej nie wpłynę wniosek z prośbą o wszczęcie poszukiwań, sami powiadamy zainteresowaną osobę, która może otrzymać swoją zgubę z powrotem, rozumie się, za opłatą.

— Ale taki człowiek musi chyba najpierw dowieść, że te rzeczy istotnie do niego należą? — zapytał Henry.

— To prawda — odrzekł Harms — ktoś taki musi tego wiarygodnie dowieść i dlatego wymagamy dokładnego opisu, pytamy o zawartość, o aktualną wartość przedmiotu, jego znaki szczególne, niekiedy

pytamy też o rodzaj pociągu, a więc, czy był to InterCity czy też EuroCity, jeśli zaś zachodzi taka konieczność, to również o peron i czas odjazdu, mamy tu swój własny system.

Po czym, zanim wrócił do swojego biura, dodał jeszcze:

— Zostawię pana teraz z panem Bussmannem; od niego może się pan wszystkiego nauczyć.

Bussmann uważnie odprowadził szefa wzrokiem, zaczekał, aż Harms wejdzie do swojego biura, usiądzie i pochyli się nad otwartym skoroszytem, a potem wyprostował się, sięgnął ręką w głąb stosu złożonych przedmiotów podróży i wyciągnął spośród nich butelkę. Następnie, jakby nigdy nic, otworzył jeden z wiklinowych koszyków, wyjął dwa kieliszki i usiadł na podłodze obok sflaczałego plecaka. Napełnił szkło. Kazał Henry'emu przeczytać etykietkę na butelce i powiedział:

— Remy martin, przyniosła mi go pewna starsza pani w podziękowaniu za album z rodzinnymi zdjęciami; nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek go odzyska.

Gdy Bussmann podniósł kieliszek, żeby trącić się z Henrym, jego twarz przybrała wyraz cierpienia, ale tylko na chwilę, gdy zaś wypili, przesunął kciukiem po wargach, krótko i szybko. Zanim z powrotem ukrył butelkę wśród przedmiotów, podniósł ją pod światło i skinął głową, rad z pozostałej jeszcze zawartości. Z cieniem uśmiechu na twarzy, który zaskoczył Henry'ego, przytargał jakiś mocno wypchany plecak.

— No, zobaczymy, jak się nam ułoży współpraca — powiedział — jak dobrze i na jak długo. Wypakowuj!

Nie zabrali Henry'ego na zebranie zakładowe. Chociaż mogło chodzić również o jego egzystencję — plotka, która wcześniej do nich dotarła, głosiła, że kolej, aby odzyskać prężność i rentowność, zamierza zwolnić pięćdziesiąt tysięcy pracowników, a może nawet jeszcze więcej — Harms zostawił go w biurze niejako w odwodzie, na straży. Henry nie czuł się zawiedziony ani zmartwiony. Sam na sam z rejestrami rzeczy znalezionych — dowodami zapominalstwa podróżnych, zaparzył sobie najpierw kawę i zjadł kilka żytnich herbatników, leżących na biurku Pauli. Później, paląc papierosa, przechadzał się wzdłuż przepelnionych regałów, niekiedy zdziwiony, to znów rozbawiony, sprawdzał, czy w poszczególnych książkach spiętrzonych na stercie nie kryją się aby jakieś zakładki, ale znalazł tylko miesięczny abonament na basen. W zamyśleniu przyglądał się leżącym w otwartej skrzyneczce sztucznym szczękom — zdawało się, że niektóre z nich wyszczerzają w uśmiechu zęby — i nie mógł przejść obok półki z zabawkami dla dzieci, aby nie przytulić lalki i misia nawzajem do siebie tak, że od tej chwili leżały w rozpaczliwym uścisku.

Kilka razy odbił o podłogę piłeczkę tenisową, którą znalazł pośród kolorowych klocków, a następnie położył ją na środku korytarza między półkami i przyniósł kij hokejowy. Rozejrzał się badawczo,

brzuchaty termos mrugał do niego, zdjął go więc z półki i postawił na podłodze, w odległości sześciu kroków od siebie. Wykonał kilka różnorodnych uderzeń piłkami, najpierw lekko podbitych, potem krótkich i suchych, szeroko wyprowadzonym ciosem trafił w termos tak mocno, że naczynie przewróciło się i z otwartą nakrętką potoczyło pod jeden z regałów. Ledwo jednak Henry je stamtąd wyciągnął i odstawił na miejsce, usłyszał kroki, a w chwilę później dzwonek.

Po krótkim wahaniu podszedł do kontuaru, przy którym wydawano rzeczy znalezione i z impetem podniósł zasuwane okno; stała przed nim dziewczyna, tęga dziewczyna o pięknej, łagodnej twarzy, i patrzyła na niego wzrokiem osoby oczekującej pomocy. Zauważył, że ta młoda osóbka jest bliska płaczu — lekko pochylone ramiona wzdrygały się, podnosiły i opadały, a wargi drżały — i że prawie nie może mówić.

— Dzień dobry — powiedział uprzejmie, potem zaś zdecydował się na zadanie pytania, które wygłosił po raz pierwszy w życiu: — Czym mogę pani służyć?

W tej samej sekundzie dziewczyna zaczęła szlochać, a szlochając — głosem nieomal proszącym o wybaczenie — wyznała, że zgubiła pierścionek, pierścionek zaręczynowy.

— To stało się w toalecie, w pociągu — opowiadała — chciałam umyć ręce i zdjęłam pierścionek, ale wtedy usłyszałam zapowiedź, następna stacja, więc pobiegłam do swojego przedziału; znajdzie pan ten pierścionek?

— Proszę pójść ze mną — poprosił Henry. —

Niech pani pójdzie ze mną, wypełnimy najpierw wniosek o wszczęcie poszukiwań.

Przeszedł przez okno, podprowadził ją do czarnego pulpitu i podał jej formularz. Dziewczyna spojrzała na druczek, potem na niego i znowu na formularz, niezdecydowana, od czego ma zacząć. Henry podszedł do niej, wskazał na słowo „Poszkodowany” i powiedział:

— Tutaj, w to miejsce trzeba wpisać nazwisko osoby poszkodowanej — i mimo woli chciał poprowadzić jej rękę.

— Jutta Scheffel — szepnęła dziewczyna, a Henry na to bez zniecierpliwienia:

— Niech pani to wpisze: Jutta Scheffel.

Później zaś łagodnie pytał dalej — po kolei, zgodnie z rubrykami formularza:

— Miejsce zamieszkania?

— Flensburg.

— Ulica?

— Am Hang 49.

— Miejsce wyjazdu?

— Flensburg.

— Stacja docelowa?

— Düsseldorf.

Dziewczyna odpowiadała cicho, ale szybko, i wypełniała rubryki. Dopiero gdy Henry zapytał o godzinę odjazdu i nazwę pociągu: — Może „Mozart” albo „Theodor Storm”? — zacięła się, potrząsnęła przecząco głową i odparła:

— Nie pamiętam.

Potrząsnęła przecząco głową również na pytanie o numer pociągu.

— Dobrze — powiedział Henry — a więc to już mamy.

Skinął głową z uznaniem, po czym, wygłaszając wydrukowaną w formularzu formułkę, zapytał, jaki przedmiot dziewczyna chce zgłosić jako zgubę. Młoda osoba zaszlochotała tak gwałtownie, że Henry odruchowo położył jej rękę na ramieniu; trwał tak przez chwilę, czując lekkie drganie i wstrząsy, a potem zaczął ją łagodnie poklepywać po plecach. Nie zdziwiło go nawet, że dziewczyna zaczęła się powoli uspokajać, a kiedy podniósłszy głowę, spojrzała na niego, podał jej chusteczkę higieniczną i zapytał:

— A więc pierścionek, ten pierścionek zaręczynowy, czy mogłaby go pani opisać?

Nie odpowiedziała od razu, wydawało się, że zanim odpowie, musi najpierw sięgnąć w głąb pamięci:

— Topaz, topaz z Uralu.

A ponieważ sama najwyraźniej nie chciała albo nie mogła pisać, Henry wziął długopis i zaczął wpisywać do formularza wszystko, czego się od niej dowiedział.

— Wartość, czy mogłaby pani podać w przybliżeniu wartość tego pierścionka?

— To pamiątka rodzinna — powiedziała dziewczyna — ten pierścionek nosiła matka mojego narzeczonego.

— Pamiątka rodzinna nic nam nie mówi — wyjaśnił Henry — musimy podać wartość, a więc: tyśiąc marek, dwa tysiące?

Zanotował wreszcie kwotę, którą sam uznał za

stosowną, powtórzył kilka słów pocieszenia, uspokajając dziewczynę, po czym poprosił ją o podpis i zapewnił, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby odzyskała zgubę. Dziewczyna odwróciła się z ufnością, podeszła do drewnianej ławki i dała Henry'emu do zrozumienia, że poczeka tutaj, choćby to nawet miało trwać dłużej; niechby tylko odzyskała ten pierścionek, który znaczy dla niej więcej niż wszystkie inne rzeczy; jako pielęgniarka nauczyła się cierpliwości. Mówiąc powoli, Henry starał się jej wytłumaczyć, że czekanie tutaj nie ma sensu. Choć ta placówka, ogólnie rzecz biorąc, odnosi duże sukcesy, żaden sukces nie pojawia się natychmiast, w każdym razie nie w ciągu godziny, trzeba dużo pisać, telefonować, rozpytywać.

— Proponuję, aby poszła pani teraz do domu — powiedział. — Mamy pani adres, więc gdy tylko na coś natrafimy, otrzyma pani od nas powiadomienie.

Ileż czasu minęło, zanim postanowiła wstać, jak długo stała niezdecydowana i upadła na duchu, nim podziękowała Henry'emu, głosem, który pozwolił mu się domyślić, że dziewczyna wiele ryzykuje tą zgubą.

Ledwo młoda petentka wyszła, Henry opuścił zasuwane okno, zapalił papierosa i w dobrym humorze zrobił kilka wypadów to w jedną, to w drugą stronę, tak, jakby chciał przejść obok jakiegoś przeciwnika, zastawiającego mu drogę. Był z siebie zadowolony. Czuł, że wyszedł zwycięsko z tej próby. Kiedy pozostali wrócą z zebrania, będzie miał co opowiadać. Z tą myślą ruszył szpalerem wzdłuż regałów, teraz już mniej zdziwiony wszystkimi zapo-

mnianymi i zgubionymi rzeczami, raczej z niedowierzaniem, ale wielce rad, że to właśnie on jest powołany do rozmów ze zwykłymi ludźmi, którzy codziennie coś gubią, a także do tego, by podnosić ich na duchu i przychodzić im z pomocą. Podszedł do okna, spojrzął na kruszejącą ze starości rampę załadunkową, na porośnięty mniszkiem i trawą niegdyś wspaniały wjazd, którego opłakanego stanu nie mogło odmienić nawet słońce; ileż to razy musiał prosić o informację, dopytywać się, zanim znalazł drogę do tego miejsca.

Przystanął przed półką z wpisanymi do rejestru częściami odzieży, po krótkim namyśle wyciągnął habit mnisi, powtórnie przyłożył go do siebie, ale to mu nie wystarczyło, wsunął się więc w tę ciężką brązową materię i przewiązał sznurem. Z chęcią przejrzałby się w lustrze, ale w biurze rzeczy znalezionych, gdzie przechowywano prawie wszystko, nie było ani jednego lustra. Złożył ręce, podobał się sobie przez chwilę w tej nabożnej pozie, po czym, skuszony nagłym pomysłem, wszedł do biura szefa, gdzie stał telefon. Postanowił zadzwonić do swojej siostry Barbary, odpowiedzialnej za dział zakupów w firmie Neff i Plumbeck; miał zamiar przedstawić się jako brat Alojzy i kazać jej zgadnąć, jaki strój ma akurat na sobie. Następnie chciał zaproponować, żeby się przed nim wypowiedziała, jeszcze tego samego wieczoru. Podziwiał swoją siostrę, kochał ją i wystarczająco często musiał przyznawać przed sobą, że odczuwa dla niej współczucie — dla tej rostej, muskularnej dziewczyny, która dotychczas już dwukrotnie była zaręczona. Kiedy jednak

podniósł słuchawkę, dzwonek wezwał go do okna, przy którym wydawano rzeczy znalezione.

Po drodze Henry rzucił z siebie habit, przeskoczył przez walizkę i stanął przed pewnym siebie pe-
tentem, który na powitanie dotknął czapki z dasz-
kiem. Ani nie zrezygnowany, ani też nie uskarżając
się na swój los, stał tam w kraciastej koszuli z lnu;
wydawało się nawet, że obdarzył Henry'ego zaufa-
niem, bo wyjaśnił, iż w pociągu osobowym do Ha-
noweru zostawił małą drewnianą skrzyneczkę, mo-
że czterdzieści na sześćdziesiąt centymetrów, skrzy-
neczkę z wypolerowanego drzewa tekowego.

— A jej zawartość — spytał Henry — czy mógł-
by pan powiedzieć coś o zawartości?

— Miałem ze sobą dwie walizki — odparł męż-
czyzna — poza tym plecak i bukiet kwiatów dla mo-
jej agentki, to był powód, dla którego wysiadając
zostawiłem skrzyneczkę, moje narzędzia pracy.

— Narzędzia pracy? — powtórzył Henry.

— Jestem wolnym artystą — wyjaśnił mężczyzna
— w tej skrzyneczce znajdują się trzy noże, noże do
rzucania, naostrzone w Toledo, mają gwarancję ja-
kości.

— Jest pan miotaczem noży?

— Jestem członkiem Ligi Wolnych Artystów, mo-
gę panu pokazać legitymację.

— Przyniesiono nam tu taką skrzyneczkę — po-
wiedział Henry — mój kolega już wcześniej wpisał
tę zgubę do rejestru, postawiłem ją w dziale naczyń,
proszę poczekać.

Z półki, na której przechowywano filiżanki i ta-
lerze, termosy i sztuce, Henry zdjął skrzyneczkę z

wiekim ozdobionym kalkomanią przedstawiającą gołębia.

— Czy to ta?

Artysta natychmiast chciał po nią sięgnąć, ale Henry mu w tym przeszkodził, uznając, że to najpierw on ma prawo ją otworzyć i sprawdzić zawartość.

Starannie ułożone w rowkach, ostrzami do dołu, leżały tam trzy noże i już po ich nieproporcjonalnie ciężkich trzonkach można było poznać, że nie są przeznaczone do zwykłego użytku.

— To chyba panu wystarczy — powiedział artysta — a jeśli ma pan jeszcze jakieś wątpliwości, proszę obejrzeć sobie pieczęcie jakości z Toledo, znajdujące się na każdym ostrzu.

Świeżo nabyty sceptycyzm kazał się młodemu pracownikowi zawahać, toteż Henry wyjął jeden nóż ze skrzyneczki, wypróbował kciukiem ostrość ostrza, odnalazł pieczęć z Toledo, lecz wciąż jeszcze nie mógł zdecydować się na wręczenie skrzyneczki artyście.

— No, co tam? — zapytał artysta z rosnącym zniecierpliwieniem.

Henry spojrzął w jego kanciastą twarz, zobaczył zaciśnięte wargi, wyzywający i równocześnie gniewny wyraz oczu i zyskał pewność, że stoi przed nim prawowity właściciel skrzyneczki; mimo to jednak uznał, że nie może sobie odmówić prośby o ostatni dowód, potwierdzający, iż skrzyneczka istotnie należy do tego mężczyzny:

— Proszę — powiedział Henry — jeszcze jedno małe potwierdzenie, jeden prosty dowód, który pro-

fesjonaliście z pewnością nie przysporzy trudu: dwa, trzy rzuty do celu i będzie pan mógł zabrać swoją skrzyneczkę.

Bez zdziwienia, a nawet z radosną gotowością artysta rzekł:

— Jeśli o mnie chodzi, nic łatwiejszego.

I od razu zaczął rozglądać się za jakimś odpowiednim tłem, obejrzał drzwi za półkami, podszedł do nich, przesunął opuszkami palców po bejcowanym drewnie i zadowolony skinął głową:

— Mogę prosić?

— O co jeszcze chodzi? — spytał Henry, na co artysta odparł rzeczowo:

— Przywykłem pracować z partnerem.

Henry zawahał się tylko przez chwilę, potem jednak stanął plecami do drzwi, starając się jak najmocniej przywrzeć do nich całym ciałem, wyprostował się, lekko opadł, wyprostował się ponownie i bez wezwania rozpostarł obie ręce ukosem w dół.

— Gotowe? — spytał artysta, zgodnie z przyzwyczajeniem nadając swoim słowom dużą wagę.

Henry nie odpowiedział, tylko zamknął oczy, a nóż, ledwo wypuszczony z przegubu dłoni, już zaświstał w powietrzu. Grzechocząc, wbił się w drewno, w dość przyzwoitej odległości od lewego ramienia Henry'ego. Henry otworzył oczy i zobaczył, że artysta podwija wysoko rękaw koszuli z rodzaju tych, jakie noszą drwale, po czym usłyszał jego słowa:

— Dobra robota, a teraz niech pan stoi spokojnie, zaryzykujemy jeszcze rzut królewski.

Nie doszło jednak do rzutu królewskiego, gdyż zanim nóż wyzwolił się z ręki artysty, żeby tuż nad

głową Henry'ego wbić się w drewno, jakiś głos zawołał:

— Co tu się dzieje, czy wyście powariowali?

Wzburzony Harms podszedł bliżej i, podniósłszy ręce, stanął między obu mężczyznami, jakby chciał osłonić Henry'ego, po czym ofuknął artystę:

— Niech pan to natychmiast stąd zabierze.

Artysta włożył nóż do skrzyneczki i wyjaśnił:

— Spokojnie, tylko spokojnie, ten pan chciał mieć dowód, więc mu go dałem.

Henry odsunął się od drzwi i potwierdził słowa artysty:

— To prawda, chciałem się upewnić i dlatego zażądałem dowodu, ta skrzyneczka naprawdę jest jego własnością.

Takie wyznanie nie ułagodziło jednak Harmsa, gdyż skinieniem wezwał do siebie Bussmanna i polecił mu załatwić całą resztę: „Albercie, przejmij tę sprawę”, Henry'ego zaś wezwał do swojego biura.

Nie zaproponował mu, żeby usiadł. Spojrzał na zdjęcie historycznego parowozu i potrząsnął głową, następnie zwrócił się do Henry'ego i długo, z troską przyglądał mu się, dając milczeniem do zrozumienia, jak bardzo jest rozczarowany. Ponieważ jednak Henry wytrzymał milczenie szefa i z równym zdecydowaniem zdawał się czekać na postawienie zarzutów, Harms wzruszył wreszcie ramionami i powiedział:

— No dobrze, panie Neff, skoro sam pan tego nie zauważył, powiem panu: pańskie zachowanie było niedopuszczalne. Chce się pan, wedle swoich własnych słów, dobrze czuć w pracy, chce pan ze wszyst-

kiego czerpać przyjemność, podejrzewam, że niczego nie traktuje pan serio. Jeśli o mnie chodzi, może pan zachować taką postawę. Ale tutaj, w tej placówce, daleko pan z tym nie zajdzie.

— A co ja takiego zrobiłem? — spytał Henry, na co Harms odparł:

— Variétés, zrobił pan z naszej placówki variétés, albo dał pan numer jak w variétés, nawet sobie tego pewnie nie uświadamiając.

Harms schwycił leżące na jego biurku nożyczki, przyłożył je ostrzem do czarnego brulionu i niecierpliwie spojrzał na Henry'ego:

— No, rozumie pan?

— To od pana, panie Harms — powiedział Henry — od pana nauczyłem się, że ktoś, kto chce tu odzyskać swoją zgubioną własność, musi najpierw dowieść, iż rzeczywiście ma do niej prawo. A ja przecież nie zrobiłem nic innego, jak tylko zażądałem takiego dowodu.

— Ale w jaki sposób? — spytał Harms. — Po prostu posunął się pan za daleko — i dodał gorzko: — Niech pan sobie tylko wyobrazi, gdyby taki nóż trafił pana w pierś albo w ucho, jak pan myśli, co by się tu rozpełtało... albo w szyję, nożem w szyję. To ja poniósłbym za to odpowiedzialność, mnie obarczono by winą, znam dobrze pracowników z wyższych pięter.

Wszedł Bussmann, spojrzał najpierw na jednego, potem na drugiego, i natychmiast zrozumiał, że zjawił się nie w porę i musi się streszczać, oznajmił więc tylko:

— Załatwiłem tego faceta; uiścił opłatę manipu-

lacyjną i podpisał. Notabene, kazał panów pozdrowić i wyraził nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie mógł u nas wystąpić, może podczas naszego święta zakładowego.

— Ach, Albercie — westchnął Harms — człowiek czasem przestaje wierzyć, że jeszcze istnieje normalność.

Jakaś postać oddzieliła się od fali śpiesznie idących przechodniów, postać w czarnym lśniącem płaszczu przeciwdeszczowym, oddzieliła się i przystanęła przy oświetlonej witrynie sklepu z porcelaną Neff i Plumbeck. Spostrzegłszy to, Henry przeszedł na drugą stronę ulicy. Przyciskając się do murów i przedzierając pod prąd, podszedł bliżej, zatrzymał się tuż za tą postacią i cicho obserwował to, co ona. Na specjalnej wystawie prezentowano — pięknie ułożoną na wznoszących się schodkach i stolikach, i tak oświetloną ostrym światłem małych lampek, że połyskujące błękitnie cienkie ścianki naczyń wydawały się niemal przezroczyste — starą porcelaną, chińską porcelaną. Tabliczka informowała, że te okazy przetrwały dwieście sześćdziesiąt lat na dnie Morza Chińskiego, w brzuchu portugalskiego frachtowca „Maria de Santa Cruz”, który zatonął podczas tajfunu; inna tabliczka pouczała, iż sztuka wytwarzania porcelany przeżywała największy rozkwit za panowania cesarza Kangxi. Henry tak bardzo pochylił się do przodu, że policzkiem dotknął wysoko postawionego kołnierza płaszcza przeciwdeszczowego i wyszeptał:

— Nie na sprzedaż; to, co pani widzi, nie jest na sprzedaż, a zresztą wszystko tu mają horrendalnie drogie.

Paula nie była aż tak zaskoczona, jak Henry tego oczekiwał — prawdopodobnie, obserwując te delikatne filiżanki i dzbany, również myślała o nim. Odwróciwszy się tylko na chwilę, spytała o to, co najwyraźniej zaprzętało ją w cichości ducha: czy herbata z takich naczyń smakuje inaczej niż z nowych wyrobów fabrycznych? Uważała, że pijąc z tych cudownych filiżanek, na pewno można poczuć smak czegoś szczególnego: ich starości, Morza Chińskiego.

— Niech pani nie zapomina o tajfunach — dodał Henry.

Rozbawiona Paula spojrzała na niego z ukosa, ale nie pozwoliła się zwieść szczeremu wyrazowi jego twarzy, wiedząc już, że wiara w słowa Henry'ego wiąże się z pewnym ryzykiem, po prostu dlatego, że prawie wszystko podawał w wątpliwość i nieomal niczego nie traktował poważnie. Teraz też nie spytał, w którą stronę Paula idzie, lecz przyłączył się do niej, jak gdyby nigdy nic; w pewnej chwili poprosił, aby spojrzała w górę na potężny budynek Neffa i Plumbecka i powiedział:

— Tam, na czwartym piętrze, pracuje moja siostra Barbara, która kieruje działem sprzedaży.

— A pan — spytała Paula — dlaczego pana tam nie zatrudnili, praca przy porcelanie musi przecież sprawiać przyjemność, a poza tym mógłby pan przydać się rodzinie?

— Nie zaproponowano mi żadnego stanowiska — odparł Henry — może dość wcześnie zauważyli, że się nie nadaję i nie mam ochoty uczynić treścią swojego życia porcelany, ani chińskiej, ani japońskiej, ani też holenderskiej. W każdym razie wszyscy bardzo się ucieszyli, kiedy oświadczyłem, że, podobnie jak mój wujek, mam zamiar pracować na kolei.

Nagle Henry chwycił Paulę za nadgarstek i pociągnął ją w stronę czarnej zapisanej tablicy, stojącej przed wejściem do jakiegoś lokalu.

— Świeże małże z Morza Północnego — przeczytał powoli, mając wrażenie, że tym samym zaprosił już Paulę na kolację, ona jednak cofnęła się o krok i machnęła przecząco ręką:

— Nie, nie dzisiaj, dzisiaj mam jeszcze coś do zrobienia.

— Wobec tego pośpieszmy się — zaproponował Henry — proszę — i nie zwalniając uścisku wokół jej nadgarstka, poprowadził ją w dół po mokrych kamiennych stopniach. W prostej, wyłożonej kafelkami sali było chłodno, tylko jakiś łysogłowy mężczyzna siedział przed górą małży, unikając wzroku nowo przybyłych. Zdecydowali się na stolik obok wejścia do kuchni. Henry wciągnął powietrze nosem i powiedział:

— Musztarda i cebula, czy może czuje pani coś innego?

— Pewnie to składniki tej potrawy — odparła Paula i zapaliła papierosa.

Chociaż Henry jadał tu już wielokrotnie, właści-

ciel go nie rozpoznał; milcząc, z podniesionymi wysoko brwiami, przyjął zamówienie, a kiedy zniknął w kuchni, Henry spytał:

— Widziała pani te mięśnie na jego szyi? Tak wyglądają gruzińscy zapaśnicy.

Przed podaniem posiłku właściciel lokalu zawiązał sobie na brzuchu szary fartuch, z przesadnym impetem postawił przed nimi miski, powachlował ręką tak, by zapach mały podrażnił mu nos, kilkakrotnie uniósł krzaczaste brwi i życzył im smacznego. Ku zdumieniu Pauli sam skosztował wina mozelskiego.

Bez trudu oddzielali miąższ jedną połówką skorupki; Henry przeżuwał w zamyśleniu, w zadumie, jakby chciał zgłębić najtajniejszy smak małży, Paula zaś uśmiechała się wyrozumiale, wiedząc, czego jej towarzysz szuka. Po chwili zapytała:

— Morze, nie, jod, sól i algi, na pewno chciałby pan poczuć smak morza, prawda?

— Tylko jedną falę — powiedział Henry — zawsze gdy jem coś, co pochodzi z morza, przypominam sobie tamtą wielką falę, która mnie kiedyś porwała, podczas wycieczki szkolnej, na Wyspach Północnofryzyjskich, kiedy to nałykałem się wody, mnóstwa wody. Od tej pory wiem, jak smakuje morze.

— I co — spytała Paula — pragnie pan teraz odnaleźć ten smak?

— Smak owszem — odparł Henry — ale nie falę.

— To chyba zawsze tak jest — powiedziała Paula. — Kiedy człowiek o czymś myśli, zaraz przypomina mu się coś jeszcze innego.

Henry przepił do niej, wydawało się, że zgadza się z jej spostrzeżeniem, bo rzekł:

— Gdybym był wiedział, ile radości przysparza praca w biurze rzeczy znalezionych, już dawno poprosiłbym o przeniesienie do państwa.

Przez chwilę Paula popatrzyła na niego sceptycznie.

— Radości? — spytała. — Mówi pan poważnie?

— Pani nie wie, co to znaczy być konduktorem — powiedział Henry — albo pomocnikiem konduktora; każdy, kto tylko ma bilet, myśli, że może się poskarżyć, a kiedy kibice piłki nożnej wracają do domu, zawsze jest strasznie duszno; jeździłem pociągami jako konduktor, sporo wiem na ten temat.

— A co u nas sprawia panu tyle radości? — spytała Paula.

— Różne rzeczy — odparł Henry.

— Różne rzeczy, to zbyt nieokreślone — zauważyła Paula.

— No dobrze — powiedział Henry — w naszej placówce po pierwsze sprawia mi radość to, że uważam tę pracę za pożyteczną, a po drugie podoba mi się atmosfera, stosunek ludzi do siebie nawzajem, właściwie mógłbym też po prostu powiedzieć, że podobają mi się koledzy.

A ponieważ Paula milczała, ciągnął dalej:

— Nie wszędzie można spotkać Alberta Bussmanna, który z taką cierpliwością wprowadza nowicjusza w tajniki pracy i dzieli się z nim całą swoją wiedzą; a dostać takiego szefa jak pan Harms to doprawdy szczęśliwy traf. Poza tym — przerwał i

szczerze spojrział na Paulę — poza tym cieszę się z tego, że pani pracuje w tym biurze. Może mi pani wierzyć lub nie, ale gdy co rano przychodzę do pracy i widzę panią przy biurku, od razu wprawia mnie to w dobry humor.

Paula roześmiała się i rzekła:

— Nazywam to skromnością albo brakiem potrzeb.

— Ale to prawda — zapewnił Henry — serio, a kiedy czasem pani cicho pogwizduje, zawsze tę samą melodię, mógłbym słuchać pani w nieskończoność; nie znam tej piosenki, ale ją lubię.

Zanucił kilka taktów, na co Paula powiedziała:

— Ta piosenka nosi tytuł *Gdy wieje wiatr*, nauczyłam się jej od mojej matki, która pochodzi z wybrzeża.

Właściciel lokalu podszedł do ich stolika i zapytał wprost, czy wszystko jest w porządku, a potem polecił im świeżo przyrządzony deser serowy, polany sokiem owocowym; zrezygnowali z niego, ale w zamian Henry zamówił dwa kieliszki remy martina. Właściciel wyraził ubolewanie:

— Nie prowadzę niczego takiego, takie rzeczy tu nie idą — czy mogłoby być co innego, na przykład wódka? — Wzruszając ramionami, Henry zadowolił się tą propozycją:

— No dobrze, wobec tego dwie wódki „Jubileuszowe”.

Milczeli do chwili, gdy stanęły przed nimi kieliszki, a kiedy już wypili — Paula ledwo umoczyła usta w swoim kieliszku, po czym go od siebie odsunęła — Henry wyznał, że wolałby trącić się z nią

remy martinem, który rozgrzewa człowieka i rozjaśnia umysł, pan Bussmann poczęstował go ze swojej butelki, na dobry początek współpracy.

— Ach, ten nasz Albert — powiedziała zatroskana Paula — ma takie ciężkie życie; podziwiam go.

Po chwili westchnęła i dodała:

— Na pewno już niedługo zaprosi pana do siebie na kolację, Albert jest świetnym kucharzem. Mieszka z ojcem, który ma chyba z dziewięćdziesiąt lat, miły, ale niestety trochę zbrakowany staruszek, od razu zacznie panu opowiadać o czasach, kiedy to jeździł ekspresem bałkańskim albo koleją transsyberyjską; podobno pracował na tych trasach jako drugi maszynista. Wystarczy, że będzie pan go słuchał; cieszy się, mogąc opowiadać ludziom te swoje fantazje. Albert zaprosił mnie dwa razy; nigdy nie zapomnę, z jaką wyrozumiałością, ale także troskliwością traktował swojego ojca. No, sam pan zresztą zobaczy.

Usiłując wyobrazić sobie życie obu tych mężczyzn, te drobne, banalne czynności, jakich wykonania wymaga codzienność, Henry dopił wódkę i zapytał:

— Czy Albert sam prowadzi całe gospodarstwo?

— Musi — odparła Paula — bo ojca nie może nawet posłać po zakupy, gdyż czasem zdarza się, że staruszek traci orientację i gubi drogę do domu; tuż przed świętami wielkanocnymi urządzaliśmy razem poszukiwania, nawet pan Harms nam pomagał.

— I odnaleźliście go państwo?

— W misji dworcowej — wyjaśniła Paula — znalazł tam słuchaczy, którym opowiadał o swoich

wyimaginowanych przygodach w ekspresie bałkańskim.

Spojrzała na zegarek, szybko wrzuciła zapalniczkę i papierosy do torebki, po czym stwierdziła:

— Muszę już iść, przepraszam, ale za godzinę zaczyna się film.

— Czy mógłbym pani towarzyszyć? — spytał Henry, na co Paula odparła zdecydowanie:

— Niestety nie, ten film muszę obejrzeć sama, w domu.

— A jeśli bardzo poproszę? — nalegał Henry.

— Również wtedy nie — odpowiedziała Paula.

— Czy to jakiś szczególny film?

— Tak, dla mnie ten film jest szczególny, bo bierze w nim udział mój mąż.

— Jest aktorem?

— Nie, podkłada głos, nie wiem, czy zna pan Glenna Forda, to bardzo dobry aktor, który u nas mówi czasem głosem mojego męża.

Henry skinął na właściciela lokalu i zrobił w powietrzu znak pisma, co właściciel natychmiast zrozumiał, bo pochylił się nad rachunkiem. W oczekiwaniu na zapłatę Paula poprosiła Henry'ego o zrozumienie, ale musi sama obejrzeć ten film, gdyż nawet milcząca obecność drugiej osoby rozpraszałaby ją i przeszkadzała myśleć, poza tym mąż oczekuje, aby przy sposobności wypowiedziała się na ten temat, a ona najbardziej lubi wyrabiać sobie zdanie sama.

— Szkoda — powiedział Henry, nie znajdując innych słów, by wyrazić swoje rozczarowanie.

Chociaż było już po godzinach szczytu, spadziłą ulicą nadal sunął strumień samochodów, a deli-

katny deszcz skrzył się i rozpryskiwał w świetlnych stożkach reflektorów. Milcząc, udali się na przystanek autobusowy, kiedy zaś Henry zaproponował, że odprowadzi Paulę do domu, wskazała na kilkuciętrową kamienicę czyszową:

— Mieszkam po drugiej stronie — powiedziała — na czwartym piętrze, i gdy wyglądam przez okno, patrzę wprost w witryny restauracji rybnej.

Spostrzegłszy, że zapaliło się zielone światło, Paula szybko podziękowała Henry'emu, powiedziała „do widzenia”, przeszła przez ulicę i jeszcze raz pokiwała mu z drugiej strony jezdni. Minęła kiosk, ale zatrzymała się nagle, by jednak coś kupić; Henry był pewien, że sprzedawca poda jej papierosy. Wpatrywał się w dom, w którym zniknęła, zamierzał czekać dopóty, aż za dwoma ciemnymi oknami na czwartym piętrze zapali się światło, jednak właśnie wtedy nadjechał jego autobus, więc postanowił wsiąść. Miał tylko jedną przesiadkę — byłby nieomal przespał przystanek — wysiadł potem na skraju nowego osiedla wieżowców, gdzie w wielu oknach potężnych kłoców pobłyskiwało błękitnawe światło telewizorów. Na pustym, betonowym placu wiał jak zawsze wiatr. Ludzie, którzy się tu mijali, nie pozdrawiali się wzajemnie. Henry przeszedł przez plac i dotarł już prawie do klatki wieżowca, w którym, na parterze, znajdowało się jego mieszkanie, gdy — trudno powiedzieć skąd — nadjechały ku niemu powoli dwa, cztery motocykle, a może nawet było ich pięć, zrobiły ostry zwrot i zaczęły go okrążyć. Kiedy kierowcy zmusili Henry'ego, aby się zatrzymał, a on nadal próbował wyrwać się z okrą-

żenia, jeden z nich, oślepiając go reflektorem, tak zdecydowanie natarł na niego i skręcił tak blisko, iż Henry'emu zdawało się, że motocykl go musnął i że poczuł ciepło silnika. Nie były to znajome twarze. Nie rozpoznawał też głosów. Coraz bardziej zakleszczony, zgadując, czego motocykliści mogą od niego chcieć, zawołał:

— Skończcie z tymi wygłupami, co to ma znaczyć? — a ponieważ żaden z nich nie odpowiadał, zawołał jeszcze raz: — Przestańcie szpanować!

Kiedy, wlokąc obie nogi po ziemi, podjechał najniższy ze wszystkich i chciał się przed nim zatrzymać, Henry zaatakował go, zepchnął z siodełka, dał susa przez przewracającą się maszynę i pobiegł w kierunku wejścia do bloku. Dopiero gdy, już bezpieczny, znalazł się w korytarzu, spojrzął za siebie i zobaczył, że wszyscy motocykliści podjechali do strąconego z motoru kolegi, któremu jednak udało się już wstać o własnych siłach.

Ze też zdołał się im wymknąć — otwierając drzwi swojego mieszkania, Henry uśmiechnął się i nie zapalając światła, podszedł do okna; reflektory ustawili się w szyku i jeden po drugim zaczęły ogarniać plac zabaw — huśtawkę, ślizgawkę, drabinki — chwilę później jednak oddaliły się w kierunku sztucznych dębów. Henry zasunął zasłony i zapalił światło. Niskie, bardzo skromnie umeblowane dwupokojowe mieszkanie — najwięcej miejsca zajmował tapczan — odpowiadało jego potrzebom; dopiero gdy urządził „parapetówkę”, okazało się na tyle przestronne, że znalazło się w nim miejsce dla połowy drużyny hokejowej. Do tapczanu przylega-

ła półka na książki, na której stały przede wszystkim różniantologie — opowiadania fińskie, irlandzkie, polskie i amerykańskie. Nad wąskim biurkiem, na wysokości oczu, biegła biało polakierowana listwa, na której dyndało ze dwanaście zakładek — główna część kolekcji leżała w dwu pudłach — zakładki ze skóry, z tektury, z rogu i plastyku; miały kształty nimf wodnych, sów, powyginanych węży, dyndała tam też tłusta kobieta, która niewzruszenie przyciskała do brzucha książkę. Henry przejechał palcem po zakładkach, zdjął buty i rzucił się na tapczan. Po raz pierwszy żałował, że nie ma telewizora; bardzo chętnie obejrzałby teraz film, który akurat ogląda Paula i w którym jej mąż dubbinguje głównego bohatera. Kiedy zadzwonił telefon, Henry był pewien, że to Paula, zerwał się więc, podniósł słuchawkę i odezwał się z udawaną powagą:

— Tu mówi samotny człowiek o nazwisku Henry Neff.

— Posłuchaj — powiedziała spokojnie Barbara — nie wygłupiaj się i posłuchaj: nic mnie nie obchodzi, gdzie i z kim spędzasz czas, ale powinieneś dotrzymywać obietnic, a byłeś dzisiaj umówiony. Matka czekała na ciebie prawie dwie godziny w restauracji przy klubie wioślarskim, to po prostu nie fair z twojej strony.

Henry mimo woli spojrzął na małą fotografię w ramkach, na której Barbara, klęcząc w kajaku, groźnie zamierza się pagajem na fotografa.

— Bardzo mi przykro — tłumaczył się — naprawdę, Barbaro, potwornie mi przykro, ale coś mi wypadło, w pracy.

— Matka dzwoniła do mnie — ciągnęła Barbara dalej — a ja do ciebie, to znaczy, próbowałam się dodzwonić, ale ani w domu, ani w tym twoim biurze rzeczy znalezionych nikt nie podnosił słuchawki.

— Nasza maszynistka — powiedział Henry — miałem z nią dłuższą rozmowę, w końcu chciałym, żeby ktoś wprowadził mnie w istotę tej pracy, a od naszej maszynistki można się wiele nauczyć.

Barbara milczała przez chwilę, a potem odezwała się:

— Nie wiem, czego chciałeś się od niej nauczyć, od tej twojej maszynistki, ale dam ci radę, nie zaczynaj niczego poważnego w miejscu pracy, miejsce pracy rządzi się swoimi własnymi prawami.

— Czy matka jest w domu? — spytał Henry.

— Nie — odpowiedziała Barbara — jest na koncercie folkloru hiszpańskiego, chciała cię namówić, żebyś jej towarzyszył.

Zamilkła znów, Henry zaś nie miał wątpliwości, że siostra jest na niego zła, milczała bowiem tak długo, aż wreszcie zapytał:

— Jesteś tam jeszcze? — a otrzymawszy potwierdzenie, które nastąpiło po dłuższej chwili, obiecał: — Załatwię to. Mama na pewno zrozumie, że z powodów zawodowych...

Barbara przerwała mu:

— Nie wyjeżdżaj przed matką z powodami zawodowymi, musisz wymyślić coś innego.

— Posłuchaj, Barbaro — powiedział Henry — nie uwierzysz, ale chciałym pozostać tam, gdzie teraz jestem. Bardzo podoba mi się w tym biurze

rzeczy znalezionych, niezwykle, to miejsce jest dla mnie wymarzone, naprawdę, i nigdzie nie znajdziesz lepszych kolegów.

— Ile lat ma ta twoja maszynistka? — spytała nagle Barbara.

— Pani Blohm — odparł Henry — jest chyba trochę starsza ode mnie, zresztą ja w ogóle jestem tam najmłodszy.

— A pensja? — drążyła Barbara — obniżyli ci pensję?

— Dostaję trochę mniej, ale wiesz, że niewiele robię sobie z pieniędzy.

— No właśnie — powiedziała — od tego masz przecież mnie; czy w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, ile jesteś mi winien?

— Barbaro, oddam ci te pieniądze, co do grosza — zapewnił ją Henry.

Usłyszał jej westchnienie i wiedział, że stłumiła w sobie nasuwające się samo przez się pytanie. Spodziewał się też, że Barbara zakończy tę rozmowę, ale po chwili usłyszał jakiś grzechot — miał wrażenie, iż widzi siostrę, jak przyciska słuchawkę ręką i zapala sobie papierosa — i pytanie:

— Co ty właściwie robisz w tym biurze rzeczy znalezionych?

— O — odparł Henry — co ja robię? No, po pierwsze dziwię się, dziwię się od rana do wieczora, o czym to nasi bliźni zapominają i co gubią; mając te wszystkie rzeczy, mogłabyś otworzyć olbrzymi sklep wieloasortymentowy; czasem dziwię się też, jak można pewne rzeczy zgubić.

— Dobrze — powiedziała Barbara — ale oprócz

tego masz chyba także coś do roboty, czy też dziwnie się jest twoim jedynym zajęciem? Zresztą byłoby to dokładnie najwłaściwsze zajęcie dla naszego Henry'ego; na takiej posiadce można się zestarzeć.

— Daruj sobie tę ironię — poprosił Henry — to zajęcie stawia przede mną również pewne wymagania: u mnie na przykład dany człowiek musi dowieść, że rzecz, którą zgłasza jako zaginioną, jest rzeczywiście jego własnością, a poza tym zapisuję wszystko i pośredniczę, rozumiesz, Barbaro?

Nie czekając na odpowiedź, powiedział nagle:

— Są tam, bądź cicho.

— Co jest? — spytała Barbara, a Henry na to:

— Zgromadzili się.

— Kto?

— Motocykliści, są pod moim oknem, nie słyszysz?

— Czego od ciebie chcą? No, powiedzże wreszcie, co się dzieje.

— Okrążyli mnie.

— Okrążyli?

— Dla żartu, robią takie rzeczy dla żartu, okrążają człowieka, ostro do niego podjeżdżają i cieszą się z jego przerażenia; wtedy czują się kimś.

— Zrobili ci coś?

— Nie, ale zepchnąłem jednego z motoru, bo zajechał mi drogę, rozumiesz?

— Czy mam wezwać policję?

— Tylko nie to — zaproponował Henry — wtedy dopiero by się rozeźlili, no, towarzystwo już się wycofuje.

— Teraz słyszę — przytaknęła Barbara i spytała:
— Znasz ich?

— Nie wszystkich, ale paru znam, mieszkają tu na osiedlu, mają przywódcę, mają swoją knajpę, te motory to wszystko, co posiadają, to sens ich życia, dzięki nim czują się wielcy.

— Ale skoro okrażają ludzi — oburzyła się Barbara — skoro ich zastraszają, by czerpać z tego przyjemność, to trzeba coś przedsięwziąć przeciw tym tytkom.

— Niech to zrobi ktoś, kto ma na to ochotę, ja nie mam — powiedział Henry — ja trzymam się od tego z daleka! Tylko bez przemocy. Wierz mi, Barbaro, nie ma sensu się w to mieszać, ani tu, ani gdzie indziej, poświęcisz tylko czas i energię, ale niczego nie zmienisz, mówię sobie: niech wszystko toczy się swoim torem, bo przecież świat i tak zmierza ku ogólnej katastrofie, a ty patrz tylko swego nosa.

Henry usłyszał przyspieszony oddech siostry i jej pytanie:

— Są tam jeszcze?

— Kto?

— No, ci motocykliści. Są jeszcze?

— Właśnie się wycofują, jadą w tyralierze, wycofują się bardzo powoli, jak podczas jakiejś parady.

— Jeśli cię otoczą, Henry, jeśli będą ci grozić, to wiesz przecież, że zawsze możesz spać u mnie.

— Wiem, Barbaro, i dziękuję ci, ale nie sądzę, żeby mieli wobec mnie jakieś złe zamiary, ja im się tylko przypadkiem nawinałem.

— Mam nadzieję — powiedziała Barbara — a te-

raz nie zapomnij przeprosić mamy, nie czuje się dobrze.

Paula nie mogła się skoncentrować. Raz po raz podnosiła wzrok znad wykazów i nieruchomo patrzyła w stronę biura Harmsa, gdzie od momentu rozpoczęcia pracy siedział jakiś szczupły mężczyzna — nie pewny siebie i swojej pozycji, tylko skromny, w pozycji petenta — i prosił Harmsa o różne dokumenty, które następnie szybko kartkował, zadając niekiedy pytania i uzyskując, jak się zdaje, satysfakcjonującą go odpowiedź. Popijał co chwila łyk kawy, którą poczęstował go Harms, a w pewnym momencie odłamał kawałek żytniego herbatnika i podsunął go gilowi w białej klatce.

Zanim jeszcze ów mężczyzna tu wkroczył, Paula dowiedziała się, że oczekują wizyty rzeczoznawcy, który na polecenie działu personalnego ma ocenić wyniki pracy ich placówki, dotarło do niej również, iż pracownicy biura rzeczy znalezionych nie są jedynymi, których przydatność miano zbadać: a by kolej znowu zaczęła przynosić zyski, na najwyższym szczeblu rozważano zwolnienie pięćdziesięciu tysięcy albo i więcej pracowników; zwierzył jej się z tego Hannes Harms, wzruszając ramionami. Kilkakrotnie była bliska pójścia do jego pokoju pod byle pretekstem w nadziei, że zorientuje się trochę w klimacie rozmowy albo odbierze od Harmsa jakiś ukradkowy znak, którym szef zasygnalizuje jej, jak się rzeczy mają, jednak powstrzymała ją przed tym onieśmielająca obecność rzeczoznawcy.

Podczas gdy Paula usiłowała sobie wyobrazić, jak i o czym tam rozmawiają, spośród regałów wyłonił się Henry, w meloniku i z parasolem na ramieniu; przez chwilę szczerzył zęby w uśmiechu, później zaś jego twarz przybrała wyraz zimnego wyrachowania. Niedbale podszedł do biurka Pauli, uchylił kapelusza, a widząc jej udręczony uśmiech, mruknął:

— Pani pozwoli, lord Blake Paddington, jeśli się nie mylę, mam przyjemność rozmawiać z miss Blohm?

Paula niechętnie potrząsnęła głową i, wskazując na oszklone biurko, rzekła:

— Szef ma gościa, który z pewnością nie zna się na takich żartach.

Przez chwilę Henry obserwował nieznanego siedzącego w biurze, a następnie powiedział, znów zmieniając głos:

— Jeśli pani pozwoli, to wyrażę przypuszczenie, że ten pan jest rzeczoznawcą; zakładam, że chce oszacować nasze przedmioty wartościowe na następną licytację.

— Jest rzeczoznawcą — odparła Paula — ale przysłał go dział personalny.

— Patrzcie państwo — zdumiał się Henry — a więc przeznaczenie we własnej osobie.

— W każdym razie ta wizyta będzie z pewnością miała jakieś konsekwencje — powiedziała Paula — dla kogoś z nas.

— Zanim to się stanie, pozwólmY sobie jeszcze na drobną przyjemność — powiedział Henry i położył kapelusz oraz parasol na biurku Pauli, proponując, żeby w przyszły weekend wybrali się razem

nad Zatokę Lubecką. A chociaż natychmiast zrozumiał, że Paula odrzuci jego propozycję, zaczął rozważać różne możliwości: na przykład daleki spacer po plaży w wietrze; wizytę w muzeum żeglugi albo w jakimś olbrzymim akwarium z żywymi żarłaczami śledziowymi; bardzo obiecująca wydawała mu się również wizyta u zaprzyjaźnionego malarza, którego żona prowadzi małą kawiarenkę, gdzie można zjeść najlepsze w całych północnych Niemczech ciasto owocowe jej własnej roboty. Paula popatrzyła na niego badawczym spojrzeniem, w którym dało się dostrzec sympatię, kiedy jednak wspomniał, że na tę wspólną przejażdżkę pożyczycy od siostry bmw, odparła:

— Jest pan miłym chłopcem, Henry, ale to naprawdę niemożliwe.

Skierowała jego uwagę na biuro szefa, gdzie Harms i rzeczoznawca stali przy dużej szklanej szybie, obserwując ich z góry, niemo i wytrwale, jakby w oczekiwaniu, że ta dwójka pokaże im, w jaki sposób pracuje. Henry pochylił się do Pauli, poczęstował ją papierosem, którego wzięła i położyła obok maszyny do pisania, nie chciała jednak, aby podał jej ogień, nie teraz.

— Szkoda — powiedział — ale może później?

— Może — odparła Paula.

Czuł potrzebę pogłaskania jej po włosach, mimo to cofnął wyciągniętą już w połowie rękę, schwycił kapelusz i parasol, po czym zniknął wśród regałów.

Pod pledami podróżnymi coś się poruszało i wzdymało; domyślił się więc od razu, że to Bussmann, który dobywa coś ze swojej kryjówki, a led-

wo Henry znalazł się w jego pokoju, kolega od razu wyciągnął ku niemu butelkę. Też jednego? Dla porzepienia? Henry potrząsnął przecząco głową. Kiedy już Bussmann się pokrzepił i ukrył alkohol, pociągnął Henry'ego do składanego stołu, na którym leżała otwarta czarna aktówka; na napisanym odręcznie dokumencie zaś okulary do czytania, będące własnością Bussmanna.

— Tu, mój drogi, tu się na pewno czegoś nauczysz... mogę chyba mówić do ciebie po imieniu?

— Ależ oczywiście — odparł Henry, którego uwadze nie uszło, że Bussmann zdążył się już wcześniej kilka razy pokrzepić.

Ten doświadczony poszukiwacz zajmował się właśnie wyśledzeniem właściciela walizki znalezionej w InterCity „Friedrich Schiller”; nazwisko już ustalił, brakowało mu tylko adresu. Przestudiowanie znalezionych w walizce dokumentów wprawilo w osłupienie nawet jego, doświadczonego pracownika, najwyraźniej sam nie mógł uwierzyć w to, co przeczytał.

— O ile wiem — powiedział Bussmann — ten facet nazywa się Schwarz-Österland, a na imię ma Konrad, i z wszystkimi tymi papierami... świadectwa, życiorys i tak dalej... chce się ubiegać o stanowisko „siły kierowniczej”, o, tutaj... w odpowiedzi na ogłoszenie z „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Atak kaszlu uniemożliwił mu kontynuowanie opowieści, podszedł więc do otwartego okna, gdzie trwał przez chwilę w bezruchu, zamaszystym gestem ręki odmówił jednak wypicia szklanki wody, którą chciał mu przynieść Henry. Odchrząknąwszy

kilka razy, wrócił do składanego stołu, podniósł ów napisany odręcznie dokument i powiedział:

— Uważaj, chłopcze, tu masz okazję odetchnąć powietrzem z samych wyżyn, tak ubiega się o pracę „siła kierownicza”, może ci się to kiedyś przydać.

A więc, Schwarz-Österland, bo tak nazywa się ów kandydat, dwukrotnie żonaty, dwoje dzieci, prawniczy egzamin państwowy drugiego stopnia, w tym względzie nie dotrzemy mu kroku, Henry. Podanie jest skierowane do Zjednoczenia Północnoniemieckich Zakładów Mleczarskich. A teraz trzymaj się mocno: ten Schwarz-Österland, który ubiega się o stanowisko „siły kierowniczej”, jest już „siłą kierowniczą”, i to w wydawnictwie publikującym różne czasopisma. Wylicza wszystkie swoje zasługi: oczywiście, że przeprowadził racjonalizację w przedsiębiorstwie, jednak jego największym osiągnięciem jest urządzenie kuchni eksperymentalnej, z której świeżo uzyskane przepisy trafiają do redakcji, przede wszystkim zaś do redakcji pisma o nazwie „Smakosz”. Rozumiesz? Kto już raz znajdzie się na górze, ten musi bardzo pilnować, by utrzymać się na tej samej wysokości; jeśli bowiem raz zejdziesz na dół, już tam zostaniesz.

— To nie dla mnie — powiedział Henry — mnie wystarczy, że jestem tu, gdzie jestem, podciąganie się na drążku zawsze wydawało mi się śmieszne.

Bussmann skinął potakująco głową i podał mu ten napisany odręcznie dokument z prośbą, aby przeczytał cały tekst, a potem zwrócił się do owego wydawnictwa prasowego i oficjalnie poprosił o informację.

— Napisz do nich — powiedział — i poproś o adres tego Schwarz-Österlanda; jeszcze jest tam zatrudniony.

Henry nie musiał sam pisać, bo u Pauli leżał już wniosek o wszczęcie poszukiwań — standardowe pytanie na druczku, który właśnie nadszedł, a który chciała sama opracować. Włożyła kartkę do maszyny; kiedy pisała, Henry patrzył jej przez ramię, a gdy ze zdumieniem zatrzymała się przy słowie „siła kierownicza” i odwróciła się do niego, Henry rzekł:

— To się naprawdę tak nazywa... „siła kierownicza” to to, kim pani jest dla mnie, może pani mną kierować, jak się pani żywnie podoba.

Paula odparła na to jedynie:

— Żartowniś.

Naraz stanął za nimi Harms, który zaczekał, aż Paula wyciągnie kartkę z maszyny, po czym posłał Henry’ego do kiosku dworcowego po kiełbaski i piwo, pięć razy po dwa serdelki, pięć puszek piwa, to powinno wystarczyć na skromne śniadanie, na które zaprosił swojego gościa. Zsunęli ze sobą dwa stoły, przynieśli krzesła; Bussmann zadowolił się krzesłem polowym.

Gdy Henry wrócił z wiklinowym koszykiem, zdjętym wcześniej z jednego z regałów w biurze, wszyscy już siedzieli; była to zguba, z której jeszcze zwieszały się kolorowe wstążki. Również gościowi Henry został przedstawiony jako „nasza nowa siła pomocnicza”:

— Pan Neff, nasza nowa siła pomocnicza, pan Fensky...

Reszta pracowników już się z nim poznała. Fensky nie zareagował na nazwisko „Neff”; z wyrazem znużonej życzliwości zmierzył wprawdzie Henry’ego od stóp do głów, ale nie zadawał dalszych pytań. Podczas gdy Henry rozkładał kiełbaski na tekturowych talerzykach i stawiał na stole puszki z piwem, Harms uznał, że powinien powiedzieć kilka słów; dał więc wyraz zadowoleniu, iż może powitać pana Fensky’ego w swojej placówce, oznajmił gotowość do zapoznania go z warunkami pracy w biurze rzeczy znalezionych, a na koniec życzył mu sukcesów w pracy rzeczoznawcy. Później zaprosił wszystkich gestem, aby się obsłużyli.

Jedli w milczeniu, maczali serdelki w musztardzie, kruszyli bułki, rzucając raz po raz spojrzenia na rzeczoznawcę, jakby oczekiwali od niego pierwszych pochwał; ponieważ jednak Fensky jadł cicho i ospale — jak zółw, pomyślał Henry — Harms uznał, że koniecznie należy pochwalić kiełbaski z kiosku dworcowego: jeszcze nigdy nas nie rozczarowały. Wszyscy oprócz Pauli, która pozostała przy wodzie mineralnej, pili piwo z puszek. To zakłopotanie. To milczenie. Ledwo śmieli popatrzeć na siebie wzajem. Później jednak podnieśli głowy i przestali przeżuwać, gdyż Henry, który świetnie wcelował swoim zaplamionym talerzykiem wprost do kosa na śmieci, zwrócił się nieoczekiwanie do Fensky’ego i zapytał:

— Czy to prawda? Czy to prawda, że chce nas pan tutaj wziąć pod lupę? Coś takiego obito mi się o uszy.

Fensky zaśmiał się, ale śmiechem wymuszonym,

nie był bowiem przygotowany na tak bezpośrednie pytanie, i odrzekł:

— Kto za dużo myśli, ten zawsze coś usłyszy, nie, nie, chcę się tutaj tylko trochę rozejrzeć, rozejrzeć się i czegoś nauczyć.

— Ale przecież napisze pan sprawozdanie — powiedział Henry — to przecież oczywiste, sprawozdanie zawierające rekomendacje i tak dalej, a może nawet pewne oceny.

Fensky nic nie odpowiedział, wypił łyk piwa i spojrzał na Henry'ego w zamyśleniu, nie niemiło, tylko w zamyśleniu, a potem rzekł:

— Wczoraj, panie Neff, zaledwie wczoraj rozmawiałem z pańskim wujem i odniosłem wrażenie, że oczekuje pańskich odwiedzin.

— Czy tak powiedział? — spytał Henry.

— Nie — odparł Fensky — chciałby się tylko dowiedzieć, jak się panu podoba w tej placówce.

— Dziękuję — rzekł Henry — z chęcią to zrobię — a pochwycawszy spojrzenie Pauli, pełne, jak mu się zdawało, nadziei, dodał: — Ucieszy go to, co mam mu do zakomunikowania, nigdzie nie można czuć się lepiej niż tutaj, w biurze rzeczy znalezionych, jest tu zabawnie, a poza tym wyobraźnia zaczyna człowiekowi pracować.

— Wyobraźnia? — spytał Fensky, uśmiechając się pod nosem, na co Henry, po krótkim namyśle:

— Niech pan popatrzy na ten wózek, tam, przed regałem, dziecinny wózek, jest prawie nowy. Jeśli przyprowadzają tu taką rzecz, to nie tylko wpisujemy ją do rejestru, ale zadajemy sobie również pytanie, jak to możliwe, że ktoś mógł coś takiego

zgubić, uruchamiamy wyobraźnię: czy ktoś zostawił ten wózek w wielkim pośpiechu, a może podczas kłótni? Dziecinny wózek, nie książkę, nie parasol.

Patrząc na wózek, Fensky zapytał:

— Jak długo już pan tu pracuje?

— Niezbyt długo — odparł Henry — za tydzień będzie rok.

— Pan Neff ma okres próbny za sobą — odezwał się Harms, i jakby chciał nadać rozmowie inny obrót, gdyż prawdopodobnie również jemu nie podobał się ton Henry'ego, wspomniał, że w ciągu tego roku opracowali tutaj około tysiąca dwustu wniosków o wszczęcie poszukiwań, a w swoim biurze ma też dość zbliżone liczby z ostatnich pięciu lat.

— W tym roku wpłynęło prawie tysiąc trzysta wniosków — podjęła temat Paula, na co Fensky odwrócił się w jej stronę i z uznaniem powtórzył wymienioną liczbę:

— Tysiąc trzysta, nie do wiary.

Przez otwarte okno, gdzie wydawano rzeczy znalezione, dał długiego susa Matthes, który jako stary sokista i dobry kolega miał do tego prawo; pozdrowił zdawkowo i położył coś na stole, coś zwinętego w rulon, opakowanego w brązowy papier.

— Zebyście mieli co robić.

Nie chciał napić się z nimi piwa. W jak zażytych stosunkach był z Harmsem, dowiódł uwagą, że najchętniej wrzuciłby tę zgubę do kontenera, do starych ubrań i innych gałganów, ale nie chciał sobie pozwalać na taką samowolę.

— Przyjechało to pośpiesznym z Wilhelmshaven

— powiedział — leżało na półce bagażowej, obejrzałem więc to coś i jako tako zwinąłem w rulon.

Harms rozerwał papier, wyjął zwój materiału, rozpostarł go na całą długość i czekał na pierwsze słowo.

— Chorągiew — orzekł Henry — stara, prawdopodobnie z epoki cesarstwa.

— Chorągiew wojenna z okresu cesarstwa — przytaknęła Fensky i dotknęła materiału, a następnie potarł go w palcach, jakby chciał wymacać jego wiek. Wyraził przypuszczenie, że ta chorągiew może być własnością jakiegoś związku kultywującego tradycje, i przewidywał, że już wkrótce dostaną zawiadomienie o zgubie.

— To, co pochodzi z epoki cesarstwa — powiedziała Paula — nie znajduje się na czerwonej liście.

Powiedziała to do sokisty, który z zadowoleniem potaknął głową i pożegnał się słowami:

— No, to dobrej zabawy.

Podczas gdy Bussmann z powrotem zwijał chorągiew, gotów wpisać znaleziony właśnie przedmiot do rejestru i odłożyć go na półkę, Henry spojrzął na niego i potrząsnął przecząco głową, a kiedy podniósł wzrok, Fensky spytał:

— Zauważył pan coś szczególnego?

— Nie — odparł Henry — dziwię się tylko.

Fensky zaś na to:

— Wolno spytać, co pana tak dziwi?

— Nigdy tego nie pojmę — zaczął Henry. — Wisi sobie taka chorągiew na ścianie, siedzą pod nią mężczyźni przy piwie, piją, śpiewają, pytają: pamiętasz, a jak nazywał się ten tam wtedy? potem zaś

patrzą na siebie szklanym wzrokiem i niestrudzenie poklepują się nawzajem po plecach.

Henry przeżył kiedyś coś podobnego w Kilonii, w pewnym portowym lokalu, w bocznej sali zarezerwowanej dla zorganizowanych grup. Powiedział:

— A byli to dojrzały mężczyźni, stare wygi, ojcowie rodzin.

Początkowo wydawało się, że niektórzy zgadzają się z Henrym, ale po chwili Fensky wstał i dał Harmsowi znak, że chciałby jeszcze raz wrócić do biura; zanim jednak obaj panowie odeszli od stołu, zwrócił się ponownie do Henry'ego i powiedział z wyraźnie słyszalnym lekceważeniem:

— Panie Neff, panu się wydaje, że pan nad wszystkimi góruje i jest bardzo oświecony. To jasne, kto niczego nie dokonał, ten nie zrozumie wartości tradycji. Trzeba jednak mieć za sobą jakąś przeszłość albo posiadać jakieś decydujące życiowe doświadczenie, by móc zrozumieć, co znaczy tradycja.

Henry uśmiechnął się i odparł:

— Wie pan, wtedy, w tym lokalu, wszystko, co tam zobaczyłem i usłyszałem, to były smutne próby wskrzeszenia wielkich czasów albo też czasów, które uważano za wielkie, i to tylko po to, by sobie udowodnić, że kiedyś odgrywało się wielką rolę; przeszłość zawsze nadaje się dobrze do tego, abyśmy mogli upewnić się o swojej wartości albo usprawiedliwić siebie.

Fensky nie wdał się w te dywagacje, popatrzył tylko pytająco na Harmsa, ten zaś bez słowa ruszył przed nim do swojego biura.

— Za dużo pałę — stwierdziła Paula, kiedy już

zostali sami, siedząc naprzeciw siebie, i zapaliła papierosa; jej twarz rozpogodziła się lekko, a po chwili przybrała wyraz zatroskania, którego Henry nie umiał sobie od razu wytłumaczyć. Paula skinęła głową w stronę biura, gdzie Harms i Fensky, pochyleni nad biurkiem, coś razem czytali, potem znów podnosili głowy, by wymienić jakieś uwagi, i ponownie zagłębiali się w lekturze.

— Tam jeszcze trwa kontrola — powiedziała Paula.

— Ocena — sprostował Henry — dzisiaj jest koniunktura dla rzeczoznawców i kontrolerów, nic się bez nich nie odbywa — a po chwili dodał: — Kto wie, do jakich wniosków dojdzie ten chłopczek; wygląda mi na to, że przy okazji oceni nawet swoją własną ocenę.

— Może stwierdzi, że któreś z nas jest tutaj zbędne? — zastanawiała się Paula.

— To na pewno — odparł Henry — i już się nawet domyślam, kto tu na pokładzie jest nadprogramowy.

Po chwili zaś, jakby chciał uspokoić Paulę, która naraz zaczęła zdradzać oznaki niepokoju, dodał spokojnie:

— To nie Albert wyda mu się niepotrzebny i nie pan Harms, ani w żadnym razie pani, dusza naszej placówki. Tym kimś okażę się ja, Henry Neff będzie musiał zabrać swój kapelusz, sama pani zobaczy.

Oślupiała ze zdumienia Paula spojrzała na niego i powiedziała z niespodziewaną sympatią:

— Ach, Henry, pan ma talent, z całą pewnością, talent do szkodzenia sobie.

Późnym popołudniem nie było już nikogo w misji dworcowej. Przegrani nocni goście udali się w drogę, na zwiady, na poszukiwania ścieżek łupów, masywne naczynia były prawie uprzątnięte po śniadaniu, a przez szeroko otwarte okna wpadało zimne powietrze. Henry przeszedł się wzdłuż długiego, poplamionego stołu, zawołał kilkakrotnie, otworzył jedno z drzwi i znalazł się przed rozległą kuchnią. Jakaś kobieta, która na szary mundur wdziała biały fartuch, nie wyjmując z ręki noża ani przekrojonej bułki, spojrzała miło na Henry'ego, gdyż najwyraźniej pamiętała jego twarz.

— Czy pan nie jest... ? — spytała, nie kończąc zdania, bo Henry potwierdził:

— Z naprzeciwką, z biura rzeczy znalezionych.

— No, to właśnie mam na myśli — przytaknęła.

Henry postawił na stole osobliwą torbę, kwadratową, najwyraźniej skórzaną, i zanim otworzył zamek, delikatnie przesunął po niej dłonią. Wyjął z wnętrza skoroszyt, położył go obok talerza z kanapkami, otworzył i wskazał na przypiętą do dokumentu fotografię.

— Może umiałaby pani pomóc mi w odnalezieniu tego mężczyzny — powiedział Henry — wiemy tylko, że miał wypadek, chciał chyba wyskoczyć z pędzącego pociągu, i że pani udzieliła mu pierwszej pomocy; powiedział to sokista, który przyniósł nam jego torbę.

— Ależ oczywiście — odparła kobieta — ależ naturalnie, że poznaję tego mężczyznę, tak jak on nikt mi tu jeszcze nigdy nie dziękował, taka uprzejmość już dzisiaj nie istnieje.

— Był ciężko ranny? — spytał Henry.

— Stłuczenia — odparła kobieta — stłuczenia i zdarta skóra; w chwili, gdy wyskakiwał z pociągu, zajechał mu drogę wózek bagażowy; ten człowiek stracił chyba na krótką chwilę przytomność, taki uprzejmy pan.

— Czy wie pani, dokąd poszedł? — spytał Henry. — Bo nie zgłosił się do nas, żeby zapytać o swoją torbę.

— Do Adlera — przypomniała sobie kobieta — tak, chciał iść do hotelu Adler, to taki mały hotelik przy placu dworcowym, miał tam zarezerwowany pokój, tak zrozumiałam; chciał najpierw chwilę odpocząć, pewnie wszystko go bolało.

Henry zapakował skoroszyt, podziękował kobiecie uściskiem dłoni i gestem poprosił o pozwolenie wzięcia sobie jednej z kanapek, na co zachęcająco skinęła głową. Szybkim krokiem przemierzył halę dworcową i, jedząc, podążył ku wyjściu do miasta. Z podestu na schodach ogarnął wzrokiem ciemny fronton budynku, znajdującego się za wybrukowanym placem, dojrzał od razu napisy na dwu dużych hotelach, nie zauważył jednak śmiesznej, jak mu się wydało, i napuszonej nazwy Adler. Zszedł po schodach, brudne, nastroszone gołębie przefrunęły tuż obok niego, sygnął im więc okruchy bułki, wrzucił też do otwartej drewnianej skrzyneczki monetę dla młodego mężczyzny, grającego na harmonijce ustnej *Podmoskiewskie wieczory*. Zapytany o hotel Adler policjant posłał Henry'ego na cichą boczną uliczkę, gdzie w sąsiedztwie knajp, biur podróży i niewielkich sklepików znalazł poszukiwany hotelik.

Zerknął przez szybę, podłoga była wyłożona żółto-brązowym marmurem, obok skromnej recepcji wisiało olbrzymie lustro w ramach z muszli. Na pół ukryty za fikusem stał okrągły szklany stół z trzema krzesłami, jakby dla ozdoby; poręcz wąskich krętych schodów, prowadzących najwyraźniej do poszczególnych pokoi, składała się z lin okrętowych. Henry wszedł przez otwarte drzwi. Nikt nie odpowiedział na jego wołanie, dopiero gdy dłonią uderzył w dzwonek, sprężystym krokiem i stukając obcasami, nadeszła sprawiająca chłopięce wrażenie dziewczyna, która, rzuciwszy szybko okiem na torbę, od razu przybrała wyraz ubolewania na twarzy i, zanim jeszcze Henry wyjawiał powód swojego przybycia, oznajmiła:

— Niestety, wszystkie pokoje mamy zajęte.

— Nie potrzebuję pokoju — wyjaśnił Henry — szukam pana Lagutina, Fiodora Lagutina, przychodzę z biura rzeczy znalezionych.

— Doktor Lagutin mieszka u nas, jest gościem politechniki.

— Czy mógłbym z nim porozmawiać?

— Jest w swoim pokoju, mam wrażenie, że nie najlepiej się czuje, miał wypadek na dworcu.

— Proszę powiedzieć, że przyszedł ktoś z biura rzeczy znalezionych, kto chciałby oddać mu jego własność.

Henry skierował jej wzrok na torbę, postukał w nią lekko i powtórzył:

— Z biura rzeczy znalezionych.

Podczas gdy dziewczyna telefonowała, Henry podszedł do fikusa, postawił torbę na szklanym blacie i

utkwiał wzrok w krętych schodach. Mimo woli pomyślał o znajdujących się w torbie kartkach, które zgodnie z prawem przeczytał, o odręcznie napisanym podaniu o pracę, życiorysie, przetłumaczonych i skserowanych zaświadczeniach z uniwersytetu w Saratowie, potwierdzających, że Fiodor Lagutin zdał egzaminy na *magna cum laude*, a egzamin z matematyki na *summa cum laude* i uzyskał tytuł doktora nauk przyrodniczych. Henry przywołał na pamięć twarz z dołączonego do akt zdjęcia, drobną twarz o ciemnych oczach, na której rysował się wyraz spokoju i melancholii; wiek doktora Lagutina Henry oceniał według fotografii na trzydzieści pięć, ale z życiorysu dowiedział się już wcześniej, że ten naukowiec ma dokładnie tyle samo lat co on, czyli dwadzieścia cztery.

— Doktor Lagutin zaraz zejdzie — oznajmiła recepcjonistka.

Henry był zaskoczony, ujrzawszy na krętych schodach bardzo szczupłego mężczyznę niskiego wzrostu, który schodził, stąpając ostrożnie i jedną ręką przytrzymując się poręczy z lin; jeszcze zanim stanął na podłodze, przyjaźnie kiwnął Henry'emu ręką, prosząc o cierpliwość i wybaczenie takiej powolności. Doktor Lagutin miał na sobie długi sweter z surowej wełny, nowe, jeszcze sztywne dżinsy i buty, przez które przewleczona była ozdobna taśma skórzana. Już na schodach rozpoznał swoją torbę, jął więc żartobliwie wygrażać: „Tu jesteś, niewierna”, ale nie sięgnął po nią od razu, lecz przedstawił się najpierw, a wymieniwszy nazwisko, dodał miejscowość, z której pochodzi: „Samara”. Już po pierw-

szych zdaniach Henry zwrócił uwagę na osobliwą niemczyznę Fiodora Lagutina, niemczyznę, która go śmieszyła, budząc zarazem jego radość, taka archaiczna mu się wydawała, taka zamierzchła i dawno już nieużywana. Henry przedstawił się:

— Nazywam się Henry Neff, jestem pracownikiem dworcowego biura rzeczy znalezionych, tę torbę przynieśli nam sokiści; jak się dowiedzieliśmy, zgubił ją pan w chwili wypadku.

Doktor Lagutin uśmiechnął się z rezygnacją i powiedział:

— Wypadek, tak, pociągi strząsają z siebie podróżnych, którzy wyskakują w czasie jazdy.

Następnie sięgnął po torbę, przytulił ją do siebie, pieścizotliwym gestem pogłaskał futro, pociemniałe wskutek upływu czasu i zmiennych pogód, po czym rzekł:

— Ta torba wiele przeżyła i nosiła wiele rzeczy, byłbym niepokieszony, gdybym jej nie odzyskał; starannie rozważę, panie Neff, w jaki sposób będę mógł się panu odwdzięczyć; teraz jednak po pierwsze dziękuję panu za przybycie.

— To mój zawodowy obowiązek — odparł Henry — pomagamy odzyskać rzeczy gubiącym je osobom — i rozbawiony dodał: — Zgodnie z prawem powinien mi pan teraz udowodnić, że ta torba jest rzeczywiście pańską własnością, ale to nie jest konieczne, znam pana ze zdjęcia.

Szczerze, jakby sam przed sobą musiał upewnić się co do jego tożsamości, Henry spojrział na doktora Lagutina, który odgarnął sobie z czoła kilka czar-

nych kosmyków, chcąc niejako ułatwić urzędnikowi tę weryfikację.

— Nie — uznał Henry — nie mam wątpliwości, że jest pan doktorem Lagutinem, w końcu czytałem też pańskie dokumenty, wiem również, bo z urzędu miałem prawo otworzyć pańską torbę, że zaprosiła pana nasza politechnika.

— To zaszczytne zaproszenie otrzymałem na święta wielkanocne — potwierdził Lagutin — dla mnie i dla mojej rodziny był to cud, cud wielkanocny, i moje szczęście było bezmierne, gdy się dowiedziałem, że na politechnikach w Niemczech prowadzi się również badania naukowe; wielkodusznie pozostawiono mi do wyboru udział w jednym z programów badawczych.

Lagutin dał znak recepcjonistce, nie zaczekał jednak, aż pojawi się przy stole, lecz wyszedł jej na przeciw i spytał, czy sprawiłoby jej wiele trudu, gdyby podała im dwie filiżanki herbaty, a do tego cytrynę, rum i miód. Dziewczyna zahała się, zerknęła szybko na zegarek — Henry był pewien, że jej odmówiłaby, gdyby poprosił o coś podobnego — ale potem oświadczyła, że jest gotowa spełnić życzenie doktora Lagutina.

— Zobaczę, co da się zrobić — powiedziała.

Wróciwszy do stołu, Lagutin przeprosił, że nie od razu zaproponował Henry'emu coś do picia, nie ma jeszcze jasnego i swobodnego umysłu, huczy w nim niewielka burza, burza w głowie, jak kiedyś po pierwszym upadku z konia.

— Mam nadzieję — rzekł Henry — że już nieba-

wem przestanie pan odczuwać skutki tego wypadku.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej złożoną kartkę papieru, którą następnie położył na stole:

— Musi pan to niestety podpisać, nasze typowe potwierdzenie odbioru zguby, jest to konieczność, ponieważ już wcześniej wpisaliśmy pańską torbę do rejestru.

Henry podał Lagutinowi długopis i pokazał, w którym miejscu należy podpisać. Na widok nieznanym mu liter zapytał:

— To po rosyjsku, prawda?

— Mój oryginalny podpis — powiedział doktor Lagutin — może go pan porównać z podpisem na dokumentach, wszystkie są, ma się rozumieć, po rosyjsku. Jestem wprawdzie Baszkirem, ale moim językiem jest rosyjski, dawniej był nim turecki, w Samarze mieszka wielu Baszkirów.

— Ale studiował pan w Saratowie?

— W Saratowie nad Wołgą, tak; oba te miasta leżą blisko siebie, jestem skłonny nazywać je bratnimi miastami, między innymi dlatego, że doświadczyły podobnych dziejowych plag. Podbojów, grabieży, pożarów — wszystkiego, co sprawia, że historia jest tak bardzo zajmująca.

Na jego wargach wykwitł bezradny uśmiech, Lagutin wpatrywał się w obramowane muszlami lustro, zdziwiony, jakby nie mógł pojąć, że tu siedzi. Aby powiedzieć Henry'emu coś miłego, zauważył po chwili, że praca w biurze rzeczy znalezionych wymaga z pewnością szczególnych kwalifikacji, wy-

obraża sobie, iż nie każdy nadaje się do wysłuchiwania próśb, skarg lub wręcz żądań osób, które coś zgubiły; sprawdzanie znalezionych przedmiotów i uznawanie ich za zgubione jest zapewne niełatwym zadaniem, przypuszczalnie trzeba nasłuchać się wielu przekleństw i codziennie odczuwać zagrożenie.

— Ach — odparł Henry — najpierw człowiek tylko się dziwi, a później zaczyna uważać wszystko za możliwe i pracować według ustalonych schematów.

Lagutin położył rękę na swojej torbie i powiedział:

— Ona nie przysłała do mnie na własnych nogach i zapewne też nie zgodnie z ustalonym schematem; jedynie panu zawdzięczam, że ta torba raduje teraz moje oczy.

— Tak wyszło — zauważył Henry mimochodem — przeczytałem pańskie dokumenty, musiałem to zrobić, wiedziałem więc, że zaopiekowano się panem w misji dworcowej, nietrudno było pana znaleźć — i dodał, wzruszając ramionami: — Nie zawsze trzeba pozostawać w szeregu i wykonywać wszystko według schematu, a w tym przypadku zależało mi po prostu na tym, żeby oddać panu te rzeczy osobiście. Zakładam, że moi koledzy z samarskiego biura rzeczy znalezionych myślą dokładnie tak samo.

— W Samarze — powiedział doktor Lagutin — w pięknym mieście Samarze ludzie tak wiele nie gubią, nie wiem nawet, czy cieszą się tam istnieniem jakiegoś biura rzeczy znalezionych.

Dziewczyna podeszła z tacą do stołu, postawiła na nim filiżanki i talerzyki, a miseczkę z miodem

od razu przed filiżanką doktora Lagutina, i z udawanym zatroskaniem wyjaśniła, że nie jest to niestety miód dzikich pszczoł, tylko zwyczajny niemiecki miód z kwiatów rzepaku, nie można tu nigdzie kupić miodu dzikich pszczoł. Doktor Lagutin ujął dłoń recepcjonistki i popatrzył jej w oczy. Po czym mrugnął do niej, mówiąc:

— Droga Taniu, jeśli los będzie dla mnie kiedyś tak łaskawy jak pani, przywiozę w prezencie dwa słoiki miodu dzikich pszczoł, który smakuje jak wieczorna gra fletów w stepie; pan Neff jest świadkiem, że to pani obiecałem.

A do Henry'ego rzekł:

— Mój dziadek posiada sześćset uli, znajdujących się głęboko w lasach. Hodowla pszczoł jest u nas szeroko rozpowszechniona, by nie powiedzieć: wzorcowa; nie bez powodu Kirgizi nazywają nas, Baszkirów, „przywódcami pszczoł”.

— Doktor Lagutin gra również na flecie — zdradziła dziewczyna Henry'emu.

— To nasz ulubiony instrument — powtórzył doktor Lagutin. — Nas, matematyków, wszystko jedno, gdzie rozmyślamy, w pewnych momentach zaskakują lub witają te same paradoksy i wszędzie pada pytanie, które zadawał już Epimenides: Co to jest prawda?

Wypił łyk herbaty i zamknął oczy; zdawało się, że zgłębia jej smak, Henry zaś miał wrażenie, iż w tej nieruchomej, pięknej twarzy dostrzega lekko tatarskie rysy.

W recepcji zadzwonił telefon, dziewczyna przeprosiła obu mężczyzn i opuściła ich. Doktor Lagu-

tin otworzył swoją torbę, wyjął z niej paczkę tytoniu oraz zeszytik bibułek; zachęcając Henry'ego wzrokiem, by się dobrze przyjrzał, zaczął jedną ręką skręcać papierosa; udał mu się, twardy i równy, podał go więc Henry'emu ze słowami:

— Tytoń jest zły, ale zdrowszy niż te wasze.

Potem skręcił też papierosa dla siebie, a Henry podał mu ogień.

— Siano, prawda? — spytał. — Ten tytoń trochę smakuje sianem skoszonym na żyznej łące nadwołańskiej.

— W każdym razie da się palić — odparł Henry i spytał, czy doktor Lagutin na razie zatrzyma się tutaj, w hotelu Adler, który jest wprawdzie mały, ale cichy, i znajduje się jednak w samym centrum.

— Adler — powiedział doktor Lagutin — uważa się za szczęśliwca, że jest hotelem politechniki, od dłuższego czasu mieszka tu dwóch profesorów, miałem już zaszczyt poznać profesora Grossé, autora *Próby zdefiniowania liczby*. Powiedziano mi, że na razie mogę tu mieszkać.

— A pokój? — spytał Henry. — Dobrze się pan w nim czuje?

— Pokój zawsze wita mnie życzliwie, podobnie jak i pana powita życzliwie drugim krzesłem, jeśli sprawi mi pan tę radość i złoży mi wizytę. Zechce pan przyjść?

— Chętnie — powiedział Henry — ale wtedy i pan musi mnie odwiedzić, a gdyby miał pan ochotę, moglibyśmy też coś razem zorganizować, na przykład w niedzielę, nie musiałby pan siedzieć tak samotnie.

— O — przerwał mu doktor Lagutin — chętnie przesiaduję sam, również w ciemnościach, jest wiele pytań, które muszę sobie zadawać.

Henry wstał, przyniósł z recepcji kartkę i zapisał mu swój adres, a po chwili również numer telefonu.

— To mój prywatny numer.

Lagutin podziękował i ku zdumieniu Henry'ego wyciągnął zza wycięcia koszuli płaską sakiewkę zawieszoną na cienkim skórzanym rzemyku. Odezwał się poważnie, bez cienia uśmiechu:

— Pouczono mnie, że w Niemczech pobiera się różne opłaty manipulacyjne, czy mógłby mi pan powiedzieć...

— Nie, nie — odparł Henry zdecydowanie i machnął ręką — robimy również wyjątki, a w tym przypadku wystarczy mi radość, że mogłem odnieść panu tę torbę.

Doktor Lagutin chciał coś powiedzieć, zrezygnował jednak z tego pomysłu, tylko spontanicznie podszedł do Henry'ego i objął go. Recepcjonistka uśmiechnęła się na ten widok i nie przestała się uśmiechać przez cały czas trwania tego objęcia.

Po pożegnaniu, znalazłszy się już na dworze, Henry postanowił jednak jeszcze wrócić. Czy mógłby zadać osobiste pytanie? Lagutin skinął potakująco głową. Czy może spytać, gdzie doktor Lagutin uczył się niemieckiego? Zdawało się, że naukowiec jest raczej uradowany niż zdziwiony tym pytaniem, bo odrzekł:

— Oczywiście w Saratowie, na uniwersytecie, mamy tam nawet niemiecki klub, a kiedy wasi pisarze,

ci, którzy mieszkają w naszych sercach, mają urodziny, myślimy o nich i czcimy ich odczytami, kawą oraz ciastem domowej roboty.

— Bajeczne — powiedział Henry — uważam, że to po prostu bajeczne.

I podali sobie ręce.

Henry bez trudu przesadził jednym susem mocno napiętą, czerwono-białą taśmę ogradzającą parking, a na schodach prowadzących na dworzec brał po kilka stopni naraz. Czuł się lekki i zadowolony z siebie. Przystanął przed kiszkowatą kwaciarnią zastanawiając się, czy nie powinien podarować Pauli bukietu konwalii, jednak na widok czekających klientów, którzy stali w kolejce sięgającej aż do drzwi, zrezygnował z tego pomysłu. Krótco odwzajemnił pozdrowienie sokisty i nie usłyszał wcale, co ten za nim woła.

— Gdzie pan był? — spytała rozeźlona Paula. — Kiedy jest pan potrzebny, nigdy pana nie ma.

— Proszę o wybaczenie — powiedział Henry, nie kryjąc dobrego humoru — uszczęśliwiłem tylko szybko pewnego naukowca, oryginalnego Baszkira.

— Oryginalnego co?

— Rosjanina, z pochodzenia Baszkira; odniosłem mu dokumenty, które zgubił na dworcu. Uznałem, że to ważne.

— Czy on się do nas zgłosił?

— Zaniósłem mu jego torbę do hotelu, do Adlera, mieszka tam jako gość politechniki; pierwszej klasy człowiek, matematyk.

— Potwierdzenie odbioru? — spytała Paula.

— Podpisać, proszę.

— Opłata manipulacyjna?

— Wyłudziłem od niego — powiedział Henry, zadowolony, że może położyć na biurku Pauli dziesiątkę i dwudziestkę. — Ten facet nazywa się doktor Lagutin, a na imię ma Fiodor. Spodobałby się pani.

Paula pociągnęła go bez słów w stronę stojącego obok biurka stolika, na którym leżała ubrana na brązowo lalka z warkoczami.

— A cóż to my tu mamy? — spytał Henry i wziął lalkę do ręki, po czym pogłaskał ją pieśczośliwie po włosach i policzkach, wypróbował, jak poruszają się ręce i poprawił jej spódniczkę.

— Wygląda jak Czerwony Kapturek, prawda? Łakomy kąsek dla każdego wilka.

— Niech pan sobie oszczędzi tych żartów — powiedziała Paula — przyniósł ją nam Matthes, musimy wpisać tę lalkę do rejestru, od razu, wpisać i przebadać.

— Dlaczego przebadać? — spytał Henry, na co Paula odparła:

— Sam pan zaraz zobaczy. Przede wszystkim: nie wolno jej oddać nikomu, kto będzie twierdził, że ją zgubił; jeśli ktoś się po nią zgłosi, należy natychmiast wezwać policję, tego życzy sobie pan Matthes.

Henry lekko potrząsnął lalką, przyłożył ją do ucha i zapytał:

— Gorący towar?

— Dostali cynk — odparła Paula — i podczas obławy w InterCity z Emden znaleźli ją w szafce w toalecie; ta mała ma coś w środku.

— Towar?

— Pieniądze — odpowiedziała Paula — podobno jest to dwanaście tysięcy marek.

— Tego po tej malutkiej doprawdy nie widać — zażartował Henry — dziewczynki z warkoczami zawsze wydawały mi się niewinne, a przynajmniej niegroźne.

— Niech pan tyle nie gada — ofuknęła go Paula — musimy przeliczyć pieniądze i wpisać wszystko do rejestru.

Odłożywszy lalkę na stolik, Henry przyglądał się jej niezdecydowanie, aż Paula powiedziała:

— Niech ją pan rozbierze, no już.

Henry uniósł lalce spódniczkę, zdjął jej majteczki i tak zaczął wykręcać grube rączki, żeby mógł również ściągnąć biały, obszyty koronkami żakiet. Trudno mu było jednak uchwycić delikatne guziczki staniczka, raz po raz wyślizgiwały się z palców, zerkał więc kątem oka w stronę Pauli, zdawało mu się, że czuje jej zniecierpliwienie, ale kiedy zobaczył, że się uśmiecha, oddał maszynistce lalkę i powiedział:

— Pani zrobi to lepiej.

Paula wprawnymi ruchami rozebrała lalkę do naga i z różowego korpusu odkleiła pas leukoplastu, ciągnący się w dół od piersi poprzez pępek. W korpusie lalki znajdowało się czyste, ciemne nacięcie. I wgłębienia, które pozostawił czyjś brutalny kciuk.

— No — powiedziała Paula — teraz może pan działać dalej.

Henry ścisnął lalkę oburącz, aż miejsce nacięcia przesunęło się i rozchyliło; natychmiast więc wsu-

nął palce do środka, pomógł sobie otwieraczem do butelek i tak długo naciskał i wykręcał korpus lalki, aż szczelina rozwarła się z trzaskiem.

— Świetnie — pochwaliła go Paula — straciliśmy w panu chirurga.

Henry wsunął dwa palce do brzucha lalki i zaczął ostrożnie macać, a Paula przyglądała się, mrugając do niego z otwartymi ustami. Mimo woli położyła mu rękę na ramieniu.

— Coś tam jest — powiedział Henry — czuję coś, mam, złapałem.

Wyciągnął kilka banknotów, kilka banknotów po pięćset marek, nie licząc, położył je na stole, a potem, spokojnie macając dalej palcami, zaczął wyjmować kolejne.

— Piękna skarbonka — orzekł i zaczął liczyć pieniądze. Paula liczyła razem z nim, wyszło im dwanaście tysięcy marek.

— Moglibyśmy za to polecieć oboje do Honolulu — rozmarzył się Henry — albo na Tahiti.

— A potem?

— Potem świat by się zmienił, przynajmniej dla nas.

Paula uśmiechnęła się sztucznie, potrząsnęła głową i powiedziała:

— Ach, panie Neff, gdzie pan to wyczytał? Żeby świat się zmienił, muszą zdarzyć się inne rzeczy.

I nie mówiąc nic więcej, wyciągnęła z najwyższej szuflady swojego biurka formularz, wpisała do rejestru nazwę zguby oraz znaną kwotę pieniędzy, po czym zanotowała na własny użytek: „Zapytać Matthesa o miejsce i godzinę znalezienia lalki”.

Pieniądże schowała do szafy z wartościowymi przedmiotami; lalkę — ponownie ubraną i z zaklejonym nacięciem — położyła na półce ze zgubionymi zabawkami, oddzielnie, i przyczepiła do niej tekturową tabliczkę: „Jeśli ktoś się po nią zgłosi, natychmiast powiadomić sokistów.”

Hannes Harms, który obserwował te manipulacje z lalką, wyszedł ze swojego biura, zatrzymał się przed półką z zabawkami, wziął lalkę do ręki i zaczął oglądać jej korpus, jakby chciał się przekonać o jakości przeprowadzonej operacji. Nie odłożył jednak lalki; trzymając ją pod pachą, podszedł do biurka i poprosił o złożenie relacji. Nie był szczególnie zdziwiony tym, co usłyszał, nie wygłosił też sprzecznych z jego naturą słów uznania dla pomysłu użycia korpusu lalki jako schowka. Powiedział tylko:

— To stara sztuczka, nikt już nie wierzy w ten trik z niewinnością.

— Mamy tu jeszcze parę innych lalek — powiedział Henry — a także kilka misiów i dwa króliczki.

Harms wzruszył ramionami.

— Niech się pan sam domyśli, jak dalece można ufać niewinności — powiedział z zadowoleniem. — Może, panie Neff, jeden z tych króliczków jest wypełniony szlachetnymi kamieniami?

Paula wskazała na ekspres do kawy i spytała:

— Kto chce kawy?

Wszyscy przyjęli tę propozycję, usiedli przy jej biurku i odsunęli papiery na bok, aby zrobić miejsce na filizanki. Kiedy Harms zobaczył rosyjski

podpis na potwierdzeniu odbioru zguby, podniósł pytając głowę.

— Rosyjski? Był tu jakiś Rosjanin?

— Naukowiec — odpowiedział Henry — zanieśli mu jego dokumenty do hotelu, zgubił je na dworcu. Najprawdopodobniej nie wiedział, że powinien zwrócić się do nas.

Ponieważ Harms milczał — a było to milczenie przyzwolenia — Henry opowiedział, że doktor Lagutin jest gościem politechniki, matematykiem zaproszonym do współpracy w pewnym programie badawczym; jeśli popatrzeć na jego zaświadczenia, „musi mieć tęgi łeb”, z egzaminu doktorskiego otrzymał ocenę *summa cum laude*. I Henry wspominał, że rzadko kiedy spotyka się takich miłych facetów, tak gorąco okazujących wdzięczność.

— Czy on pochodzi z Moskwy? — spytał Harms.

— To Baszkir — odparł Henry — jego miastem rodzinnym jest Samara.

— Baszkirowie — powiedział Harms w zamyśleniu i powtórzył: — Baszkirowie, ach tak.

A ponieważ Henry i Paula spojrzeli na niego jednocześnie, zaczął opowiadać, że o Baszkirach dowiedział się sporo od swojego ojca, który jako jeniec wojenny spędził prawie pięć lat w ich sąsiedztwie, w pobliżu miejscowości o nazwie Wiatka. Twardy naród i dobroduszny, ale jego ojciec przekonał się o tym dopiero później, bo najpierw miał do czynienia z baszkirskimi strzelcami wyborowymi, z całym pułkiem strzelców wyborowych.

— Czy pański ojciec został ranny? — spytał Henry.

— Postrzał w rękę — odparł Harms — podczas jedzenia, kiedy podnosił łyżkę do ust, ale w lazarecie obozowym dobrze go leczono i rana się zagoiła, musiał więc razem z innymi wyruszyć do pracy, ścinać drzewa, budować szopy. Mój ojciec często chwalił Baszkirów, którzy ze współczucia zawsze coś podsuwali jeńcom — chociaż to było zabronione — chleb i kwaśny, twardy jak kamień ser; pewien stary Baszkir dał mu kiedyś do picia sfermentowane kobyle mleko, które nazywa się kumys i jest tam napojem miłosnym. Jednakże czasy, kiedy Baszkierowie żyli przede wszystkim z hodowli koni i owiec, minęły już na długo przedtem, zanim mój ojciec dostał się do niewoli.

— To dziwne — powiedziała Paula — ale jeszcze nigdy nie słyszałam nic o Baszkirach, nie znałam nawet tego słowa, tej nazwy.

— Może już wkrótce pozna pani pewne nazwisko — rzekł Henry i, uśmiechając się pod nosem, dodał: — On jest prawie tak samo uprzejmy jak ja i wygląda bardzo interesująco.

— Wyobrażam sobie, że przypomina Kozaka.

— Baszkierowie mają w sobie coś z Tatarów — powiedział Harms i przyzwał skinieniem Bussmanna, który wyłonił się spośród regałów. — Albercie, chodź, przysiądź się do nas, pijemy kawę.

Bussmann dmuchnął sobie w twarz, wziął jedno z krzesełek campingowych i usiadł obok Pauli; można było po nim poznać, że ciągle jeszcze coś go zajmuje — jakieś spotkanie, jakieś zlecenie.

— Stało się coś, Albercie?

— Obiecał nam całą swoją wypłatę, facet chce mi

dać całą miesięczną pensję, jeśli odzyskam dla niego szal, granatowy szal od marynarskiego munduru; zostawił go w InterCity „Grimmelshausen”. Na początek zrobiłem mu nadzieję — powiedział Bussmann.

— Wiesz, że nie wolno nam brać wynagrodzenia — upomniał go Harms.

— Wypełniliśmy wniosek o wszczęcie poszukiwań — powiedział Bussmann i spojrzął z przyganą na Henry’ego, który zwrócił mu uwagę na to, że na jednej z półek leży co najmniej ze dwadzieścia szali, a pośród nich z pewnością trzy lub cztery granatowe.

— Nie rozumiesz tego, Henry: kto chce oddać za szal całą miesięczną pensję, dla tego musi on mieć jakieś szczególne znaczenie.

— Możliwe — odparł Henry — ale w zasadzie szal łatwo zastąpić innym, a w ogóle: w jakiś sposób wszystko można zastąpić czym innym.

— Nie, młody przyjacielu — wtrącił się Harms — tu się pan myli; nie wszystko można zastąpić, są straty, których nic nie powetuje, straty, które są po prostu nieodwracalne; zrozumie pan to, gdy jeszcze trochę dłużej pan z nami pobędzie. — A po chwili, zmienionym głosem: — Wie pan, u nas w domu leży w drewnianej czarce łyżka, którą można by po tysiackroć zastąpić, jak by to pan powiedział; ale gdyby ta łyżka zginęła, oznaczałoby to dla mojego ojca najboleśniejszą stratę. Sam wyciął ją z blachy aluminiowej i wyklepał młotkiem, wtedy, gdy był w niewoli za Uralem.

— W porządku — przyznał Henry — to jest pa-

miętka, budzi wspomnienia, i dlatego jest tak szczególnie cenna, lecz jeśli chodzi o jej wartość użytkową, może ją zastąpić każda dowolna łyżka.

— Powie pan, że to niemożliwe — rzekł Harms — ale, niezależnie od tego, co mój ojciec je, jego własną łyżką smakuje mu wszystko lepiej i inaczej, niż kiedy używa jakiegoś produktu seryjnego.

Henry chciał powiedzieć, że temu wyjątkowemu przeżyciu smaku niepodobna niczego przeciwstawić, milczał jednak i patrzył wyzywająco na Paulę, jakby od niej oczekiwał jakiejś pojednawczej maksymy, która by wszystkich usatysfakcjonowała, wydawało się jednak, że Paula nie jest gotowa łagodzić sytuacji ani opowiadać się po czyjejkolwiek stronie. Jakby chciała im pokazać, jak bezsensowna i nie w porę jest ich różnica zdań, bez słowa przyniosła ze swojego biurka najnowszy egzemplarz „Freie Presse”, bez słowa go rozpostarła i wskazała na zajmujący trzy szpalty nagłówek: POKER O PERSONEL KOLEJOWY. Widząc zaś, że żaden z jej kolegów jeszcze nie zna tego tekstu, odchyliła się w krzesło i odwróciła gazetę tak, żeby wszyscy jednocześnie mogli przeczytać artykuł, a przynajmniej przebiec go oczyma. Przeczytali więc, że zachodzi niebezpieczeństwo, iż olbrzymia góra długów przygniecie kolej; przeczytali, że koszty zatrudnienia personelu muszą zmniejszyć się o trzy koma sześć dziesiątych miliarda, zapoznali się z postulatem zarządu, opowiadającego się za zwolnieniem pięćdziesięciu tysięcy lub nawet większej liczby pracowników. Raz po raz czytali słowa „reformy kolei”, przeczytali też powtórnie formułę, wyrażającą treść porozumienia

związku pracodawców co do zapewnienia osłony socjalnej podczas akcji zmniejszania zatrudnienia. Paula pozwoliła im czytać i czekała na reakcję, na jakiś komentarz, ale żadnemu z trzech mężczyzn najwyraźniej nie przychodziło nic do głowy albo też nagle poczuli się zaliczeni do zwalnianych i na tyle tym dotknięci, że zaczęli zastanawiać się nad możliwościami, jakie im jeszcze pozostały. Na ich twarzach malowało się niedowierzanie, ale również zatroskanie, na formułę „przedłużenie czasu pracy bez wyrównania strat w wynagrodzeniu” Harms zareagował tylko machnięciem ręki. Pierwszy zabrał głos Henry. Roześmiał się krótko i złapał za szyję. Powiedział:

— Sam bym nie wpadł na takie pojęcie: „wartość wytwarzana”, tu w czwartym akapicie: „wartość wytwarzana wśród maszynistów, konduktorów i służby manewrowej wynosi około pięćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu procent opłaconego czasu pracy.” Chciałbym wobec powyższego wiedzieć, ile procent wytwarzanej wartości przypada na nas w tym biurze. Jak pan sądzi, panie Harms?

Harms wziął lalkę w obie ręce, popatrzył na zaklejone nacięcie, pokiwał głową, jakby coś oceniał, a potem odpowiedział Henry’emu:

— No cóż, gdybym miał oceniać pańską znajomość anatomii i zręczność podczas operacji, to wartość wytwarzana wyniosłaby sto dziesięć procent.

Wszyscy się roześmiali, Paula mrugnęła do Henry’ego i podała mu paczkę papierosów; Bussmann zaś powiedział:

— Gdyby policzyć wszystko, co leży w naszej sza-

fie z przedmiotami wartościowymi, człowiek mógłby sobie za to jakiś czas nieźle pożyć.

Harms podziękował za kawę i podał lalkę Henry'emu ze słowami:

— No to chodźmy wytwarzać dalej te wartości.

Po bokach wejścia do supermarketu stały dwa druciane kosze: jeden był pełen kostek mydła, w drugim zaś leżały małe pudełeczka z cukierkami szałwiowymi. Henry sprawdził obie promocje, zdecydował się na cukierki i przez otwarte drzwi spojrzął w kierunku kasy, a ponieważ niewielu klientów czekało na obsłużenie, wszedł do środka.

Tuż za stoiskiem z papierosami rzucił mu się w oczy pokolorowany plakat, ukazujący rodzinę na plaży jakiejś laguny: ojciec, matka i dwoje dzieci jedli coś różowego z plastikowych kubków i mieli potwierdzać prawdę hasła: „Sprawny przez cały dzień dzięki jogurtowi «Ritzka».” Przed plakatem stała Paula, stała tam z wózkiem na zakupy, w którym leżała jej torebka. Rozważała coś, może myślała o lagunie, przynajmniej przez chwilę, bo potem odchyliła głowę w tył i udała się z wózkiem w stronę półek z pieczywem, ciastami i makaronami, wzięła dwie paczuszki klusek, dorzuciła do nich paczkę żytnich herbatników, pomacała zapakowane w celofan bułki o przedłużonej trwałości i odłożyła je na półkę.

Oddzielony jedynie ścianą ułożonych w stosy towarów, w której było parę luk, Henry, nie znajdujący się na tej samej wysokości, lecz pozostający kil-

ka kroków w tyle, podążał za robiącą zakupy Paulą i obserwował z zadowoleniem, jakie produkty wkłada do koszyka, spoglądając co jakiś czas na kartkę. Nagniotła kciukiem biszkopt tortowy, to samo zrobiła z półtłustym serem ziołowym w dziale mleczarskim, gdzie zatrzymała się na dłużej, nie biorąc jednak nic poza litrem mleka; jogurt pominęła. Kartka przypomniała jej o mące, wróciła więc i wstawiła paczkę mąki do wózka, a potem zważyła jabłka i pomidory, które położyła na plastikowym worku ziemniaków. W chwili, gdy Paula była zajęta ważeniem, Henry dostrzegł tuż przed sobą pudełeczko pralinek z koniakiem, wziął je i wyczekał sposobności, kiedy niepostrzeżenie będzie mógł przemycić je do jej wózka. Okazja taka nadarzyła się w chwili, gdy Paula mieląc kawę odwróciła się do niego plecami. Mijając chusteczki higieniczne, wzięła całą zgrzewkę, podobnie też duże opakowanie cornfleksów i płyn do mycia naczyń; kiedy zaś pochyliła się nad zamrażarką, by obejrzyć mrożone warzywa, Henry'emu udało się włożyć do jej wózka butelczkę płynu po goleniu.

Paula powoli sunęła z wózkiem do kasy, a Henry znalazł miejsce, z którego mógł mieć w polu widzenia zarówno ją, jak i kasjerkę. Ktoś, kto chciał zapłacić tylko za paczkę papierosów, poprosił Paulę, aby go przepuściła, ustąpiła mu więc miejsca, następnie zaczęła wykładać swoje zakupy, szybko, bo już cisnęło się za nią niecierpliwie kilkoro klientów. Jeden po drugim kładła towary na ruchomej taśmie, kasjerka pozostawiła komputerowi ustalenie cen i podliczenie całego rachunku, aż Paula nagle osłu-

piąta ze zdumienia. Kiedy w rękę weszły jej pralinki z koniakiem, nie dość że osłupiała, to jeszcze rozejrzała się bezradnie wokół siebie, potrząsnęła głową i powiedziała do kasjerki coś, czego Henry nie zrozumiał, co jednak wystarczyło, aby zdziwiona kobieta podniosła wzrok i zatrzymała taśmę. Paula potrząsnęła pralinkami, odnalazła oczyma półkę, na której mogły leżeć, była bliska tego, żeby je odnieść albo po prostu byle gdzie odłożyć, ale zniecierpliwienie i westchnienia ludzi stojących za nią tak bardzo dawały się jej we znaki, że zrezygnowała z tego pomysłu. Wyciągnęła portmonetkę. Była gotowa zapłacić, kiedy jednak kasjerka doliczyła jeszcze płyn po goleniu, Paula chwyciła buteleczkę, podniosła ją do oczu, zaśmiała się sztucznie i stuknęła w czoło, na co kasjerka nie dość, że spojrzała na nią karcąco, to na dodatek z zatroskaniem, i przestała liczyć. Krótka, niezbyt miła wymiana zdań. Surowe zmierzenie wzrokiem. Zakłopotanie. Później Henry obserwował, jak Paula unosi ramiona i lekceważącym gestem godzi się na zakup płynu po goleniu; po prostu się poddała i, nie dowiedziawszy się chyba, ile ostatecznie musi zapłacić, położyła dwa banknoty na ladzie. Tyle powinno wystarczyć. Niosąc w rękach kilka plastikowych toreb, podążyła do wyjścia, odprowadzana zagadkowym wzrokiem kasjerki. Na dworze Henry ukrył się za żółtym, rozwożącym paczki samochodem pocztowym, a kiedy Paula znalazła się na tej samej wysokości, osowiła, usiłująca z trudem trzymać z dala od siebie torby, które prawie przy każdym kroku obijały się o jej tydki, wyłonił się z udawanym zaskoczeniem.

— Kogo ja tu widzę, któż to idzie? — zawołał, a po chwili: — Proszę mi to dać, pomogę pani.

I zanim Paula zdążyła wymamrotać słowa powitania, wziął od niej najcięższą torbę. Zdawało się, że Pauli wcale nie zdziwiło nagłe pojawienie się Henry'ego ani to, iż w tak oczywisty sposób idzie nagle obok niej, przechodzi przez ulicę i zmierza w stronę jej domu — zupełnie tak, jakby wiedział, gdzie ona mieszka. Raz tylko odstawił zakupy, a gdy Paula go spytała, czy torba nie jest za ciężka, odparł:

— To nie do wiary, po prostu nie do wiary, co ludzie targają do domu, tydzień w tydzień.

Paula otworzyła mu drzwi wejściowe i pierwsza weszła na schody. Wspięli się aż na czwarte piętro, gdzie na tabliczce przymocowanej do drzwi widniał napis: „Marco i Paula Blohmowie”; a więc jej mąż nadal jest tu zameldowany, pomyślał Henry, chociaż bardzo rzadko bywa w domu, pewnie wpada tylko na krótko. Weszli do ponurego przedpokoju, na wieszaku wisiał samotnie jakiś żakiet, sprawiając wrażenie zapomnianego lub niepotrzebnego, a może wisiał tak w oczekiwaniu na coś, w stojaku na parasole stały natomiast biały parasol i laska.

— Gdzie to zanieść? — spytał Henry, na co Paula, wieszając klucze, odparła:

— Do kuchni.

Poprawiła się jednak natychmiast, prosząc, żeby postawił torby w pokoju, „obok tego potwora”, jak się wyraziła, czyli obok potężnej staroświeckiej szafy, sięgającej prawie sufitu. Henry był pod wrażeniem wielkości pokoju, chociaż bowiem stare meble — pamiątki rodzinne, jak się później dowie-

dział — zajmowały dużo miejsca, wydał mu się większy niż całe jego mieszkanie.

— Proszę usiąść, niech pan najpierw odpocznie — poprosiła Paula i zaproponowała mu kawę lub kieliszek sherry, ale on podziękował za jedno i drugie, poprosił tylko o pozwolenie zapalenia papierosa i zajął się oglądaniem skromnego zbioru pamiątek urlopowych: skamieniałe jeżowce, dziwaczne gałęzie, muszelki i gładko oszlifowane krzemienie; nad tą kolekcją wisiła zaś reprodukcja *Ryb* Paula Klee.

— Z pewnością wszystko to sama pani zbierała? — spytał Henry.

— Wszystko — przytaknęła Paula.

A ponieważ zauważył jej przyzwalające spojrzenie, podszedł do bufetu, na którym stało kilka fotografii w ramkach; na wszystkich widać było dość tęgiego mężczyznę, który z ciepłym uśmiechem patrzy w obiektyw; nad zdjęciem zaś, ukazującym go pod rękę z innym mężczyzną, który odsłaniał ogromne zęby, widniała napisana odręcznie dedykacja: „To my other voice Marco from his admiring listener Jerry”. Henry był jeszcze zajęty odszyfrowywaniem dedykacji, gdy Paula pośpieszyła z wyjaśnieniem:

— To Jerry Lewis, słynny komik, spotkali się tylko raz, aktor i mój dubbingujący go mąż, był to najweselszy wieczór w moim życiu; kazali odkurzaczo wi tańczyć, a maszynie do pisania wystukiwać jakąś melodię.

Poszła do kuchni, zawołała Henry’ego do siebie i otworzyła szklane drzwiczki jednej z szafek:

— Widzi pan, tu jest ten chiński serwis do herbaty, który u pana kupiłam.

— Nie u mnie go pani kupiła — odparł Henry — u mnie dostałaby go pani za połowę ceny.

— Nie używam tego serwisu codziennie — powiedziała Paula — nie wystawiam go też dla wszystkich gości, dla mnie on jest czymś wyjątkowym. Nie napije się pan nawet soku owocowego?

— Dziękuję — rzekł Henry, odwracając się w stronę drzwi.

— Proszę zaczekać — poprosiła Paula, weszła do pokoju, podniosła torbę i wytrząsnęła jej zawartość na fotel; następnie sięgnęła po coś, wróciła i podała mu płyn po goleniu:

— Zdaje mi się, że używa pan płynu tej marki, prawda?

Henry uśmiechnął się, ale nie powiedział nic, gdy Paula spytała:

— Czasem to miłe poczuć się znowu dzieckiem, czyż nie? W każdym razie dziękuję panu za przysługę.

Henry z zadowoleniem zamarkował ukłon, podszedł do niej szybko, wziął pudełko z pralinkami i położył je na bufecie obok fotografii w ramkach:

— To na przeprosiny, pieniądze oddam jutro rano; mam nadzieję, że lubi pani pralinki z koniakiem.

Chciał się już odwrócić, gdy nagle jego wzrok padł na dziwne zdjęcie grupowe, które ukazywało chyba z tuzin motocyklistów przed portalem jakiegoś kościoła; wszyscy mieli na sobie skórzane kombinezony, także mężczyzna stojący tyłem do portalu i

podnoszący ręce w geście błogosławieństwa nosił taki skórzany kombinezon, a na piersi łańcuch ze srebrnym krzyżem.

— Wielki Boże — wykrzyknął Henry — co tam się dzieje?

— Świecenie — odparła Paula — to jest wspólnota Huberta, Hubert jest moim bratem, pastor święci również ich motocykle.

— Czy pastor też do nich należy? — spytał Henry.

— Nie, skądże znowu — odparła Paula — ale jest zapalonym motocyklistą.

— Wygląda jak Jezus — powiedział Henry.

— Mają lokal, w którym spotykają się często na wspólnych kolacjach — powiedziała Paula — robią też wspólne wycieczki, mój brat jest jednym z ich liderów, martwię się o niego.

— Może święcona woda zmniejszy zużycie benzyny — zasugerował Henry — takie błogosławieństwo musi przecież przynosić jakiś pożytek.

Henry wziął fotografię do ręki, usiłował rozpoznać poszczególne twarze, mając z pewnością nadzieję, że dostrzeże jakiegoś znajomego, ale zdjęcie nie było wystarczająco ostre. Odstawił je z powrotem na miejsce i powiedział rozbawiony:

— Jak pani sądzi? Czy my nie powinniśmy również zwerbować jakiegoś pastora do nas, do naszego biura? Dobrze by było, gdyby dwa razy dziennie błogosławił osoby gubiące rzeczy i pozostawiał ich z maksymą: Kto gubi, ten znajdzie, a kto sam się zgubi, będzie znaleziony.

Potem podszedł do niej szybko, pocałował ją w policzek i otworzył drzwi. Nie schodził po scho-

dach, tylko przeskakiwał stopnie, a na pierwszym półpiętrze — zakładając, że Paula patrzy za nim — podrzucił wysoko małe pudełko z buteleczką płynu po goleniu i zgrabnie je złapał.

Betonowy plac między wieżowcami był w niedzielę prawie pusty; Barbara mogła zaparkować tak, żeby jej samochód był widoczny z mieszkania Henry'ego. Zatrąbiła dwa razy i czekała, po chwili Henry ukazał się w oknie i dał jej znak, że jest gotów.

Chętnie jechała na mecz, który Henry miał po raz pierwszy rozegrać w pierwszoligowej drużynie, w zastępstwie napastnika, zmuszonego do pauzowania wskutek złamanego obojczyka; już od dawna była zdania, że jej brat zasługuje na grę w najwyższej lidze. Poza tym cieszyła się, że pozna doktora Lagutina, o którym Henry opowiadał z takim szacunkiem i sympatią i którego udało mu się przekonać, żeby spędził jedną nudną niedzielę pośród ludzi; Henry najwyraźniej zapomniał, że dla doktora Lagutina nie istnieją nudne niedziele ani w ogóle żadne nudne godziny.

W dobrym humorze schował do bagażnika torbę podróżną i nowy kij, usadowił się obok kierowcy i na powitanie czule pogłaskał Barbarę po głowie:

— No, moja dobrodziejko? Jak tam pogoda dla bogaczy?

Zamiast odpowiedzieć, Barbara spytała:

— Gdzie mieszka ten twój Rosjanin?

— On wprawdzie jest Rosjaninem, ale przywiązuje dużą wagę do swojego baszkirskiego pochodze-

nia — powiedział Henry — a mieszka w Adlerze, skromnym hoteliku, wystarczająco skromnym, by mógł być hotelem politechniki.

— Daleko stąd?

— W pobliżu dworca.

— Dobrze, mów, jak mam jechać. Z pewnością przyjedziemy za wcześnie, ale przecież musisz odbyć naradę z zespołem.

Henry poprowadził siostrę przez układ ulic jednokierunkowych między wieżowcami, a potem przez drugi układ ulic jednokierunkowych przy dworcu głównym; w pewnym momencie nastawił radio samochodowe, ale na prośbę Barbary wyłączył je: nie mogła znieść głosu moderatorki.

— Dobrze wyglądasz, Barbaro — powiedział — zwłaszcza gdy się złościsz.

— Posłuchaj tylko, jak oni mówią — rzekła Barbara — wszystko musi brzmieć dowcipnie, wesoło, żartobliwie, nawet meldunki o sytuacji na drogach, a kiedy nadają komunikat o jakimś masowym karambolu, podkładają pod relację muzykę. Pięciu rzeczowych zdań nie pozwolą człowiekowi wysłuchać w skupieniu.

— Barbaro, bierzesz wszystko zbyt poważnie.

Skreśli w cichą boczną uliczkę, przy której znajdował się hotel Adler i Henry natychmiast zobaczył doktora Lagutina, stojącego przed wejściem i przemawiającego do jednego z dworcowych gołębi, który najwyraźniej się tu zabłąkał i żebrząc, dreptał wokół niego. Lagutin miał na sobie nowe, jeszcze sztywne dżinsy i jasną skórzaną kurtkę przed kolaną, w ręce dyndała mu torba obszyta futrem. Kiedy

auto zatrzymało się obok niego, otworzył Barbarze drzwiczki i podał jej rękę, później szybko objął Henry'ego i czekał, żeby ten przedstawił go siostrze.

— A więc, Barbaro, to jest Fiodor Lagutin — powiedział Henry — o którym ci opowiadałem.

— Miło mi — odrzekła Barbara — bardzo mi miło — i szczerze spojrzała mu w oczy.

— Nie ma rzeczy bardziej naturalnej niż powtórzyć podziękowanie — powiedział Lagutin do Barbary — ta chwila zaś zmusza mnie do tego, bym jeszcze raz wspomniał, jak wielkim jestem dłużnikiem pani brata; niewykluczone, że ułatwił mi życie.

— No, tak źle chyba nie jest — powiedział Henry, mrugając ukradkiem do Barbary, której, jak zauważył, sposób wyrażania się Lagutina niezmiernie przypadł do gustu.

— Fiodor siada z przodu, ja idę do tyłu — zdecydował Henry — jedziemy, do ośrodka sportowego.

Fiodor chwalił auto, wyposażenie, cicho pracujący silnik, chwalił fotel, który dawał mu poczucie, że „podróżuje na chmurce”, nie omieszkał również pochwalić Barbary jako kierowcy.

Henry pochylił się ku niemu i spytał:

— Czy pan też gra w hokeja na lodzie? Wy, Rosjanie, jesteście przecież narodem wielkich hokeistów, wielokrotnie byliście mistrzami świata.

Fiodor potrząsnął przecząco głową i zaznaczył, że hokej na lodzie wprawdzie zawsze go interesował, sam jednak nigdy nie miał okazji grać; jedyny sport, jaki uprawiał w wolnych chwilach, to szachy, szachy i przez jakiś czas strzelanie z łuku, ale tytułów

mistrzowskich nie zdobył ani w jednej, ani w drugiej dyscyplinie.

— Dzisiaj Henry po raz pierwszy gra w zespole pierwszoligowym — powiedziała Barbara — zastępuje kontuzjowanego gracza.

— Wiem — odparł Fiodor Lagutin i dodał: — Jeśli zwycięży, zagram jedną melodię na flecie, a w przypadku porażki — dwie.

— Gra pan na flecie?

— To nasz ulubiony instrument; a ponieważ podstawowy ton rodzi się w krtani, mój flet umie wyrazić wszystko.

— Na stadionie pewnie nikt pana nie usłyszy, tam słychać tylko syreny, krowie dzwonki i głośniki, w takim tłumie dźwięk fletu z pewnością by utonął.

— Ma pani rację: na stadionie mój flet szybko upadłby na duchu, zostałby zagłuszony na śmierć; nie, myślałem o swoim pokoju w hotelu, jest tam tak cicho, jak niekiedy w stepie.

Barbara mimo woli zerknęła na niego z boku, zawahała się chwilę, potem jednak spytała:

— Mieszkał pan w namiocie?

— Ale ty zadajesz pytania — obruszył się Henry, zdawało się jednak, że Fiodor nie poczuł się zaskoczony ani obrażony, bo odparł:

— Mój dziadek żył w naturze ze swoimi zwierzętami, miał dużo koni i chartów, ale także dwa sępy, które udało mu się ułożyć do polowań, a kiedy, przeważnie wczesnym latem, docierało do mnie jego zaszczytne zaproszenie, jechałem tam i spałem u niego w kibitce, jak nazywamy nasze namioty. W Sa-

ratowie, na uniwersytecie, mieszkałem w domu studenckim, gdzie we czterech rozkoszowaliśmy się przyjemnym pokojem.

— Jedź na łakę — powiedział Henry do Barbary — parking jest przepełniony.

Zostawili samochód na łące, podmokłej jeszcze od ostatniej ulewy, więc chlupotało przy każdym kroku, a czasem woda aż tryskała, gdy dając susa lądowali w jakiejś niezauważonej kałuży. Później przebyli razem sto dwadzieścia stopni po schodach, pokazali biletowowi wejściówki, które przyniósł Henry, i rozstali się tam, gdzie droga prowadzi do kabin: Barbara i Fiodor udali się do łoży „B” — łoży prominentów, Henry zaś w kierunku korytarza wiodącego do szatni zespołu. W powietrzu wisiał dym. Uderzenia w bębny, głucho, stłumione, jakby na próbę, już wypełniały owalny stadion. Po boisku, kierowana przez olbrzymiego jegomościa, pełzła warcząca maszyna do wytwarzania lodu.

W łoskocie rozlegającej się nad ich głowami grzechotki Barbara i Fiodor weszli do łoży i usiedli przy balustradzie. Uwadze Barbary nie uszło wzmożone zainteresowanie, jakie wzbudziła w towarzystwie Lagutina, pozwalająca się więc obejmować i całować znajomym, a na pytające spojrzenie jej jasnowłosego sąsiada poznała obu panów ze sobą:

— Doktor Peltzer, kolega Henry’ego i miłośnik sportu — doktor Lagutin z Saratowa.

Doktor Peltzer, siłąc się na uprzejmość, powiedział:

— Ja niestety nie rozumiem po rosyjsku.

Barbara skomentowała to zwięźle:

— Doktor Lagutin mówi wspaniale po niemiecku.

— O — powiedział doktor Peltzer — goście z narodu wielkich hokeistów są nam szczególnie mili; jeśli pan pozwoli, chciałbym zaprosić pana na drinka.

I od razu skinieniem przywołał kelnera. Lagutin nie chciał lub nie umiał się zdecydować, zamówienie czegoś dla siebie pozostawił Barbarze, a kiedy poprosiła o martini, skinął z uznaniem głową i rzekł:

— Poproszę o to samo; żywię namiętność do nieznanych rzeczy.

Muzyka ucichła, spiker ogłosił, że za kilka minut zostanie odgwizdany początek meczu między „Blue Devils” a „Flying Penguins”, a usłyszawszy jakiś trzask, poprosił, by kibice nie rzucali petard na boisko, zapalając natomiast zimne ognie, myśleli o sąsiadach. Fiodor poczęstował Barbarę papierosem i zapytał:

— Czy pani także znajduje radość w sporcie?

— W wolnych chwilach tak — odparła Barbara — kajaki, jestem kajakarką-amatorką.

— Wy płynąć i ślizgać się — powiedział Fiodor, a w jego ciepłym i serdecznym spojrzeniu pojawiła się nagle jakaś niepewność, zatroskanie, zupełnie tak, jakby zląkł się, że jego słowa mogą zostać o-pacznie zinterpretowane, ale Barbara rozproszyła te troski, mówiąc z zadumą:

— Wy płynąć i ślizgać się, ot co.

Muzyka ponownie się urwała, głośnik niósł przez chwilę odgłos skaczącej po blaszanym dachu szarańczy, a następnie spiker odczytał nazwiska i nazwy sponsorów.

Jakże podniecona była Barbara, gdy wpuszczono zawodników na lód; poderwała się, zaklaskała w dłonie, zatupała i zapomniała o Fiodorze Lagutinie, który ze spokojem i lekkim rozbawieniem obserwował obydwie zespoły podczas ceremonialnego powitania, z podobnym też spokojem i rozbawieniem znosił oszalały ryk instrumentów. Szybko odnalazł wzrokiem Henry'ego, który poklepał swojego bramkarza po hełmie — na szczęście, a potem niedbałym łukiem objechał własną bramkę; w pewnym momencie Henry podniósł kij w kierunku łoży, oboje, Barbara i Lagutin, uznali to za pozdrowienie, więc pomachali mu w odpowiedzi. Sędzia, o którym dowiedzieli się, że pochodzi z Füssen, wyjął z kieszeni krążek hokejowy.

Początkowo na stadionie panowała cisza, dał się tylko słyszeć twardy klekot uderzających o siebie kijów i krótkie, głuche odbicia krążka o bandę. Zawodnicy zachowywali się powściągliwie, zagrywali krótko, niekiedy w poprzek przez całe boisko — zupełnie tak, jakby chcieli wypróbować różne sposoby przyjęcia krążka, nagle jednak, po tym spokojnym początku, jakiś głos z łoży „C” zawołał: „Go, Eddy, go!”, co dla wielu kibiców oznaczało, że ów człowiek ma na myśli nowy nabytek „Flying Penguins”, Kanadyjczyka Eddy'ego Sombirskiego. Wołającemu podziękowano śmiechem, gra się ożywiła, a kiedy Eddy zaatakował, ograł dwóch przeciwników, niebezpiecznie manewrując ciałem odbił się od bandy i zaryzykował strzał z daleka, który rękawica bramkarza niby mimochodem wyłowiała z powietrza, naraz zaczęły kłócić się syreny i wibrujące

gwizdki, grzechotki zaś usiłowały zagłuszyć jedne i drugie.

W drugiej tercji Henry, strzeliwszy wcześniej gola z rzutu karnego, upadł w pewnej chwili, gdyż któryś z przeciwników podstawił mu nogę. Leżąc na brzuchu, sunął po lodzie, aż nagle dostał krążkiem, który trafił go w twarz i rozciął mu łuk brwiowy. Henry'emu udało się szybko podnieść, z zakrwawioną twarzą zainicjował kolejny atak, zagrał do napastnika swojej drużyny, który jednak strzelił ponad bramkę. Dopiero potem Henry zjechał do bandy, gdzie lekarz sportowy zbadał jego ranę. Lekarz i trener postanowili wycofać go z gry.

Kiedy odprowadzano Henry'ego do wyjścia, Barbara poszukała ręki Fiodora, schwyciła go mocno i nie puszczając, poderwała do góry, po czym wyprowadziła z łoży przez korytarz, a następnie schodami w dół do kabin. Ze stadionu dobiegł ich tylko jęk zawodu. W miejscu, gdzie porządkowy z opaską na ramieniu pilnował drzwi, stał fotoreporter.

— Na pewno tam jest — orzekła Barbara.

Porządkowy rozpostarł ramiona, zagradzając wejście do kabiny, i powiedział z ubolewaniem:

— Tu nie wolno wchodzić.

— Chcę się dostać do mojego brata — powiedziała Barbara, na co porządkowy poinformował ją:

— W środku jest lekarz, Henry Neff jest właśnie szyty.

— Co?

— Łuk brwiowy, lekarz zszywa mu łuk brwiowy.

— Zszywa?

— Nie wolno mi nikogo wpuszczać do środka,

jeśli państwo chcą, mogą poczekać po drugiej stronie na ławce.

Usiedli na grubo ciosanej ławce, Barbara złożyła ręce, zaciskając je mocno, i westchnęła na myśl o tym, iż lekarz przekłuwa brew Henry'ego igłą, którą potem przeciąga przez skórę. Gdy doktor Lagutin zauważył, że ciałem Barbary wstrząsa dreszcz, pogładził ją po ramieniu i przemówił do niej uspokajająco:

— Proszę nie zakładać najgorszego, nie myśleć o najgorszym; już niejednemu z naszych wielkich zawodników zszywano łuk brwiowy; a te małe, sine ukłucia, które po tym pozostają, świadczą o męstwie i dzielności, one zdobią zawodnika. Widziałem z bliska wielkiego Michajłowa, Szamańskiego z Charkowa i Wassiliewicza, obdarzonego talentem napastnika z Omska; w jakimś momencie krążek zostawił na ich twarzach ślad, który przyniósł im zaszczyt.

Po chwili zaś dodał, doprowadzając Barbarę do śmiechu tym zdaniem:

— Pamiętajmy o tym, że szczęście Henry'emu sprzyjało i że udała mu się cudowna bramka.

— Jedziemy do mnie — powiedziała Barbara, po czym razem z Fiodorem Lagutinem wzięli Henry'ego między siebie i przez słabo oświetlony korytarz poprowadzili do wyjścia. Henry nie był zadowolony z decyzji lekarza, który polecił wycofać go z gry, z chęcią grałby dalej nawet z raną zalepioną plastrem, był pewien, że udałoby mu się wbić „Pen-

guinsom” jeszcze ze dwa lub trzy gole, jak powiedział. Przyszło mu na myśl nazwisko zawodnika, który kiedyś ze złamaną kością nosową wytrwał całą tercję, a na koniec strzelił zwycięską bramkę — jego postawił sobie za wzór. Ból, twierdził, jest do wytrzymania, nawet teraz, gdy znieczulenie przestaje działać.

Barbara prowadziła. Fiodor poprosił, żeby wysadzili go przy Adlerze, a uzasadnił swoją prośbę następująco:

— Przypuszczam, że jestem teraz zbędny.

Ale Barbara zaprzeczyła i poprosiła, aby razem z nią i Henrym pojechał do niej do domu. Zamknięcie ruchu zmusiło ją do zboczenia ze zwykłej drogi; jakiś policjant nakazał jej ruchem ręki, aby jechała wolniej, zatrzymała się więc, odkręciła szybę i zapytała, dlaczego pod tablicą drogową zgromadziło się tylu ludzi i co robi ten mężczyzna na składanej drabinie.

— Zmiana nazwy — powiedział policjant. — Nabrzeże Księcia Ludolfa za chwilę otrzyma inną nazwę.

— Gdybyś czytała dodatek miejski do „Allgemeine”, wiedziałabyś, że dzisiaj musimy pożegnać się z naszym „Nabrzeżem Księcia Ludolfa” — pouczył ją Henry i odkręcił szybę po swojej stronie w nadziei, że zrozumie kilka zdań z tego, co mówi mężczyzna na drabinie. Ale on właśnie zakończył przemówienie, ściągnął tablicę z napisem „Nabrzeże Księcia Ludolfa” i z trudem umocował nową, nadającą ulicy jej przyszłą nazwę. Został nagrodzony skromnymi oklaskami.

— Czy zdarzyło się jakieś nieszczęście? — spytał Lagutin.

— Przeciwnie — odparł Henry — przemianowano ulicę, wreszcie, był już najwyższy czas; nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego tę piękną ulicę nazwano „Nabrzeżem Księcia Ludolfa”, imieniem tego namaszczonego głupca.

— Czy nie był to szczodry władca? — spytał Lagutin, na co Henry odparł:

— Szczodry? On?

— Wyróżniało go tylko spożycie czerwonego wina, trzy butelki dziennie, no i liczba kochanek. Ale wynalazł też szczypce do cukru — powiedziała Barbara.

— Właśnie — podchwycił Henry — wynalazł szczypce do cukru, szczypce księcia Ludolfa: aby można było dobrze uchwycić kostkę cukru, ramiona szczypców kończą się ptasimi szponami, szponami sępów albo czymś podobnym. Widzisz, Fiodorze, również dzięki czemuś takiemu można zostać sławnym, przynajmniej w naszym mieście.

Fiodor Lagutin wysunął głowę z samochodu i usiłował odczytać nową nazwę ulicy; kiedy sylabizował „Nabrzeże Richarda Fabiusa”, jego głos brzmiał twardo; później powtórzył to nazwisko, spojrzał na Barbarę i zapytał:

— Polityk? Generał? A może pan Fabius był znamienitym przedsiębiorcą?

— „Allgemeine” zamieściła właśnie duży portret — powiedział Henry. — Richard Fabius był uczonym, sam siebie nazywał badaczem starożytności, jego najważniejsze dzieło, którego niestety nie znam,

nosi tytuł *Wiedza Egipcjan*. W tym roku obchodziłby setne urodziny.

— Jakież to zaszczytne — powiedział Fiodor Lagutin.

— Wprawdzie urodził się tutaj — powiedział Henry — ale zmarł gdzieś na Wschodzie.

— Ach, Henry — rzekł Fiodor Lagutin — ja mieszkałem przy takiej ulicy, którą trzykrotnie przemianowywano.

— Mama jest w domu — powiedziała Barbara i skręciła w zwirowaną ścieżkę, prowadzącą do bladoniebieskiej, wielkopańskiej willi; przed podwójnym garażem stał ciężki „oldtimer”, mercedes z lat trzydziestych. Fiodor szybko wysiadł i otworzył Barbarze drzwiczki. Spoglądał przy tym na brzeg jeziora, gdzie przy drewnianych pomostach były zakotwiczone łodzie wiosłowe, na których ku jego zdumieniu siedziały mewy. Zwróciwszy się do Henry’ego, spytał:

— Mewy?

Na co Henry odparł:

— Z gatunku małych mew śródlądowych, bo te na wybrzeżu są dwa razy większe.

Barbara poszła przodem, ale spostrzegłszy, że Fiodor Lagutin się ociąga, wzięła go za rękę:

— Chodźmy proszę, mama się ucieszy.

A ponieważ również Henry go przekonywał, Lagutin pozwolił się prowadzić.

Powitało ich szczekanie psów, czarny bokser skoczył na Barbarę, skulił się z radości, skoczył na Henry’ego i z radości zrobił kilka kroków na tylnych łapach; chciał też właśnie skoczyć na Fiodora La-

gutina, gdy naraz zwałchał torbę obszytą futrem; skulił się więc natychmiast, zawarczał i obnażył bardzo zdrowe kły.

— Spokojnie — powiedziała Barbara — spokojnie, Jasza, to przyjaciel.

— Jasza jest najgłupszym psem w mieście — powiedział Henry — ale to ulubieniec mojej matki.

— Jasza nie jest głupi — zaprzeczyła Barbara, pozwalając, by pies, który się tymczasem wyprostował, położył jej przednie łapy na piersiach i polizał ją po brodzie.

— Chodźcie, siadajcie — zaprosiła Barbara.

Poszła do kuchni, żeby wstawić wodę na herbatę, Henry zaś przysunął skórzany szeszlony do stołu, na którego szklanej płycie stały popielniczki i czarki z drobnymi ciasteczkami.

— Ból głowy? — spytał Lagutin.

— Trochę się wyciągnę — powiedział Henry — mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

I umościł się na szeszlony, a potem obmacał zaklejoną plastrem brew. Mimowolnym zamaszystym gestem zaprezentował dom:

— To mój dom rodzinny, Fiodorze, dzisiaj mieszkają tu tylko moja matka i Barbara, ja mam swoje własne małe mieszkanko.

— Piękne — pochwalił Fiodor — wszystko wydaje mi się bardzo piękne.

A ponieważ zachęcano go, żeby się rozejrzeć, zaczął bez skrępowania oglądać dwie lampy stojące, kominek z dekoracyjnie ułożonymi na stosie polanami drewna i witryny pełne pokolorowanych porcelanowych figurek. Długo patrzył na utrzymany w

odcieniach szarości portret ojca Henry'ego, który zginął w wypadku lotniczym pod Hongkongiem; spostrzegłszy zaś na dywanie stylizowany symbol rozwoju, skinął radośnie głową i zacytował fragment *Fausta* Goethego: „Drzewa, co wiecznie się zielenią...”

— Jak ty się wystawiasz, Fiodorze — powiedział Henry z podziwem. — Lubię słuchać, gdy mówisz po niemiecku, musieliście mieć w Saratowie dobrego nauczyciela.

— Profesor Makarowicz — powiedział Lagutin — tłumaczył Schillera, trochę Goethego i Hölderlina; kiedy cytował, zamykał oczy. Niemieckiego uczyłem się jako przedmiotu dodatkowego i tylko dlatego, że wielbiłem profesora Makarowicza, który również nas nauczył kochać wasz język, tak bardzo przez niego umiłowany.

Podczas gdy Barbara ustawiała filiżanki, do tego cukier kandyzowany, herbatniki, sucharki i masło, weszła matka, szczupła siwowłosa kobieta. Miała na sobie czarny kostium, sznur drobnych perełek, a malowała się prawdopodobnie w takim pośpiechu, że szminka na górnej wardze jej się rozmasała. Lagutin wstał, zrobił krok w jej kierunku, ona jednak minęła go, zmierzając ku Henry'emu, już przy nim była, dowiadując się, co mu się przydarzyło i czy coś go boli.

— No szybko, powiedz mi, chłopcze, co się stało i kto ci to zrobił?

Henry starał się ją uspokoić:

— Nic szczególnego, mamó, dostałem krążkiem, rozciął mi łuk brwiowy, ale już go zszyto.

— Łuk brwiowy? Zszyto?

— To się robi, jak jest rozcięty — powiedział Henry — niedługo nie będzie już śladu.

— Usiądź, mamó — powiedziała Barbara — nie martw się, w hokeju na lodzie to się zdarza nagminnie.

Położyła jej ręce na ramionach i łagodnie wcisnęła ją z powrotem w krzesło, ale nadaremnie próbowała matkę uspokoić.

— Przewidywałam to, Henry, zawsze się tego bałam — gderała matka — a teraz się stało: hokej na lodzie... nikt mi nie wmówi, że to jest sport; jeden jedyny raz ci uległam i obejrzałam mecz, ale tylko dlatego, że ty w nim grałeś, i to mi wystarczyło, to przecież jest coś dla ludzi, którzy znajdują przyjemność w brutalnych zachowaniach.

— To cudowny sport, mamó — powiedział Henry — a twardość jest jedną z jego cech, twardość i szybkość.

— Nie zapominaj o kiju — powiedziała matka — kiedy wam nie wystarcza pięści, młóćcie się tymi kijami, sama przecież widziałam. W każdym razie nikt mnie nie namówi, żebym jeszcze kiedykolwiek poszła na mecz hokejowy.

Zdawało się, że w tym wzburzeniu nie zauważyła Fiodora Lagutina, który spokojnie czekał obok kominka; teraz jednak odwróciła się w jego stronę, przeprosiła i spytała, czy Lagutin nie jest przypadkiem jednym z tych graczy w hokeja, być może nawet kolegą z zespołu Henry'ego. Zanim Fiodor zdążył odpowiedzieć, Barbara przedstawiła gościa:

— Mamo, to jest doktor Lagutin, przyjaciel Henry'ego, zabraliśmy go ze sobą na mecz, a teraz chcielibyśmy napić się herbaty.

Matka podała Lagutinowi rękę, ale przyglądała mu się z tak szczerym zaciekawieniem, że Barbara, której ta obserwacja się nie podobała, dodała szybko:

— Doktor Lagutin jest gościem politechniki, pracuje nad pewnym projektem badawczym.

— Wobec tego jest pan pewnie fizykiem? — spytała matka, na co doktor Lagutin odparł, uśmiechając się:

— Matematykiem.

— Doktor Lagutin przyjechał z uniwersytetu w Saratowie — dodała Barbara — ale pochodzi z Samary.

— Od razu się domyśliłam, że przybywa pan z daleka — powiedziała matka i poprosiła uprzejmie, aby siadł do stołu.

Przyglądała się uważnie, jak Lagutin dotyka filiżanki, podnosi ją z podziwem pod światło, szukając najwyraźniej konturu róży, i tak, jak się mówi do cudzoziemca, o którym nie wiadomo, czy zna nasz język, powiedziała:

— Sèvres, manufaktura królewska, Sèvres, rozumie pan? Pochodzi z Paryża, z Francji, stara porcelana.

— Mamo, doktor Lagutin mówi bardzo dobrze po niemiecku, nie musisz mówić do niego hasłami.

Nagle pies zaczął warczeć; powoli, wyciągając się ostrożnie, przysunął się do krzesła Lagutina, do ob-

szytej futrem torby opartej o nogę krzesła, po czym zmarszczył nos i wlepił roziskrzzone ślepia w torbę, gotów się w nią wgryźć.

— Zachowuj się, Jasza — powiedziała Barbara.

Henry zaś dodał: — Zamknij pysk, bo stąd wylecisz.

Ponieważ jednak pies nie słuchał upomnień, matka pogłaskała go po łbie i spytała:

— Co mu jest?

— Ta torba — odparł Henry — Jasza w swojej głupocie wziął się na tę torbę, połóżcie ją w jakimś bezpiecznym miejscu.

— Tak mi przykro — zwróciła się matka do Fiodora Lagutina — muszę pana prosić o wybaczenie tych wybryków Jaszy.

— O, to mnie nie dziwi — powiedział pogodnie Lagutin — pani pies ma prawo zachowywać się wrogo wobec tej torby, charty mojego dziadka już dawno by ją porwały i uciekły. To futro drażni psy, jest to futro piżmaka, mój dziadek je spreparował i naszył na moją torbę w charakterze ozdoby.

— To zabawne zwierzątko, mamie — powiedziała Barbara, a Henry dodał: — Ale prowadzą wzorowe życie rodzinne.

Poprosił o podanie mu torby, którą następnie położył obok siebie.

Barbara nalała wszystkim herbaty, a starsza pani zachęciła gościa, żeby poczęstował się leżącymi w miseczkach ciasteczkami albo spróbował jednego z wafli w kształcie serca, które to wafle, jak powiedziała, smakują najlepiej, jeśli lekko posmarować je masłem. Fiodor Lagutin wymamrotał ciche podzię-

kowanie i poszedł za jej radą. Pochwalił ciastka; w tej chwili nie może przypomnieć sobie podobnej rozkoszy dla podniebienia, nawet placek grzybowy, ulubione ciasto z czasów jego młodości, nie wytrzymuje porównania. Obwieściwszy to, skrobnął łyżeczką po maśle, skrobnął po raz drugi, aż uznał, że taka bryłka wystarczy, następnie potrzymał ją nad filiżanką, do której masło zaczęło skapywać; z zadowoleniem obserwował, jak się rozpuszcza i rozpływa, pozostawiając małą, lśniąca plamkę tłuszczu. Barbara i jej matka wymieniły zdumione spojrzenia, potem przez chwilę mieszały herbatę, wreszcie zaś matka powiedziała:

— Cukier jest w cukiernicze, obok wazonu.

— Dziękuję — odparł Lagutin — zauważyłem już cukiernicę, ale w domu smakujemy herbatę z odrobiną masła, pozwoliłem sobie obsłużyć się.

— Czy to się w ogóle nadaje do picia? — spytała matka. — Herbata z masłem?

— Dlaczego nie? — zaproponował Henry, na co Barbara: — Muszę natychmiast spróbować.

I pacnęła trochę masła do swojej filiżanki, nie zaczęła jednak, aż tłuszcz się rozpuści, tylko wypiła kilka łyčzków, po czym stwierdziła:

— To się da pić, smakuje wprawdzie trochę dziwnie, ale da się wypić.

Lagutin napomknął, że herbata z masłem to napój zimowy w okolicach, z których pochodzi, a po chwili dodał zniechęca:

— Masło wytwarzają u nas kobiety swoimi skrzętnymi rękami.

— Pozwól więc, że spróbuję — powiedziała mat-

ka i wypła łyk z filiżanki Barbary, po czym, jakby nasłuchując, podniosła oczy i doszła do wniosku:

— Na pewno nie zaszkodzi.

— Zdrowsza — powiedział Lagutin — bez wątpienia zdrowsza jest herbata z miodem leśnym, ale, jak się już dowiedziałem, brak tu dzikich pszczoł, podczas gdy nas rozpieszczają liczne ich roje; mój dziadek posiada sześćset uli.

Po czym obiecał Barbarze to, co już wcześniej przyrzekł młodej recepcjonistce; gdyby się zdarzyło, że jeszcze kiedyś tu przyjedzie, przywiezie jej dwa słoiki miodu leśnego.

— Tymczasem jednak zostaniesz u nas, Fiodorze — stwierdził Henry. — Przypuszczam, że ludzie z politechniki nie pozwolą ci tak szybko wyjechać.

— Mam taką nadzieję — powiedział Fiodor — jeszcze niczym nie uzasadniłem zaproszenia mnie tutaj, jesteśmy dopiero u zarania pracy.

— Czy wolno spytać, nad czym pan pracuje? — zainteresowała się matka.

— Niewątpliwie rezultaty okażą się przydatne — powiedział Fiodor Lagutin — przydatne dla techniki i gospodarki, może także dla podróży kosmicznych; pracujemy nad zdalnie sterowanymi maszynami liczącymi.

— No, to nie byłoby z pewnością nic dla mnie — powiedziała Barbara, napełniła filiżanki i odtrąciła psa, który przywarł do jej nóg, domagając się zainteresowania.

Henry wyprostował się na szeszlunku, chciał coś powiedzieć — skarcić psa, pogrozić mu — ale opadł

z powrotem i przyłożył dłoń do czoła. Matka podeszła do niego i, jakby już dawno to wszystko przewidziała, rzekła:

— Widzisz, teraz zaczyna boleć, doczekałeś się.

Poprosiła Barbarę, żeby przyniosła z apteczki tabletkę od bólu głowy. Lagutin dał jej znak, by poczekała; wziął swoją torbę na kolana, odwiązał ramię, sięgnął do środka i na ślepo znalazł w jednej z bocznych kieszonek to, czego szukał. Wszyscy przyglądali się, jak otwiera niepozorną puszczykę, w której pobłyskiwało coś bladą zielenią, jak ostrożnie siada obok Henry'ego i nabiera maść na palec. Nie naniósł jej od razu; zwrócony do matki Henry'ego wyjaśnił najpierw, że tę puszczykę podarowała mu babka, babka sama zrobiła tę maść według starego tatarskiego przepisu, maść do ran, która „uśmierza niejedyn ból”; za podstawę posłużył jej tłuszcz pewnego ptaka stepowego. Następnie poprosił matkę Henry'ego, żeby pozwoliła posmarować nią syna, a gdy milcząco wyraziła zgodę, wklepał mu maść w skórę dookoła rany. Henry leżał posłusznie i uśmiechał się. Po skończonym zabiegu chwycił Fiodora za rękę.

— Ten ptak stepowy — spytał — jak on się nazywa?

— Ten ptak woli bagna, ale żyje też na obrzeżach stepu — odparł Lagutin — nazywamy go kszykiem, to swego rodzaju bekas.

— Czy on jest jadalny? — spytała matka.

Lagutin zaś odpowiedział:

— Kszyk uchodzi u nas za przysmak.

— To cudowne — powiedziała Barbara — że taki przysmak pomaga na bóle; powinno się te ptaki sprzedawać w aptekach.

— Przeciw temu zaprotestowaliby u nas wszyscy myśliwi — odparł Lagutin — jako że polowanie na kszyki zapewnia szczególną przyjemność.

Kiedy matka zaproponowała wypicie po kieliszku sherry, Fiodor wstał, gdyż odebrał tę propozycję jako sygnał do zakończenia herbatki. Podziękował i poprosił o zrozumienie, że musi wracać do hotelu, czeka tam na niego pewna lektura, poza tym musi napisać do domu i przygotować się do rozmowy z profesorem Leblankiem, szefem programu badawczego. Wstała również Barbara, mówiąc:

— Odwiozę pana do hotelu.

— Nie, nie, dziękuję — powiedział Lagutin — cenię sobie pani propozycję, ale chętnie pójdę z powrotem na piechotę.

— Hotel Adler jest daleko stąd i na pewno pan zabłądzi.

— O nie, z pewnością nie, nigdy nie błędzę — powiedział Lagutin i, jakby chciał ją uspokoić albo dać przykład swojej bezbłędnej pamięci, uśmiechając się pod nosem, wymienił obydwie place, przez które musi przejść, ulice, którymi musi pomaszerować, nie omieszkał też wspomnieć o Nabrzeżu Księcia Ludolfa, noszącym od dzisiaj nazwę Richarda Fabiusa.

— No dobrze — powiedziała Barbara — to jedziemy — i zakręciła kluczykami od samochodu.

Na pożegnanie Lagutin skłonił się przed matką. Do Henry'ego zaś rzekł:

— Również blizny mogą być trofeami, mój przyjacielu, warto było zobaczyć ten mecz, życzę ci powrotu do zdrowia.

I podążył za Barbarą.

Henry i jego matka milczeli, póki z dworu nie dotarł do nich szum silnika. Potem wypili sherry, a Henry opowiedział, jak poznał doktora Lagutina; biuro rzeczy znalezionych wydawało mu się miejscem, w którym niekiedy spotykają się lub krzyżują ze sobą różne losy, teraz zaś odnosi wrażenie, że ten mężczyzna z Saratowa musiał zgubić swoje dokumenty tylko po to, aby mogli się spotkać.

— Po prostu go lubię — powiedział Henry i dodał: — Znam jego dokumenty, mam, jego świadectwa z uniwersytetu; lepsze chyba nie istnieją, a przy tych wszystkich umiejętnościach nie robi z siebie nic wielkiego.

— Ale widać po nim, że pochodzi ze Wschodu, z najdalszego Wschodu — zauważyła matka.

— Mamo, nie mów tak — zachnął się Henry. — Jeśli u nas ktoś mówi „Wschód”, to od razu ma na myśli jakieś zacofanie, godną współczucia biedę. Tymczasem powinniśmy wiedzieć, że również ze Wschodu przychodzą rzeczy, które mogą nas tylko wprawić w zdumienie. Fiodor zdał egzamin doktorski z matematyki na *summa cum laude*.

— Nie zrozum mnie źle, Henry, twój przyjaciel wydaje mi się nadzwyczaj sympatyczny i mam nadzieję, że przy okazji znów go zobaczę. W tej chwili jednak to o ciebie się martwię; połóż się z powrotem i postaraj się przez chwilę odpocząć.

Hannes Harms wytrząsnął na swoje biurko zawartość zielonej blaszanej puszkę i poukładał poszczególne rzeczy oddzielnie: błyszczki i woblery, przynętę w kształcie ryby, z czterema haczykami i czerwone, nadziane na haczyki gumowe robaki, a później również wiele rodzajów sztucznych much. Oceniał wzrokiem fantazyjne, połyskliwe przynęty i uśmiechał się pod nosem, pewny, że to bogate wyposażenie należy do jakiegoś nowicjusza, gdyż żaden doświadczony wędkarz nie wozi ze sobą nad wodę połowy sklepu wędkarskiego. Jemu samemu, gdy stał nad matowozielonym stawem w dole żwirowym, wystarczyły zwykle dwa błyszczki albo, gdy wybierał się nad martwą odnogę rzeki na suma, potrójny haczyk i kawałek mięsa kurczaka.

— Tutaj, panie Neff — zawołał, gdy wszedł Henry, życząc mu „dobrego dnia” — zobaczy pan wyposażenie doskonałego wędkarza, a raczej doskonałego żółtodzioba.

— Zguba?

— Zguba.

Harms wiedział, że tę blaszaną puszkę znalazł w pociągu regionalnym z Oldenburga, i przypuszczał, że należy do jakiegoś nowicjusza, który po raz pierwszy wyruszył nad wodę, bardzo wcześnie, może o świcie, po czym wracając do domu, zmęczony tymi Piotrowymi przyjemnościami, przespał swoją stację.

— Mnie by się to nie przytrafiło — powiedział Henry i chciał najwyraźniej jeszcze coś dodać; kiedy jednak przez dużą oszkloną szybę spojrzął w dół ku Pauli, zrozumiał natychmiast, że jest jej potrzeb-

ny, gdyż przywoływała go skinieniami i pstryknięciami palców. Przed jej biurkiem, zdając się od niej czegoś oczekiwać, stał w niedbałej postawie jakiś chłopak, chłopak może czternasto- lub piętnastoletni, noszący wyblakłą kurtkę dzinsową, a na nogach tenisówki, które też już straciły kolor. Henry poprosił szefa o wybaczenie i bez nadmiernego pośpiechu zszedł, jak podpowiedział mu instynkt, do Pauli, ale starał się nie okazać szczególnej niecierpliwości ani zainteresowania, gdy Paula, mówiąc do chłopca, stwierdziła referującym tonem:

— A więc masz przynieść z powrotem lalkę, lalkę swojej siostry.

— Tak — odparł chłopak.

— I wiesz również, w którym pociągu ją zostawiła?

— Były z wizytą w Emden, moja mama i siostra. Pociąg przyjechał z Emden.

— InterCity?

— Co?

— Ekspres InterCity?

— Lalka była w pociągu z Emden.

— A ty nazywasz się Bott?

— Tak, Artur Bott.

— Powiedziałeś mi, że dobrze znasz tę lalkę i że od razu byś ją rozpoznał.

— Moja siostra często zabiera ją ze sobą do łóżka.

— Moja też to robiła ze swoją lalką — odezwał się Henry — znam to, a teraz poczekaj tutaj, odnoś wrazenie, że mamy to, czego szukasz.

Skinieniem przyzwał Paulę do siebie i poprosił,

aby zadzwoniła do Matthesa i powiadomiła go, że zgłosiła się osoba poszukująca lalki, do chłopca zaś powiedział:

— Przyniosę ci tę lalkę, cieszymy się zawsze, mogąc pozbyć się rzeczy, których zbiera się nam tu co niemiara.

Chociaż Henry zauważył, że chłopak zaczyna okazywać niepokój, poszedł spokojnie między regałami do półki, na której leżało około tuzina bardzo różnych lalek, a na samej górze ten tak przez niego nazwany „Czerwony Kapturek”, do którego była przyczepiona napisana odręcznie wskazówka. Henry oderwał ją i włożył do kieszeni. Pociągając za ubranko lalki i wygładzając je, doprowadził strój do porządku, po czym ujął lalkę pieczołowicie, a do tego wziętą jeszcze drugą mniej więcej tej samej wielkości, w ludowym stroju bawarskim, nie wrócił jednak od razu do Pauli, tylko obserwował przez chwilę ją i chłopca. Paula telefonowała; raz uderzyła w widełki, wybrała numer, podniosła słuchawkę do ucha i ze złością potrząsnęła głową. Chłopak zerkał ponad nią do biura Harmsa, zirytowany spoglądał na Bussmanna, który przesuwiał paletę z parasolami, a kiedy Pauli spadła z biurka jakaś kartka papieru, złapał ją zgrabnie i położył na maszynie do pisania. Ponieważ Henry zrozumiał, że pilnie go oczekują, opuścił swoje miejsce między regałami i przyniósł Pauli obie lalki, które ona wzięła ostrożnie i ułożyła jedną obok drugiej na biurku. Nie podnosząc wzroku, powiedziała szybko:

— Matthes się nie zgłasza — a po chwili, zwracając się do chłopca: — Będziesz musiał jeszcze coś

podpisać, potwierdzenie odbioru, ale najpierw wskaż nam lalkę swojej siostry... no, która to z tych dwu?

Chłopiec nie wahał się ani sekundy, oburącz schwycił lalkę, którą Paula z Henrym wcześniej zbadali, rozcięli i ponownie zakleili, przycisnął ją do siebie i, nie zastanawiając się nad wyborem drogi, zwiął; lekko przeskoczył kilka zestawionych razem walizek, pobiegł w kierunku schodów, które przesadził w paru susach, i otworzył drzwi do poczekalni dla podróżnych.

— Szybko — powiedział Henry — pobiegnijcie państwo od razu za nim, ja przejdę przez rampę i w ten sposób odetniemy mu drogę.

Chłopak świadomie zbiegał oszalowanym deskami korytarzem, oglądając się co chwila za siebie, wymijał nadjeżdżające wózki bagażowe i kierował się w stronę znajdującego się w hali dworcowej kiosku z gazetami. Tu przystanął, Paula poznała go po płowej czuprynie, ale zauważyła, że i on ją dostrzegł, bo pognał dalej do głównego wyjścia, nie przyciskając już lalki do siebie, lecz trzymając ją jedną ręką. Zanurzył się w falę podróżnych, którzy wysiedli z przepelnionego pociągu osobowego, tłum niósł go przez chwilę, później jednak chłopak oddzielił się od niego tylko po to, żeby zobaczyć, czy jego prześladowczyni nadal go ściga, i znowu wcisnął się w tłum, gdzie rozpychał się i pozwolił popychać, godząc się na ten brutalny tumult, przybliżający go ku wyjściu. Również Paula poddała się tej fali, i zanim jeszcze dotarła do wyjścia, dostrzegła Henry'ego, który przechodził przez plac dworcowy, zmierzając w stronę czekających tam taksówek.

Gdy Henry nagle zmienił kierunek i przyśpieszył kroku, zrozumiała, że on także odnalazł chłopaka i najwyraźniej usiłuje zbliżyć się do niego, by go zatrzymać. Przystanęła w drzwiach wyjściowych, wyciągnęła szyję, podniosła rękę, starając się zwrócić na siebie uwagę Henry'ego, ale on jej nie dostrzegł i nie odnalazł. Zaciekle podążał śladem chłopca. Paula obserwowała przez chwilę ich obu, potem jednak — czego nie zgadła, lecz wywnioskowała z nagłej ucieczki — zbieg dojrzał swojego prześladowcę i zniknął za jakimś autobusem, niewidoczny, podczas gdy Henry, który nie stracił go z oczu, maszerował przez plac, tanecznym krokiem przeszedł przez ulicę, przedzierając się przez gęsty ruch, i zatrzymał się przed jedną z ponurych knajp. Obejrzał się za siebie, szukając Pauli wzrokiem, wydało mu się, że ją widzi, więc ruszył w jej kierunku.

— Jest tu w środku — powiedział Henry — widziałem, że tu wbiegł.

Odsunęli na bok znajdującą się za drzwiami ciężką portierę z filcu i weszli do podługowatej knajpy, w której tylko jedna para siedziała przy piwie, oboje zdawali się zajęci mierzeniem sobie nawzajem pulsu. Właściciel podniósł się ze stołka za barem i czekał apatycznie, aż podejda bliżej; na pytanie Henry'ego, gdzie się podział chłopak, zapytał zdziwiony:

— Chłopak? Jaki chłopak?

— Wbiegł tutaj — powiedział Henry.

Właściciel zawołał do pary ludzi, siedzących w knajpie:

— Widzieliście tu jakiegoś chłopaka? Ci państwo twierdzą, że tu wszedł.

— A jak wyglądał? — spytała kobieta, na co Henry odparł:

— Miał ze sobą lalkę.

— No wie pan, na pewno zwróciłabym uwagę na chłopca z lalką — powiedziała kobieta, wyszczerzyła zęby i wypita duży łyk piwa.

— Słyszycie, państwo — zdziwił się właściciel — nie wszedł tu nikt, kogo państwo szukacie. Może rozejrzycie się u naszego sąsiada.

Henry mimo woli poszukał ręki Pauli, aby pociągnąć ją do drzwi, gdyż zrozumiał już, że niczego się nie dowiedzą, zauważył także, iż nie są tu mile widziani. Dotykał właśnie filcowej portiery, gdy towarzyszący kobiecie mężczyzna zwrócił się do Pauli — mężczyzna o szczupłej twarzy i przylizanych czarnych włosach. Siłąc się na uprzejmość, poprosił najpierw Paulę o wybaczenie, że ją zagaduje, a potem wymamrotał swoje nazwisko i spytał, czy go sobie przypomina, Marco Blohm poznał ich kiedyś ze sobą, w pewnej kawiarni, Café Nicea, i zanim Paula odpowiedziała, upewnił się jeszcze:

— Czy pani jest Paulą Blohm?

— Tak — odparła Paula — a kim pan jest?

Teraz wyraźnie powiedział, jak się nazywa, ale wymienił tylko imię Andreas i dodał:

— Marco nazywał mnie Andi, dla niego i dla innych byłem Andim.

— Skąd pan zna mojego męża?

— Byliśmy przez jakiś czas sąsiadami. Może się pani do nas przysiadzie?

— Nie, dziękuję — powiedziała Paula.

— Mam nadzieję, że Marco dobrze się wiedzie — powiedział mężczyzna — często doprowadzał nas do śmiechu, Marco był wielkim żartownisiem.

— Mój mąż pracuje w swoim zawodzie — powiedziała Paula.

— Musi — odparł mężczyzna — bo na pewno jest niezastąpiony; jak on wówczas naśladował sposób mówienia różnych aktorów, wyjątkowo; a kiedy przedstawiał nam swój największy numer, pokładaliśmy się ze śmiechu. Marco nazywał ten numer: „Próba głosu”.

Zwracając się do swojej towarzyszki, wyjaśnił:

— Próba głosu, wiesz, jest wtedy, gdy mówi się do mikrofonu albo tylko kaszle, na próbę.

Podnosząc oczy ku Pauli, powiedział:

— Niech pani koniecznie pozdrowi Marco, na pewno będzie pamiętał swojego przyjaciela Andiego, Andiego z górnego łóżka.

Jeszcze raz ponowił próbę zaproszenia Pauli na kieliszek, ona jednak odmówiła i posłuchała Henry’ego, który chciał, by wyszli już z tej knajpy; opuścili ją bez pożegnania.

Po kilku krokach Paula przystanęła, niezdecydowana, czy powinna oddalać się od miejsca, w którym zniknął chłopak. Henry wiedział albo zdawało mu się, że wie, iż chłopak już dawno się ulotnił, w myślach widział, jak wchodzi do toalety w knajpie, otwiera tam okno i ucieka przez brudne podwórze do ludzi, którzy go przygotowali i przystali do biura rzeczy znalezionych; dla niego, Henry’ego, jasne

było, że Paula i on czekali tu na próżno; zaproponował więc, aby najpierw powiadomili pana Harmsa, który powinien się dowiedzieć, co się stało i gdzie się oboje podziewają.

— Dobrze — zgodziła się Paula — niech pan wobec tego zadzwoni do szefa.

Zmierzając do budki telefonicznej, przeszli obok bramy wjazdowej, zawrócili bez słowa i zapuścili się aż na podwórze, na którym wszystko wyglądało tak, jakby było dawno zapomniane — stosy skrzynek, prastary tapczan, zapackane okna. Popatrzyli po sobie i wrócili na ulicę.

Paula czekała przed budką telefoniczną i przyglądała się, jak Henry telefonuje, najpierw stojąc spokojnie, w wyprostowanej postawie, i mówiąc bez przerwy; później jednak odwrócił się w jej stronę, zamknął oczy, zaczął przekładać słuchawkę z jednej ręki do drugiej i kiwać potakująco głową, kiwał posłusznie, marszczył czoło, a po dłuższym wsłuchiwaniu się w głos z drugiej strony przewodu po prostu odwiesił słuchawkę.

— No i co? — spytała Paula, na co Henry odparł, wzruszając ramionami:

— Nie powinniśmy udawać pomocników policji. Szef oczekuje od nas sprawozdania, powiedział dosłownie: „Tylko sprawozdanie może was uratować.”

— A co mamy w nim napisać?

— Wszystko, co się zdarzyło.

— Tego mi jeszcze brakowało — powiedziała Paula — mam nadzieję, że zajmie się pan napisaniem tego sprawozdania, prawda?

— Szef pyta nas dwoje, razem musimy je napisać i podpisać; chodźmy, weźmy się od razu do roboty, a jutro zaprezentujemy mu to, co chce mieć.

— Ale gdzie?

— U mnie, tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

I już wziął ją zadowolony pod rękę, już przezwyciężył niewielki opór, jaki stawiała mu idąc, jej zaledwie chwilowy sprzeciw pokonał słowami, że do niego jest niedaleko, zaledwie kilka przystanków autobusowych.

Byli już w autobusie, gdy Paula uświadomiła sobie, że nie wzięła ze sobą pieniędzy, pieniądze zostały w torebce, a torebka na najniższej półce jej biurka; Paula rozważała najpierw pomysł powrotu do biura, ale Henry'emu udało się ją uspokoić:

— Albert przechowa nasze rzeczy, nie pozwoli, żeby ktoś do nas wszedł.

Podał jej dwudziestkę w banknocie, mówiąc:

— Odda mi pani przy okazji.

Nie uszło jego uwadze, że Paula długo trzymała te pieniądze w ręce. Jej namysł, jej niepewny uśmiech, gdy ich spojrzenia się spotkały. Stali tuż obok siebie w zatłoczonym autobusie, trzymając się jedną ręką uchwytu, nie przepraszając za nieumyślne dotknięcia; kiedy zaś autobus skręcił na betonowy plac w osiedlu wieżowców, Henry objął Paulę ramieniem. Poprowadził ją przez plac zabaw i obok sztucznych stawów; po jednym z nich pływała ku ich zdumieniu para kaczek, tutaj, pośrodku wielopiętrowych domów.

Podczas gdy Henry otwierał drzwi mieszkania,

jego towarzyszka cofnęła się o dwa kroki tak, jakby właśnie w tej chwili naszły ją wątpliwości.

Kolekcja zakładek rozbawiła Paulę; zanim jeszcze rozejrzała się po mieszkaniu, podeszła do nich, pstryknęła palcem w wiszące w pętłach sowy i nimfy wodne i rozkołysała je. Jakby mimochodem przyszła jej na myśl własna kolekcja, wielobarwne kulki marmurowe, które dawno temu, jako uczennica, przechowywała w małych woreczkach; zadała sobie pytanie, gdzie właściwie podział się ten zbiór kulek. Postanowiła podarować Henry'emu zakładkę, którą przypadkiem znalazła w kupionej w antykwariacie książce — szczupaka wyciętego z cienkiej skóry. Dopiero teraz się rozejrzała, a na widok leżącej na tapczanie poduszki, poduszki, na której można było jeszcze zobaczyć odcisk głowy, zauważyła:

— Przytulnie tu u pana.

— Da się wytrzymać — powiedział Henry.

Postawił dwie szklanki na ławie obok tapczanu, wyjął z lodówki litrową butelkę soku pomarańczowego i zapytał, podsuwając jej napój:

— Coś dla zdrowia?

— Chętnie — przytaknęła Paula.

Henry poważnie, z udawaną gorliwością, poszukał bloku do pisania, znalazł również dwa długopisy i przypomniał Pauli, że czeka ich pewne zadanie, równocześnie jednak wyznał, iż jeszcze nigdy nie sporządzał sprawozdania, więc liczy na jej doświadczenie. Paula pokręciła przecząco głową, a mimo to się zgodziła, w skrytości ducha rozbawiona projektem, w jaki pozwoliła się wrobić. Usiedli obok siebie na tapczanie, Paula wzięła na swoje barki obo-

wiązek pisania — później zamierzała wszystko wystukać na maszynie — zaczęła więc od daty, po czym roześmiała się i rzekła:

— No to początek już mamy.

A potem przypomnieli sobie ów zwykły dzień, kiedy to sokista Matthes dostarczył do biura rzeczy znalezionych lalkę zauważoną — zgodnie z jego słowami — podczas obławy w pociągu InterCity „Emden — Hanower”. Ponieważ istniały podejrzenia, że lalka służyła tylko jako kryjówka lub nieuczciwy środek transportu, zgodzono się co do tego, aby powołując się na treść ogólnego wniosku o wszczęcie poszukiwań, fachowo zbadać tę „zgubę”. Badanie zostało przeprowadzone przez pracowników znajdującego się na dworcu biura rzeczy znalezionych, panią Paulę Blohm i pana Henry’ego Neffa, którzy z wnętrza lalki wydobyli na światło dnia dwaście tysięcy marek.

W ten sposób można by zacząć to sprawozdanie, pomyślała Paula, Henry jednak zaproponował, aby istotnie zaczęli od pojawienia się Matthesa, ale później poświęcili się dokładnemu opisowi lalki jako środka transportu kontrabandy, opisowi lalki i innych zabawek — na przykład misiów i zajęczków, których notorycznie nadużywa się w tym celu.

— Ach, Henry — powiedziała rozbawiona Paula — jest pan i pozostanie chłopcem, który lubi opowiadać anegdotki, najpierw słuchać, a potem opowiadać, tymczasem sprawozdanie musi być suche, gołe, nie wolno niczego ubierać w piękne szaty ani zaciemniać stanu rzeczy.

— Ale przecież musimy oddać na piśmie wszyst-

ko to, cośmy przeżyli — sprzeciwił się Henry — również to, jak zoperowaliśmy lalkę i znaleźliśmy pieniądze.

— Człowiek nigdy nie zbierze w jedno tego wszystkiego, co przeżył — powiedziała Paula — coś zawsze pozostanie w ukryciu. Jestem więc za tym, żebyśmy trzymali się faktów, zgoda?

Paula pisała, a Henry czytał notowane przez nią słowa. Podziwiał zdecydowanie, z jakim naniosała na papier pierwsze zdania; jakby sobie wcześniej przemyślała wszystko, co się wydarzyło, jakby to już zbadała i ustaliła, wspomniła o sokiście, o dostarczeniu lalki, odkryciu pieniędzy i wreszcie o policyjnym zażaleniu, nakazującym zatrzymać każdego klienta, który zgłosi zaginięcie lalki. Zwróciła się do Henry'ego, czekając na jego aprobatę lub sprzeciw, ale on nic nie powiedział, tylko objął ją ramieniem.

— Nie rozpraszaźmy się — powiedziała Paula — piszmy dalej.

Podczas gdy pisała, mniej uwagi poświęcając ostatnim wydarzeniom, raczej je tylko trzeźwo wyliczając — pojawienie się chłopca, ucieczkę, pogoń i jego zniknięcie — Henry gładził ją po plecach, ona zaś na to pozwalała, jakby nigdy nic. Kiedy jednak spróbował przytulić ją do siebie, odsunęła się i zapaliła papierosa. Podeszła do okna i, stojąc tam, powiedziała:

— Jutro przepiszę to sprawozdanie na maszynie i wtedy każde z nas złoży pod nim swój podpis — o ile oczywiście jest pan zadowolony z tego tekstu.

— To mistrzowskie dokonanie — pochwalił ją Henry — a ja pani w tym towarzyszyłem.

Z jej nagłego bezruchu wywnioskował, że zobaczyła coś, co raptownie przykuło jej wzrok, stanął więc obok niej, spojrzał na plac i przy sztucznych stawach ujrzał kilku motocyklistów, którzy po prostu je okrążali, nie szybko, nie ryzykownie, lecz spokojnie i powolnie, zbliżali się coraz bardziej do stawów, a gdy dwie kaczki pofrunęły w powietrze, motocykliści potraktowali to zapewne jako sygnał, bo poderwali do góry przednie koła, tak że wydawało się, iż maszyny się wybrzuszają, po czym motory zawyły i odjechały.

— Traktują to jako swój rewir — wyjaśnił Henry. — Tu są panami.

— Ale czego? — spytała Paula. — Nad czym panują?

— Sami pewnie tego dobrze nie wiedzą — odparł Henry — może nad ludźmi, którzy się ich boją.

A ponieważ Paula śledziła motocyklistów wzrokiem, póki nie zniknęli za wieżowcami, spytał:

— Czy on był razem z nimi? Hubert? Pani brat? Zauważyła go pani?

— Nie wiem — odrzekła Paula — wszyscy byli do siebie tak podobni w tych swoich kombinezonach, być może był z nimi.

I dodała cicho:

— Motocykl jest dla niego wszystkim.

— Skoro tak — powiedział Henry — to pozwólmy mu na to.

Nie uprzedzając Henry'ego, co zamierza, Paula podeszła do stołu, wzięła zapisaną kartkę, złożyła ją i poprosiła o kopertę; ale kiedy skierowała się ku drzwiom, Henry zagródził jej drogę.

— Proszę, niech pani jeszcze zostanie, nie pozwolę pani tak po prostu odejść.

Przyciągnął ją do siebie, ale poczuł, że zesztyniała i próbuje się od niego odsunąć. Z jej spojrzenia wyczytał, że nie zmieni zdania, to spokojne, lekceważące spojrzenie sprawiło, iż puścił ją i po chwili zakłopotania zaproponował, aby jeszcze coś razem przedsięwzięli, albo przynajmniej zapalili papierosa. Paula usiadła na poręczy fotela, Henry zaś, podając jej ogień, zapytał, czy mógłby zwracać się do niej po imieniu. Skinęła przyzwalająco głową i uśmiechnęła się do niego, a uśmiechając się, pocałowała go w zszytą brew i powiedziała:

— Tych nakłuć igły i szwów niedługo już w ogóle nie będzie widać.

Henry był tak zaskoczony i tak bardzo się ucieszył, że spytał od razu, czy nie poszliby na jakiś film, a potem — nie zdążył jednak dokończyć pytania, gdyż Paula odmownie machnęła ręką, nie dzisiaj, i powiedziała znużonym głosem:

— Może innym razem — po chwili zaś: — Zaczęłyby się problemy, Henry, nowe problemy dla mnie, a mam ich dość.

Spojrzał na nią bez zrozumienia albo tylko udał, że nie rozumie tej uwagi, i zapytał:

— Jakie problemy?

— Jakie problemy? — powtórzyła zrezygnowana, popatrzyła na dym i powiedziała:

— Widzisz, nawet nie umiesz ich sobie wyobrazić. Być może masz więcej szczęścia... ale nie sądzę.

Portier wiedział, o co chodzi. Doktor Lagutin wygłasza odczyt nie w dużym audytorium, lecz w sali ćwiczeń B4; dla pewności Henry spojrział jeszcze raz na leżący przed nim plan budynku i powtórzył:

— B4, na drugim piętrze.

Henry podziękował, odwrócił się w kierunku kamiennych schodów, gdy naraz usłyszał słowa portiera:

— Odczyt zaraz się skończy; może pan tu poczekać, bo i tak wszyscy zejdą na dół.

Ponieważ spóźnił się na odczyt Fiodora Lagutina — w biurze rzeczy znalezionych uparli się, że musi z Bussmannem przygotować wszystko na najbliższą licytację — chciał przynajmniej zaczekać pod drzwiami, aby usprawiedliwić swoją nieobecność, gdyż to sam Fiodor go zaprosił. Henry był jeszcze na korytarzu, kiedy usłyszał pukanie w stoliki — oznakę aplauzu dla prelegenta, dość jednak skromną, jak mu się zdawało; przyśpieszył więc kroku i dotarł do B4 w chwili, gdy akurat drzwi się otworzyły i przemknęło obok niego kilku śpieszących się dokądś studentów. W sali ćwiczeń było niewiele osób. Henry oszacował, że doktor Lagutin miał nie więcej niż dziesięciu słuchaczy, ale nie tylko studentów, lecz także dwóch, trzech starszych mężczyzn, przypuszczalnie profesorów. Było sporym zaskoczeniem dla Henry'ego, gdy od wejścia zauważył swoją siostrę; ubrana w sportowy kostium, Barbara siedziała tuż przed pulpitem mówcy i widać nie robiła notatek, jak wszyscy pozostali, bo nie leżały przed nią kartki papieru. Ponieważ ktoś zadawał jeszcze doktorowi Lagutinowi pyta-

nia, Henry podszedł do siostry i, nie kryjąc zaskoczenia, zapytał:

— Skąd ty się tu wzięłaś?

Barbara odpowiedziała na to, jakby to było całkiem oczywiste:

— Fiodor mnie zaprosił, to znaczy: zostawił mi swobodę w podjęciu decyzji.

— I co — spytał Henry — czujesz się wzbogacona?

Zamiast odpowiedzi Barbara dała mu ukradkiem lekkiego kuksańca pod żebra, po siostrzanemu, a potem popchnęła go w stronę wyjścia:

— Musimy znaleźć stołówkę, Fiodor nas zaprosił.

Zajęli stolik obok przesuwanej ścianki oddzielającej stołówkę od pozbawionej ozdób sali, zarezerwowali krzesło dla Fiodora, Henry zaś wziął tacę i przyniósł najpierw dla całej trójki herbatę i kilka pączków z nadzieniem śliwkowym. Doktor Lagutin podszedł do stolika nie sam, towarzyszył mu jakiś wcześniej przygarbiony nauką student w niklowanych okularach, który perorował, gestykulując, i nie przestał mówić nawet wtedy, gdy obaj usiedli już przy stole; student nie pozdrowił Barbary, spytał za to — a w jego pytaniu można było wyczuć sceptycyzm:

— Myśli pan więc, że nieskończoność może być przedmiotem badań matematycznych?

— Z pewnością — odparł doktor Lagutin — tyle że w swoich rozważaniach musimy być przygotowani na niejedną niespodziankę, na niejednego paradoks. Niespodzianka zaczyna się po zdefiniowaniu „zbioru”, składającego się z nieskończonej liczby

elementów. Wymyślił to już Cantor, wielki Cantor, który na koniec wyobrażał sobie „zbiór” jako otchłań.

Student podziękował doktorowi Lagutinowi, uklonił się Barbarze i już chciał odejść, gdy prelegent poradził mu, aby zapoznał się z logicznym dowodem Russella, dla którego liczba była między innymi środkiem do objęcia określonych zbiorów.

— Russell — powtórzył student — dobrze, zapoznam się z nim, a poza tym, panie doktorze, możliwość wysłuchania pana była dla mnie wielkim przeżyciem.

Barbara wyłowiła ze wszystkich szklanek torebki herbaty i zachęciła mężczyzn do skosztowania pączków, zanim to jednak zrobili, Fiodor poprosił ją i Henry’ego, by czuli się jego gośćmi; powiedział dosłownie:

— Jeśli chcecie pomnożyć moją radość, przyjmijcie to zaproszenie.

Oboje przyjęli zaproszenie.

Doktor Lagutin był w dobrym humorze, zdawało się, że reakcja na jego odczyt go zaskoczyła, usiłował więc w tym dobrym humorze przekonać do matematyki Barbarę, twierdzącą, że nigdy nie zdoła wzbudzić w sobie cieplejszych uczuć do tej dziedziny wiedzy, do tych abstrakcyjnych turniejów, które odbywają się tylko w rozrzedzonym powietrzu. Kiedy myśli o tym odczycie — przyznała to szczerze — w głowie jej wiruje od tych wszystkich definicji i logicznych pojęć poprzednika i następnika; po prostu nie może pojąć, że ktoś znajduje w tym upodobanie.

— Wybaczysz mi, Barbaro, jeśli ci powiem, że jestem innego zdania — rzekł Fiodor. — W matematyce zajęliśmy się badaniem uniwersum pojęć. Wielcy mężowie pokazali nam, jakie znaczenie mają przy tym fundamentalne założenia, aksjomaty. Oddajemy cześć tym mężom, krocząc ich drogą.

— Zgoda — odparła Barbara — zgoda na wszystko, ale czy jest w tej pracy coś, co może człowieka zachwycić lub wręcz uszczęśliwić?

Fiodor uśmiechnął się, zamknął oczy, a następnie powiedział:

— Wolność od sprzeczności, dowiedziona wolność założeń od sprzeczności.

— Zapamiętaj to sobie — zwrócił się Henry do siostry — szczęście to wolność od sprzeczności.

A następnie przeprosił Fiodora za to, że nie był na jego odczycie.

W stołówce pojawili się dwaj studenci, obaj nieśli zwinięte w rulon plakaty, obaj, obliczając coś, mierzyli wzrokiem okna, ladę, przesuwaną ściankę, zdawało się, że rozumieją się bez słów, po czym, nie poprawiając niczego, zawiesili plakaty, przymocowując je taśmą klejącą. Zapraszały one na święto studenckie, zapraszały wesołymi rysunkami roztańczonych, roześmianych formułek — doktor Lagutin był tak zachwycony, że poprosił studentów o jeden plakat dla siebie. Dostał go, złożył starannie i wsunął do obszytej futrem torby.

— Czy to jest flet? — spytała Barbara, dostrzegłszy wewnątrz instrument koloru orzechowego, a ponieważ już wyciągnęła po niego rękę, Fiodor podał go jej:

— Nasz ulubiony instrument.

Barbara dotknęła drewna i zapytała:

— Czy mogę?

Przyłożyła flet do ust i spróbowała zagrać dawną piosenkę ludową, ale zaskoczona ich ostrością zaniechała tego już po pierwszych dźwiękach.

— To osobliwe dźwięki, wiem — powiedział Fiodor — nasze dźwięki nie są równie łagodne i miękkie jak dźwięki fletni Pana.

— Zagraj, proszę — poprosił go Henry — tylko kawałek.

— Nie tutaj — rzekł Fiodor, rozejrzał się i na widok kilku dyskutujących studentów pokręcił przecząco głową. — Boję się, że mógłbym przeszkadzać.

— Cichutko — poprosiła Barbara — tylko coś krótkiego, na próbę, ci po drugiej stronie nie uważają nawet, że ktoś im przeszkadza.

Fiodor mrugnął do Barbary i powiedział:

— U nas pieśń na flecie zawiera zawsze jakieś przesłanie, nie rozbrzmiewa bez celu, człowiek czasem odgadnie, o czym ona mówi, bywa jednak, że się pomyli.

Jakiś starszy mężczyzna podszedł do ich stolika i spytał doktora Lagutina, czy również zamierza wziąć udział w konferencji.

— Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, drogi kolego, moglibyśmy pójść razem, musimy udać się do przybudówki, a nie tak łatwo znaleźć tam drogę.

Ponieważ Fiodor się wahał, Henry zachęcił go:

— Idź, poczekamy tutaj na ciebie... o ile nie potrwa to zbyt długo.

Ileż czasu milczeli, gdy Fiodor ich opuścił. Bar-

bara pogrążyła się w myślach, usiłując najwyraźniej przypomnieć sobie jakąś sprawę albo doświadczenie, a może też zrozumieć uczucie, które ją nagle ogarnęło, w każdym razie Henry tak przypuszczał, aby więc pozostawić ją przez chwilę samej sobie, odniósł tacę na ladę, ocenił wygląd zrazów i kanapek w oszklonym bufecie, a wreszcie kupił dwie cole. Napełniając szklanki, powiedział:

— Chciałbym usłyszeć, jak on gra.

— A ja — rozmarzyła się Barbara — ja chciałabym kiedyś zobaczyć kraj, z którego pochodzi Fiodor, jego rodzinne miasto Samarę, chciałabym również poznać tamtejszych ludzi.

— Może pewnego dnia będziesz miała taką okazję — pocieszył ją Henry — ale gdybyś rzeczywiście chciała się tam wybrać, powinnaś zrobić to latem, gdy niektórzy z jego krewnych są ze zwierzętami daleko w stepie i mieszkają w kibitkach, Fiodor opowiadał mi o ich życiu; tyle że musiałabyś spać w takiej kibitce.

— Spałam już kiedyś na wydmach, w Westerlandzie, a raz nawet w kajaku.

— Wobec tego spełniasz warunki, aby spędzić noc w namiocie — powiedział Henry i pogładził ją po ramieniu, odnosząc wrażenie, że rodzi się w nim bliżej nieokreślone współczucie dla siostry. Przekonał ją więc, chociaż przewidywał, że nigdy do tego nie dojdzie, aby obmyśliła sobie plan podróży do Samary, zaproponował też, aby kiedyś po prostu spędziła tam urlop — zamiast jechać do Marbelli, jak zawsze, niech pojedzie raz do Samary — cena na pewno będzie zawrotna. Barbara popatrzyła na nie-

go w zamyśleniu, powątpiewając, czy jego propozycja jest poważna, a potem spytała:

— Pojechałbyś ze mną?

Henry nie odpowiedział jednoznacznie, tylko:

— Dlaczego nie?

Potem jednak przyszło mu na myśl wszystko, co Fiodor opowiadał o swoim życiu, pomyślał o dziadku, traktowanym z ogromnym szacunkiem, o zbieraczach miodu, dzikich pszczołach i polowaniach w stepie, wyobraził sobie pełne wrażeń dni w namiocie i powiedział:

— Z ogromną chęcią bym tam z tobą pojechał, naprawdę, Barbaro; musimy tylko poczekać, aż Fiodor wróci do domu.

— Czy powinniśmy mu już teraz o tym powiedzieć? — spytała Barbara, na co Henry odparł:

— Jak przyjdzie na to czas, latem.

Robiąc dużo wrzawy, ostatni studenci opuścili stołówkę, zostali więc sami, toteż Henry poprosił Barbarę, by pożyczyła mu pięćdziesiąt marek, do pierwszego następnego miesiąca.

Pierwszego następnego miesiąca, obiecał, odda jej też resztę długu. Barbara podała mu pieniądze, nie pochwalając w głębi duszy tego, że w roztargnieniu złożył banknot i wsunął do kieszonki koszuli. Zdziwiło ją, że zaraz po tym podniósł się i zaproponował, aby wyszli razem, gdyż konferencja najprawdopodobniej się „przeciagnie”, jak powiedział. Barbara nie wstała. Nie próbowała go zatrzymać, skinęła mu tylko głową, gdy oznajmił, że ze względu na mającą się odbyć licytację musi wrócić do biura.

Paula się nie pomyliła. Mężczyzna naprawdę zostawił na peronie swoją walizkę, gdy nadjechał pociąg — rzucającą się w oczy skórzaną walizkę, która stała tuż obok jego nóg; ale nie dość, że zostawił walizkę, to nie zwrócił także uwagi na kobietę, która zastąpiła mu drogę, coś do niego krzyknęła i wyciągniętą ręką wskazała na zapomniany bagaż:

— Hej, zostawił pan walizkę.

Paula widziała to, stojąc przy kiosku dworcowym, gdzie oddawała właśnie wypełniony kupon toto-lotka, widziała, jak bardzo elegancko ubrany mężczyzna idzie wzdłuż wagonów, decyduje się nagle na jakiś przedział i wsiada. Przedzierając się przez napływających podróżnych, szybkim krokiem poszła na peron, aż dotarła do walizki. Jaka lekka! Chciała ją zanieść mężczyźnie, od czasu do czasu stawiała na czubkach palców, by zajrzeć do wnętrza poszczególnych przedziałów; a kiedy już go odnalazła, zapukała w szybę i wskazała na walizkę. Zirytowany mężczyzna podszedł do drzwi, nie ucieszył się bynajmniej z odzyskania swojej własności, spojrzał tylko pytająco na Paulę, która ze słowami: „Proszę, to chyba pańska własność”, podała mu bagaż. Ani słowa podziękowania, żadnych oznak radości, z obojętnością, która zraniła Paulę, ów bardzo elegancko ubrany pan wziął od niej walizkę i popchnął ją w stronę korytarza. A ponieważ uznał za zbędne powiedzieć cokolwiek — jakieś słowa wyjaśnienia czy może coś na swoje usprawiedliwienie — Paula odwróciła się i powoli, w zamyśleniu, tak długo szła obok pociągu, aż wynurzył się przed nią zawiadowca w czerwonej czapce i liza-

kiem dał maszyniście znak do odjazdu; dopiero teraz się obejrzała. W chwili, gdy pociąg ruszył, z przodu otworzyły się drzwi, walizka wyfrunęła na peron, przekoziółkowała i wylądowała obok pojemnika na śmieci.

Również zawiadowca zwrócił uwagę na to, że w chwili odjazdu pociągu ktoś wyrzucił walizkę, zobaczył także, iż Paula podbiega do niej i zabiera ją. Nie musiała niczego uzasadniać, nie musiała się legitymować, zawiadowca pozdrowił ją uprzejmie i powiedział:

— No, to zaoszczędzimy sobie drogi do was; mam nadzieję, że znajdziecie w środku same miłe rzeczy.

A po chwili spytał:

— Mogę?

Po czym wziął walizkę od Pauli, zważył ją przez moment w ręce i doszedł do wniosku:

— Nic ważnego.

Bussmann skończył już pracę, a Hannes Harms właśnie porządkował swoje biuro i tylko przelotnie skinął Pauli ręką, gdy z dużą, ale lekką walizką podeszła do biurka. Postawiła ją na ziemi i zapaliła papierosa. Chociaż była bardzo ciekawa, co znajduje się w środku — coś, czuła to, przeczuwała, zostało tam ukryte — nie mogła się jeszcze zdecydować, żeby ją otworzyć, powstrzymywała ją przed tym nieśmiałość, a może obawa. Ucieszyła się na widok Henry'ego, który właśnie przesunął do kąta paletę z laskami spacerowymi, i zawołała go do siebie. Henry'ego rozbawiło, gdy dowiedział się, w jaki sposób Paula weszła w posiadanie walizki. Kazał sobie opisać wygląd mężczyzny, który umyślnie zostawił swój

bagaż, następnie podniósł walizkę i zaczął snuć domniemania na temat jej zawartości — „książki to nie są, konserwy też nie, stawiam na futra, może futra z lisów” — wreszcie postawił ją na biurku, a potem gestem zachęcił Paulę do jej otwarcia. Zanim to zrobiła, pomyślała o Albercie Bussmannie — mistrzu w otwieraniu zamkniętych rzeczy, które znajdowali, nawet skomplikowane zamki wyjawiały mu swoje tajemnice; ubolewała, że go tu nie ma, lecz ku jej zdumieniu zamki odskoczyły przy lekkim naciśnięciu.

Łachmany — to była jej pierwsza myśl: łachmany. W środku leżał jakiś pomięty materiał, wyblakły, poplamiony, w jednym miejscu podarty, a spod spodu wyzierało coś szarego, co kończyło się mankietem spodni — znoszonych i wystrzępionych. Paula wyjęła to coś z walizki i położyła na biurku, spodnie i marynarkę; garnitur, który najprawdopodobniej zaznał każdej pogody, garnitur, w którym jego właściciel pewnie nieraz sypiał. Natrętnie myślała przy tym o mężczyźnie z pociągu, któremu podała tę walizkę, wyobraziła go sobie w tych znoszonych rzeczach, przynajmniej usiłowała go sobie wyobrazić, a pod jego zimnym, niechętnym spojrzeniem poczuła się powtórnie zraniona wskutek niedbałości, z jaką odebrał od niej swój bagaż. Przeszukanie kieszeni Paula zostawiła Henry’emu. Odsunęła się do tyłu, obserwując, jak Henry przeszukuje kieszenie marynarki i spodni, a wreszcie obmacuje podszewkę i sprawdza, czy aby coś nie zostało w niej zaszyte. Nic, Henry nic nie znalazł. Rzucił marynarkę na krzesło i powiedział:

— Ten facet nie chciał zostawić żadnych śladów, ale chyba musimy wpisać jego walizkę do rejestru.

Podczas gdy Paula wkładała do maszyny formularz o nazwie „Rzeczy znalezione na terenie dworca”, Henry zniknął między regałami, udając, że musi iść do toalety, zmienił jednak kierunek i wszedł do bocznego korytarzyka, który prowadził do skrytki Bussmanna. Jeden ruch pod leżące na stercie pledy podróżne i natychmiast wyczuł butelkę, którą spod nich wy dostał. Wypił dwa łyki, jeden krótki, szybki, jakby przygotowujący, a potem drugi, długi.

Kiedy wrócił do Pauli, powiedział:

— Ten facet chciał się czegoś pozbyć, z pewnością, i to nie tylko starych łachów, lecz również tego, czym sam był w ostatnich czasach, albo tego, za kogo go uważano, mam wrażenie, że ostatnio nie czuł się dobrze we własnym towarzystwie i dlatego się ze sobą rozstał, by tak rzec, rozstał się ze swoją powierzchownością.

— Być może — odparła Paula — ale w dłuższej perspektywie mu to chyba nie pomoże, to po prostu śmieszne wierzyć, że nowe ciuchy mogą człowiekowi ułatwić rozpoczęcie wszystkiego od nowa, nie można zacząć niczego od nowa, to znaczy, w ścisłym sensie; coś z dawniejszych czasów zawsze przylgnie do człowieka, coś, czego niepodobna z siebie strząsnąć.

Henry spojrział na nią zdumiony i spytał:

— Naprawdę? Nie byłbym tego taki pewien. Czasem coś się zdarza i chociaż człowiek się tego nie spodziewał, już znajduje się u progu czegoś nowego. Ale zatrzymuję panią.

— Otóż to — powiedziała Paula i oceniła walizkę, określając jej zawartość jako „znoszone ubrania bez wartości”. Szybko schowała formularz do brulionu, spojrzała na zegarek i stwierdziła, że czas pracy się skończył, więc nakryła maszynę pokrowcem.

— Muszę niestety iść.

— Umówiona?

— Jak kto woli, mam nadzieję, że film się jeszcze nie zaczął.

— Wart obejrzenia?

— Nie wiem, mój mąż chce, żebym go obejrzała, Marco dubbingował głównego wykonawcę.

— Amerykański film?

— Irlandzki — powiedziała Paula — nosi tytuł: *Strażnik ptaków*, nawet nie wiem, o co w nim chodzi.

— Weźmie mnie pani ze sobą?

Paula zawahała się przez chwilę, potem jednak powiedziała, już odwrócona od Henry’ego:

— Ten film grają tutaj, w kinie dworcowym.

Henry kupił w kiosku torebkę orzeszków ziemnych i cukierków „Smarties”; zanim weszli po schodach do małego kina, w milczeniu oglądali wywieszone fotosy, które przedstawiały sceny zachęcające do obejrzenia filmu: ujście rzeki, gdzie stała zakotwiczona samotna łódź ze zwiniętymi żaglami, zajazd w bezludnym zielonym krajobrazie, roześmianego mężczyznę na tle bagiennych bajorek, nad którymi unosiła się chmura mew, śliczną dziewczynkę o nad wiek mądrym spojrzeniu, zagładającą przez zamazane okno do wnętrza jakiegoś domu, następnie eleganckiego olbrzyma w stroju żeglarza,

który każe sobie wyjaśniać działanie dwururki, i widniejącą na kilku fotosach wyniosłą z wyglądu kobietę, która, z trudem znosząc czyjeś objęcie, patrzy na morze podczas kąpieli słonecznej na pokładzie żaglówki.

— No, ciekawe, co to za film — powiedział Henry.

W kinie było mało ludzi. Oni oboje usiedli z brzegu w ostatnim rzędzie, Henry od razu poczęstował Paulę cukierkami „Smarties” i wpatrzył się w ekran; a ponieważ mężczyzna w żaglówce akurat zarzucał kotwicę, Henry wywnioskował, że film zaczął się już jakiś czas temu. Na wodę spuszczonego pontonu, na zawołanie mężczyzny w bieli nadeszła kobieta z dziewczynką, zlustrowały opuszczoną okolicę i śmiesznie zatkały sobie uszy, aby wytrzymać oszalały krzyk ptaków.

Znalazłszy się w pontonie, kobieta zapytała:

— Sądziś, że przyjazd tutaj był dobrym pomysłem?

Mężczyzna odparł:

— Harold z pewnością się ucieszy, siedząc całymi tygodniami na takim pustkowiu, człowiek tęskni za gośćmi; poza tym Karin może tu coś przeżyć, prawda, Karin?

Dziewczynka obserwowała dwa ptaki, które, nurkując, usiłowały upolować zdobycz, i powiedziała:

— Nie lubię tych ptaków.

— Ale ich pisklęta — odparł mężczyzna — ich pisklęta z pewnością polubisz.

— To jest głos Marco — szepnęła Paula — dubbinguje tego mężczyznę w stroju żeglarskim.

Właściciel zajazdu zauważył ich, kiedy byli jeszcze na rzece, wsunął więc teraz dwa kawałki torfu do pieca i podszedł do drzwi, aby powitać obcych przybyszów. Zgodził się z nimi, że pogoda jest znośna, wyraził jednak obawę, że wkrótce może się pogorszyć, gdyż zbyt wiele dużych ptaków jeziornych szuka schronienia na lądzie.

— Same są swoimi meteorologami — zauważył Henry i nachylił się do Pauli, która, jak mu się zdało, nie usłyszała jego uwagi.

Pokoje, pokazane gościom przez właściciela — narożny pokój z widokiem na morze dla rodziców i pokoik „dla naszej małej panienki” — nieszczerólnie przypadły im do gustu, ale wzięły je i przystąpiły do rozpakowywania rzeczy. Podczas gdy kobieta stała jeszcze przed otwartą szafą, mężczyzna oglądał krajobraz przez lornetkę i w okrągłych jak monety szybkach dostrzegł pokrytą sitowiem chatę, obok której wisiały dwa więcierze.

— Wypatrzyłeś go, Patrick? — spytała kobieta.

— Jego chatę — odparł mężczyzna — wygląda idyllicznie. Pewnie Harold błąka się gdzieś w szumarach.

Zamyślona dziewczynka siedziała na łóżku w swoim pokoiku, niezainteresowana okolicą; nawet gdy w oddali padł strzał, nie podeszła do otwartego okna.

Patrick wszedł, usiadł obok niej i przyciągnął ją do siebie. Powiedział pocieszająco:

— Cierpliwości, na pewno ci się tu spodoba, Harold, do którego możesz mówić „wujku Haroldzie”, jest bardzo miły, ma też z pewnością oswojone ptaki, albo chore, które pielęgnuje.

Dziewczynka spojrzała na niego badawczo i powiedziała nagle:

— W łodzi opowiadałeś mi, że on był kiedyś mężem mamy.

— Tak — odparł Patrick — ale to było dawno temu, zanim się jeszcze urodziłaś. Harold i ja pozostaliśmy przyjaciółmi albo też na powrót się nimi staliśmy.

W przedpokoju, pośród wypchanych papug morskich i mew pospolitych, kobieta poprosiła o drugą poduszkę pod głowę; kiedy znów padł strzał, właściciel zajazdu wyjaśnił jej, że trwa właśnie obława na lisy:

— Przychodzą zimą po łodzi, a teraz plądrują gniazda z jajkami. Strażnik ptaków oczyszcza teren.

Henry ujął rękę Pauli, otworzył jej dłoń, wysypał do niej trochę orzeszków i szepnął:

— To się źle skończy, prawda? Jak pani myśli?

— Ta kobieta — powiedziała Paula — jak ona jest ubrana, w takiej okolicy? Modniej już się nie da.

Z gęstego sitowia wynurzył się Harold; miał na sobie sweter z golfem i kalosze; po twarzy spływał mu pot. Na widok gości, którzy akurat wyszli z zajazdu i wkroczyli na prowadzącą do niego wąską ścieżkę, zniknął szybko w swojej chacie. Umył twarz, ściągnął kalosze, przetrzepał poduszki na pościeli i otworzył okna; opróżnił też popielniczki.

Dziewczynka obserwowała uważnie, jak dorośli witają się ze sobą, jak mężczyźni raczej ledwo podają sobie ręce, z jaką swobodą Harold mierzy wzrokiem jej mamę, a dopiero potem całuje ją w policzek i wita w Królestwie Upierzonych. Leżącej na dREW-

nianej ławie skórze martwego lisa dziewczynka przyglądała się z zaciekawieniem, ale nie odważyła się jej dotknąć.

— No, wejdźcie, zobaczcie, jak mieszka pustelnik — powiedział Harold — zrobię herbaty.

Właściciel zajazdu przyznał rację swojemu staremu pomocnikowi, który w obliczu nadciągającej burzy poradził przeciągnąć zacumowaną żaglówkę w górę rzeki; pomocnik zaproponował, że pomoże gościom.

Ze słowami „Chodź, coś ci pokażę” Harold poprosił dziewczynkę, żeby poszła z nim za dom; tu z łatwością schwytał dużą mewę, która dziobnęła go w palec, co mu chyba jednak nie sprawiło bólu. Powiedział:

— Ma złamane skrzydło. Jeśli chcesz, możesz ją pogłaskać.

Karin schowała ręce za plecami. A kiedy Harold posadził mewę z powrotem na ziemi, spytała:

— Długo był pan mężem mojej mamy?

Zdawało się, że zaskoczyło to Harolda tak bardzo, iż nie odpowiedział wprost, tylko najpierw poprosił:

— Spokojnie możesz mówić mi po imieniu, tutaj wszyscy tak robimy.

A po chwili dodał:

— Wtedy nie było cię jeszcze na świecie.

Harold i jego goście postanowili wybrać się na spacer po tej ptasiej krainie; gospodarz pieczołowicie pilnował, żeby kobieta nie zgubiła drogi, podawał jej rękę, aby mogła przeskoczyć przez kałuże i bagienne wądoły; wyjaśniał wszystkim szczególne

zwyczaje różnych gatunków ptaków. Im bliżej podchodzili do ich lęgówisk, tym agresywniej mewy przypuszczały na nich pozorowane ataki, mewy żółtonogie, mewy siodłate, kobieta kuliła się, potykała, Harold chronił ją przed upadkiem.

Bez pukania wszedł do chaty właściciel zajazdu, dziewczynka stała przy oknie, odprowadzając wzrokiem dorosłych; na pytanie, dlaczego nie poszła z nimi, mimo iż tam, w sitowiu i powietrzu, tyle się dzieje, odpowiedziała:

— Nie mam ochoty.

— Przy odrobinie szczęścia mogłabyś zobaczyć szybujące wysoko w górze albatrosy — powiedział właściciel zajazdu, na co dziewczynka odparła:

— Nie lubię tych wielkich ptaszydeł.

Henry poszukał ręki Pauli, którą otworzyła, myśląc, że chce jej nasypać jeszcze trochę fistaszków, on jednak tego nie zrobił, przesunął tylko delikatnie po jej palcach, patrząc w napięciu na ekran, uciśnął jeden opuszek i pukał w niego, jakby przesyłał jej jakąś wiadomość alfabetem Morse'a. Czekał, że Paula cofnie rękę, po chwili zresztą to zrobiła, ale niezbyt zdecydowanie, bez gwałtowności, łagodnie, jakby zmęczyła się trzymaniem jej w tej pozycji. Zwrócili się teraz ku sobie i popatrzyli na siebie, nie zauważając, jaki oboje mieli podobny wyraz twarzy. Wstali niechętnie, aby przepuścić parę młodych ludzi, którzy chcieli usiąść w ich rzędzie; odczuli ulgę, gdy tych dwoje postanowiło jednak przenieść się bliżej ekranu.

Przy herbacie i rumie Patrick opowiadał o założeniu i pomyślnym rozwoju swojej firmy cateringo-

wej: w tej chwili zatrudnia już dwudziestu dwóch pracowników, nie ma jeszcze dużego wyboru w ofercie, ale zmotoryzowani posłańcy mogą dowieźć do domu ciepłe i zimne potrawy w ciągu bardzo krótkiego czasu — piętnastu minut. Jego przebojowym daniem jest potrawa z ryżu indonezyjskiego — ogień, ogień, na życzenie dostarcza też lekkie wina, czerwone i białe.

— Wina, które również my pijemy — powiedziała kobieta.

O zmroku Patrick sam wybrał się na przechadzkę, Harold dał mu wiatrówkę i dwa naboje śrutowe. Ptaki ułożyły się do snu, w sitowiu zapanowała cisza.

Jakże długo siedzieli już tak w milczeniu naprzeciw siebie, gdy zostali sami, oboje lękali się najwyraźniej pierwszego pytania. Harold myślał: nie mam prawa jej wypytywać, czy jest szczęśliwa, kobiecie zaś przypomniało się własne zdanie na jego temat, które już dawno temu sobie o nim wyrobiła: w gruncie rzeczy on jest samotnikiem, Harold ożenił się tylko z tej przyczyny, że tego od niego oczekiwano, dla zasady. Żadne z nich nie zauważyło, że za jednym z okien pojawiła się twarz dziecka, szczupła, nieufna twarzyczka, patrzyli na siebie miło i z bolesną życzliwością, aż kobieta powiedziała:

— Nie wiem, jak tobie, ale mnie czasem, gdy myślę o przeszłości, wszystko wydaje się takie obce. Czyżbyśmy się pomylili?

Od strony wody nadszedł potężny poryw wiatru, sitowie zafalowało; oboje, Harold i kobieta, podnieśli głowy nasłuchując, twarz dziewczynki za oknem zniknęła.

Henry odchylił się i objął Paulę ramieniem, śmiejąc się przy tym w duchu sam z siebie, rozbawiony myślą, że kino wręcz zaprasza do tego, by dotykać i gładzić partnera; w nagłej jasności, która pod wpływem chmury białych ptaków na ekranie ogarnęła salę, dostrzegł, że więcej par na widowni siedzi w taki sam sposób jak oni, mocno przytulonych albo nawet, nie oglądając filmu, zagłębionych w sobie.

Chmara ptaków zatoczyła koło i skrzecząc, spadła gwałtownie na dziewczynkę, która, samotna przy krzewach olszyny, z przerażenia zatkała sobie uszy, a gdy jakiś wielki ptak prawie jej dotknął w udawanym ataku, krzyknęła głośno i uciekła.

Kobiecie wydało się, że słyszy wołania o pomoc, Harold był pewien, że je usłyszał, podszedł do drzwi, zaczął nasłuchiwać, a kiedy kobieta spytała: „Karin? Gdzie jest Karin?”, włożył kurtkę przeciwdeszczową i wyszedł na dwór.

Na zewnątrz, blisko domu, padł strzał, więc kobieta rzuciła się do okna. Po chwili podeszła do stołu, naleła sobie trochę herbaty i zapaliła papierosa. Potem stanęła w otwartych drzwiach i, patrząc w niebo, które przybrało kolor ołowiu, usiłowała dobiec, skąd dochodzą szmery. Nagle zawołała:

— Harold, Karin, tutaj.

Ponieważ jednak nikt jej nie odpowiedział, weszła do mieszkania, spojrzała na pokryty mnóstwem wykazów i podręczników ornitologicznych surowy blat biurka, przebiegła oczyma niektóre notatki i właśnie zaczęła otwierać jedną z szafek, w której leżało kilka listów, gdy wszedł Patrick, spocony i rozczochrany. Powiedział:

— Chybiłem, lis przebiegł mi przez drogę, ale go nie trafiłem.

— Karin zniknęła — powiedziała kobieta — jest gdzieś na dworze.

Z tonu, jakim wygłosiła te słowa, Patrick musiał wywnioskować, że obwinia go o to albo przynajmniej jest gotowa to zrobić, jeśli dziewczynce przydarzy się coś złego. Odwiesił broń na wieszak obok drzwi, wyjął fajkę z kieszeni kurtki, z drugiej wąską puszkę tytoniu, którym powoli zaczął nabijać cybuch, zużył kilka zapalek, aby go zapalić, a kiedy ten wreszcie rozżarzył się w zadowalający go sposób, powiedział:

— Karin jest już na pewno w zajeździe, widziałem ich oboje, Harold trzymał ją za rękę.

— W zajeździe? — spytała kobieta.

— Może sama chciała tam wrócić — powiedział Patrick — w każdym razie widziałem, że oboje idą w stronę zajazdu.

Odwróciwszy głowę w bok, Henry zauważył, iż Paula, słuchając Patricka, zamknęła oczy, najwyraźniej po to, by bez reszty skoncentrować się na głosie, albo po to, by pod przymkniętymi powiekami wywołać obraz mężczyzny, do którego ten głos należy w rzeczywistości; Henry nie zdziwił się więc, że odsunęła jego rękę, szukającą jej dłoni.

Dwoje ludzi w chacie nasłuchiwało, jak wzmaga się wiatr i tłucze deszczem o szyby; Patrick zaproponował, żeby poszli razem do zajazdu, wydawało mu się, że zna najkrótszą drogę. Kobieta nie przystała na jego propozycję, a nawet chyba jej nie usłyszała; jakby wreszcie musiała upewnić się co do te-

go, co zaprzęta jej myśli od chwili, gdy ujrzała Harolda, zapytała znienacka:

— Dlaczego, Patricku, dlaczego chciałeś nas tu koniecznie przywieźć? Wiesz przecież, że mi na tym nie zależało.

— Ale w końcu się zgodziłaś — powiedział Patrick — poza tym miałem nadzieję, że sprawię Karin radość.

— A o sobie w ogóle nie myślałeś?

— Dlaczego miałem myśleć o sobie? Już od dawna mam normalny stosunek do Harolda. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi i teraz znów nimi jesteśmy... w inny sposób, ale jesteśmy.

— Podejrzewam, że miałeś własne powody, aby tu przyjechać — powiedziała kobieta. — Chciałeś Haroldowi coś udowodnić; tak, chciałeś mu pokazać i dowieść, ile osiągnąłeś; chciałeś mu pokazać, jak dobrze ze sobą żyjemy.

— Znowu zaczynasz tę samą śpiewkę — powiedział Patrick.

— Nie — odparła kobieta — wiem, o czym mówię, chciałeś zrobić na Haroldzie wrażenie swoją wyższością, wyższością, na którą można sobie pozwolić, gdy jest się człowiekiem sukcesu, nie musimy mydlić sobie oczu.

— No i znów dochodzimy do tego samego — zrywał się Patrick — podejrzewasz coś i wyciągasz ze swoich podejrzeń absurdalne wnioski; w każdym razie nie chciałem Haroldowi nic udowadniać, nic, i wcale mnie nie irytuje, że sypialiście kiedyś w jednym łóżku.

Kobieta spojrzała na niego chłodno i szyderczo, a po chwili powiedziała:

— Podczas powitania nie widziałeś swojego wzroku, kiedy się z nim witałeś, z twoich spojrzeń biła protekcyjność; czy potrafisz sobie wyobrazić, że ta protekcyjność dotknęła, a nawet zraniła również mnie?

— Znowu zaczynasz — powtórzył Patrick — interpretujesz wszystko tak, jakby było skierowane przeciw tobie, a przynajmniej tak, jakby miało to coś wspólnego z tobą, zrozumże wreszcie...

W tym momencie Paula wstała, pogłodziła Henry'ego po plecach, wyszła na korytarz i skierowała się ku wyjściu. Henry zastanawiał się, czy ma czekać na jej powrót, ale po chwili także on opuścił swoje miejsce i wszedł do rozświetlonego foyer, gdzie Paula stała obok drzwi prowadzących na ulicę.

— Co się stało, źle się pani czuje? — spytał.

— Już przechodzi — powiedziała Paula — ucisk już mija, świeże powietrze dobrze mi zrobi.

— Pójdziemy?

— Ale może chciałby pan obejrzeć ten film do końca?

— Wyobrażam sobie, jak się skończy — powiedział Henry. — Niewątpliwie dojdzie tam do rozstania, do rozstania, którego należy się spodziewać.

Skinął jej głową, zachęcając do wyjścia, wziął ją pod rękę, pociągnął na ulicę i od razu zamierzał skierować kroki w stronę przystanku autobusowego przed dworcem, ale Paula uparła się, że pójdzie do

domu pieszo. Zatopiona w myślach, co chwila popatrując na niego z boku, szła obok Henry'ego, który opowiadał i relacjonował: im dłużej opowiadał, tym więcej zarzutów wytaczał pod adresem filmu, ogólnie rzecz biorąc, uznał go za przeładowany, naszpikowany zbyt wieloma symbolami. Dopytywał się, czy Paula jest również tego samego zdania, ale ona tylko wzruszała ramionami. Powinna jednak przyznać, powiedział, że to, co zobaczyli, to ramota, Paula zaś uśmiechnęła się w odpowiedzi i nagle wskazała wystawę jakiegoś sklepu meblowego.

— Nie ramota? — spytał Henry.

— Nie wiem — odparła, po czym przystanęła, żeby przyjrzeć się zielonej wyściełanej kanapie narożnej, na której właśnie pod okiem sprzedawczyni usiadł pewien mężczyzna, zupełnie tak, jakby chciał ten mebel wypróbować. Najwyraźniej nie był zadowolony albo też zależało mu na starannym zbadaniu również innych miejsc obiecujących wygodę, w każdym razie co rusz rzucał się na różne wyściełane meble, kołysał na nich, porównywał, rozmyślał. Sprzedawczyni podsunęła mu pod nos zegarek, chcąc prawdopodobnie uświadomić klientowi, że sklep jest już dawno zamknięty; w odpowiedzi na to mężczyzna jeszcze raz gwałtownie się zakołysał, a potem podążył za sprzedawczynią w głąb sklepu.

— Ten mebel jest kupiony — stwierdziła rozbawiona Paula i przypomniała sobie, że jakiś czas temu sama rzucała okiem na tę narożną kanapę, musiała jednak zrezygnować z jej kupna, bo okazała się zbyt droga.

Zmierzając do celu, szli dalej, i nawet tam, gdzie

ich drogi powinny były się rozejść, nie rozstali się; rozmawiali o urodzinach Alberta Bussmanna, o najbliższej licytacji, o dwu obrazach — sfałszowanych „starych mistrzach” — które wylądowały w biurze rzeczy znalezionych, nie rozmawiali tylko o tym, dokąd idą.

W pokoju paliło się światło. Obok stojącej lampy siedział mężczyzna i palił papierosa, przed nim, na okrągłym stoliku stał serwis do herbaty. Na okrzyk niekryjącej zaskoczenia Pauli wstał, wyszedł jej na spotkanie, objął ją, ona zaś spytała:

— Skąd przyjechałeś, Marco?

— Z Monachium — odpowiedział — wcześniej skończyliśmy produkcję, nikt cię nie uprzedził telefonicznie?

Pocałował ją w czoło, potem w policzek, a dopiero później zmierzył Henry’ego od stóp do głów.

— Czy mogę panów sobie przedstawić? — spytała. — Pan Neff, kolega z pracy — mój mąż; obejrzeliśmy właśnie twój film: *Strażnika ptaków* i pan Neff odprowadził mnie do domu.

— To bardzo miło ze strony pana Neffa — powiedział mąż Pauli i podał rękę Henry’emu, który od razu pojął, że zyskał sympatię tego niskiego, tęgiego mężczyzny o przeredzonych włosach. A kiedy Marco poprosił go, by usiadł, pomyślał: Patrick, to jest głos Patricka. Henry nie usiadł, podziękował również za herbatę, którą chciał go poczęstować mąż Pauli, nie dał się przekonać nawet jej namowom. Stał w pobliżu drzwi i stamtąd również odpowiedział na pytanie, czy film mu się podobał; rzuciwszy niepewne spojrzenie na Paulę, powtórzył to, co

już wcześniej mówił, chociaż w nieco łagodniejszej postaci:

— Gęsta atmosfera, owszem, krajobraz pogłębia wagę wydarzeń, ale symbolika jest chwilami zbyt natrętna.

Mąż Pauli przytaknął tylko skinieniem głowy i zdawało się, że ze zmęczenia przyznaje mu rację.

— W każdym razie nie nudziliśmy się — powiedziała Paula szybko i jeszcze raz poprosiła Henry'ego, aby przynajmniej usiadł „na papierosa”, on jednak powtórnie podziękował za zaproszenie, przeprosił z wyrazami ubolewania i pożegnał się.

Licytacja rozpoczęła się jak zwykle o godzinie dziewiętej przed południem, i jak zwykle wszystkie ławki i krzesła były zajęte, a goście, którzy nie znaleźli miejsc siedzących, opierali się o ściany albo tłoczyli na rampie, skąd zerkali przez okna na stopy znalezionych rzeczy i na ciemno ubranego licytatora, który, jak się zdawało, z pogodą ducha krzątał się przy swoim pulpicie. Henry, stojący obok niego i gotów wysoko podnosić licytowane przedmioty, aby można było je lepiej obejrzeć, nie mógł odebrać oczu od zgromadzonych tu tego przedpołudnia ludzi; ze zdumieniem obserwował chytre i szorstkie, zdecydowane i niecierpliwe twarze licytujących; siedzą tak, pomyślał, włóczędzy obok dyrektorów hoteli, w jednym dopatrywał się działkowicza, w innym wędrownego handlarza obsługującego „pchle targi”, odkrywał, w swoim mniemaniu, rzemieślników i kolekcjonerów sztuki oraz przebie-

głych zdzierców, nastawionych na szybki zysk, ale obserwował też siedzącą tam w oczekiwaniu parę młodych ludzi, którzy przypuszczalnie chcieli tanio dokupić coś do niekompletnego gospodarstwa domowego. Nie znalazł jednak wytłumaczenia na obecność zblazowanej damy w kapeluszu, która z trudem znosiła sąsiedztwo miejskiego włóczęgi.

Ku swojej uldze dostrzegł też później Barbarę, nie zapomniała o umówionym terminie, trochę się tylko spóźniła — Barbara, która nigdy by tu nie przyszła, gdyby jej do tego nie zobowiązał. Kiedy trzymał nad głową prawie nowy plecak — wyrób szwajcarski, powiedział licytator, świetnie nadający się, by zdobywać z nim Matterhorn — Henry obserwował, jak Barbara przedziera się przez tłum stojących wokół ludzi i kieruje się do przodu, aż do krzesła pewnego starszego pana, który, ledwo na nią spojrzał, natychmiast ustąpił jej miejsca. Henry odniósł wrażenie, że ów starszy pan nawet podziękował za to, że Barbara przyjęła jego propozycję. Nie odważył się dać siostrze znaku ręką, wiedział bowiem, że pracownicy biura rzeczy znalezionych nie mają prawa brać udziału w licytacjach i że obejmują ich także zakaz wystawiania współnika, zadowolili się więc mrugnięciem do Barbary, poważnie i bez wzbudzania podejrzeń. Barbara dostrzegła i odwzajemniła jego znak, zamykając na sekundę oczy. Do Pauli, która w charakterze protokolantki siedziała za blatem czarnego stołu, Henry nawet się nie odwrócił.

Na plecak znalazł się tylko jeden chętny, spocorny mężczyzna o żylastej skórze, który, kupiwszy go

po cenie wywoławczej, chciał zapalić nieforemną fajkę, jakby odręcznie wyciętą z drewna, na co jednak Albert Bussmann mu nie pozwolił.

— Gdzie są oferenci? — zapytał licytator, co zabrzmiało jak zruganie powściągliwej dotychczas publiczności. Wywołał numer „laski spacerowe” i wyjaśnił, że nie można licytować ich pojedynczo, tylko jako całą paletę, dwadzieścia siedem lasek spacerowych, z których dwie Henry podniósł nad głowę i obrócił w powietrzu.

— Panie i panowie — powiedział licytator — widzicie tu oto dwie proste, zostawione w pociągu laski spacerowe, które pragną mieć nowego właściciela i służyć mu za podporę; jeśli trzeba, mogą przydać się także do odstraszenia; no, kto się nad nimi zlituje? Jest oferta trzysta osiemdziesiąt, kto da więcej?

Dwaj przysadziści mężczyźni — Henry uważał ich za konkurujących ze sobą właścicieli zajazdów — podjęli grę, powoli windowali cenę w górę — trzysta dziewięćdziesiąt po raz pierwszy — obrzucali się zdziwionymi, a potem również szyderczymi spojrzeniami — czterysta pięć po raz pierwszy — odwrócili się od siebie ostentacyjnie — czterysta piętnaście po raz pierwszy — poszeptali coś z towarzyszącymi im osobami — czterysta dwadzieścia po raz pierwszy — jeden z nich poddał się, machając ręką — czterysta dwadzieścia po raz drugi i, pauza, uderzenie młotka, po raz trzeci. Licytator nie dał po sobie poznać, czy go to ucieszyło; usposobiony do subtelnych żartów, wywoływał numer za numerem, przy czym nie tylko zachwalał po-

szczególne rzeczy, ale przedstawiał je również jako żywe istoty, którym los spletał przykrego figla i które teraz mają nadzieję dostać się w dobre, opiekuńcze ręce:

— Ta niewinna walizka... ta gitara, która jeszcze ciągle łka, ponieważ ktoś o niej zapomniał... a tutaj, to składane krzeselko ogrodowe, które z taką ochotą stanęłoby znów na wolnej przestrzeni; no, kto zacznie?

Harry podniósł wysoko gitarę i zaczął nią wywijać, pozwolił sobie nawet kilkakrotnie przeciągnąć palcami po strunach. Licytatorowi udało się stworzyć dobry nastrój. Rzeczywiście apelował o współczucie dla tych zgubionych rzeczy, udało mu się nawet sprzedać komuś termosy i czapki w stylu księcia Henryka, nowego właściciela zapewnił też parze kijów golfowych. Nabywcę znalazły również futra i płaszcze przeciwdeszczowe, zabawki i skórzane teczki, parasole od słońca i od deszczu (w palecie) i pledy podróżne (w wystarczająco dobrym stanie, by rozgrzać marznącego dziadka), podobnie też książki, walizki, swetry i nosidełko dla niemowlaka. Ktoś wylicytował, nie miał wątpliwości, że ubił dobry interes.

Kto jednak oczekiwał zabawnego pojedynku w przelicytowywaniu się, musiał doznać zawodu, zbyt gładko bowiem, jakoś rozważnie i bez temperamentu przebiegała ta licytacja, przynajmniej do chwili, gdy licytator wywołał raczej kuriozalną zgubę: dwa związane ze sobą kije do hokeja na lodzie. Henry zaprezentował je publiczności, szukając przy tym wzroku swojej siostry, i nie uszło jego uwadze, że

Barbara wyprostowała się, gotowa podjąć licytację. Licytator nazwał obydwie kije „weteranami”:

— A tu mamy dwóch weteranów, wypróbowanych w niejednym boju, znaleziono te kije w Inter-City z Düsseldorfu... na lodowisku w Düsseldorfie panuje przecież zawsze szczególny nastrój... na jednym z kijów widnieje monogram E. S.

Ledwo licytator przedstawił tę zgubę, Barbara rzuciła kwotę nieco tylko wyższą od ceny wywoławczej czterdziestu marek, toteż prawie wszyscy myśleli, że kije już należą do niej; wtedy jednak, niewidzialny dla większości zgromadzonych, podniósł palec szczypty, najwyraźniej zboleła mężczyzna z pierwszego rzędu, licytator natomiast, który widział wszystko, ogłosił nową cenę. Barbara natychmiast się do niej ustosunkowała, przebiła tę sumę, pewna, że konkurent odpadnie, ale on dotrzymywał jej kroku, spokojnie, z początku pewien zwycięstwa, wydawało się nawet, iż ten pojedynek go bawi. Kiedy już, ku zdumieniu niektórych obecnych, wywindowali się oboje na wysokość osiemdziesięciu marek, ów mężczyzna odwrócił się do Barbary i lekko potrząsnął głową, zupełnie tak, jakby wnosił słaby protest na metodę, przy użyciu której mu się tutaj czegoś odmawia, czegoś, do czego, jak się zdawało, miał prawo. Barbara nie zwracała na niego uwagi, spoglądała to na licytatora, to znów na Henry’ego i automatycznie podnosiła cenę, szła wyżej i wyżej, nie przyjmując do wiadomości głosów zdumienia ze strony swoich sąsiadów. I wygrała tę licytację.

Nie triumfowała jednak, nawet nie okazywała satysfakcji, z nieprzeniknioną twarzą podeszła do

stołu, przy którym siedziała Paula, załatwiła z nią, co było do załatwienia, poprosiła Bussmanna, żeby przyniósł jej kije i opuściła pomieszczenie. No, dobrze, pomyślał Henry, w głębi duszy dziękując siostrze za wylicytowanie obu kijów, które, jak mu się wydawało, musi mieć, zwłaszcza ten z monogramem E. S. Z chęcią dałby Barbarze do zrozumienia jakimś ukradkowym gestem, jak bardzo jest jej wdzięczny i ile ma dla niej uznania, lecz licytator obarczył go już kolejnym zadaniem, prosząc, aby podniósł wysoko kuferek z kosmetykami (wszystko dla urody). Henry otworzył wieczko tak gwałtownie, że kilka utensyliów — pędzelki, puszkki do pudrowania, szminki — wypadło ze środka, za co dostał nieoczekiwane brawa. Powoli pozbierał wszystko i tak długo trzymał kuferek, aż wreszcie miał przyjemność wręczyć ten przedmiot ubranemu w lśniącą skórę mężczyźnie, który go wylicytował.

Później licytator zaproponował krótką przerwę, więc kilku obecnych wyszło na dwór zapalić papierosa, on sam zaś podszedł do Pauli i poprosił o pokazanie protokołów. Od czasu do czasu wskazywał na jakiś zapis, otrzymywał wyjaśnienie, przebiegał wzrokiem kolejną stronę i kiwał potakująco głową, kiwnął tak kilka razy i pochwalił Paulę, kładąc rękę na jej ramieniu. Podniósłszy wzrok, dostrzegł kelnerkę z poczekalni, chodzącą z tacą i oferującą kawę z papierowych kubków, sięgnął po jeden z nich, ale nie udało mu się wypić ani łyeczka, gdyż zaraz obstało go kilku licytujących, którzy domagali się różnych informacji, a nawet porad.

Paula uzupełniała zestawienia, pisała dalej, cho-

ciaż zauważyła postać przed biurkiem, postać, która już przez sam bezruch miała w sobie coś wyzywającego; dopiero jednak po dokonaniu tymczasowego bilansu Paula spytała, nie podnosząc wzroku znad listy:

— Słucham?

— Najtrudniejsze już chyba za nami — powiedział Henry.

— To jeszcze nie takie pewne.

Oparł się o stół, pochylił ku niej i wyznał:

— Twój mąż... bardzo chciałem jeszcze zostać... ale widziałem, że jest strasznie zmęczony p o podróży.

Paula milczała.

— Chętnie bym z nim dłużej porozmawiał — ciągnął Henry dalej — o pewnej scenie z filmu, o tym ataku ptaków i przerażeniu dziecka; ale może jeszcze kiedyś się spotkamy.

— Dlaczego nie? — odparła Paula bezbarwnie.

— Marco od razu poczuł do ciebie sympatię, a kiedy mu opowiedziałam, że grasz w hokeja na lodzie, natychmiast postanowił przyjść na twój następny mecz; mój mąż jest zapalonym miłośnikiem hokeja na lodzie.

Wyciągnęła jakąś listę z jednego ze skoroszytów, długopisem zaczęła przeszukiwać nazwiska, wskazała na nazwisko B. Neff, którym został pokwitowany odbiór kijów hokejowych, i powiedziała:

— Życzę... życzę ci szczęścia z wylicytowanymi kijami.

Zakłopotanie Henry'ego trwało zaledwie przez mgnienie oka. Po chwili wyjaśnił:

— „B.” to Barbara, a Barbara jest moją siostrą, ona również pasjonuje się hokejem na lodzie.

— Widzisz, Henry, właśnie tak przypuszczałam — powiedziała Paula, odchylając się głęboko i starając się uniknąć wrażenia poufałości, jakie ich rozmowa mogłaby wyrzucić na innych obecnych.

Ochoczo, a wręcz z wdzięcznością Henry podążył na skinienie Bussmanna, oczekującego od niego pomocy przy uprzątnięciu starych, podniszczonych walizek, na które nie znaleźli się chętni. Aby zrobić trochę miejsca, zanieśli wzgardzone zguby na rampę, gdzie ułożyli je na stosie; Bussmann wiedział, że zaraz przyjedzie ciężarówka i zabierze je do fabryki, w której przerabia się odpady, pali je, rozdrabnia i zamienia na użyteczne surowce. Czasem, gdy spotykał wzrok Pauli, udawał wyczerpanego, chwiał się na nogach, zachowywał się tak, jakby ciężar miał go zaraz przewrócić, a kiedy się uśmiechała, markował pocałunek. Henry postanowił zaprosić na mecz najpierw Paulę, a potem również jej męża; dowiedziawszy się, że Marco poczuł do niego sympatię, stwierdził, że i on nie jest mu niemiły.

Bussmann zaciągnął Henry’ego na skraj rampy, usiadł z głośnym jękiem i zachęcił swojego towarzysza, by zajął miejsce obok niego. Przez chwilę siedzieli tak w milczeniu, przyglądając się tylko zwycięskim klientom zanoszącym wylicytowane rzeczy na odległy parking, pośpiesznie, jakby ktoś mógł zakwestionować ich zdobycze. Zrezygnowany Bussmann wskazał na stos walizek.

— Przyjrzyj się temu, chłopcze — powiedział — te walizki niegdyś oddawały przysługi, leżały na sza-

fach, czekały na podłogach, stały gdzieś w schowkach, póki nie wyruszyły w podróż, póki nie trzeba było czegoś przewieźć, prezentów albo tego, czego się potrzebowało; nie mogę na nie patrzeć, żeby o tym nie myśleć, ponadto wyobrażam sobie, gdzież one wszystkie już bywały, rozumiesz? A teraz? Zapomniane, zagubione, wysłużone, pójdą teraz pod nóż albo powędrują do ognia.

Henry taksował wzrokiem okazałą walizkę z drewna, oklejoną wyblakłymi już nalepkami dużych hoteli, i odezwał się:

— Ona niewątpliwie mogłaby niejedno opowiedzieć, kto wie, co przeżyła.

— Każda walizka mogłaby z pewnością opowiedzieć jakąś historię — przyznał Bussmann — a w ogóle: każda zguba ma coś w sobie, nie uwierzysz, jakie rzeczy wychodzą czasem na jaw. Ale jeszcze kiedyś tego doświadczysz!

Wstali, gdyż od strony placu dworcowego zbliżała się właśnie ciężarówka, która, trochę rozklekotana, z opuszczoną klapą boczną podjechała pod rampę. Z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni w drelach, pozdrowili ich i oszacowali ciężar, a potem zaczęli ładować walizki. Najpierw ustawili je jedna na drugiej albo tuż obok siebie, a później po prostu zaczęli wrzucać pozostałe tam, gdzie dojrzeli jeszcze wolne miejsce. Drewniana walizka uderzyła o żerdzie, podskoczyła i upadła jakby z otwartą paszczą, a Henry zauważył, że z wąskiej kieszonki bocznej wychynęło coś jasnoniebieskiego; dostrzegł to również jeden z mężczyzn, szarpnął materiał i wy-

ciągnął koszulę z krótkimi rękawami, którą przyłożył do siebie, szczerząc zęby w uśmiechu.

— Widzisz — powiedział Bussmann — niektóre rzeczy znajduje się jeszcze w ostatniej chwili, nawet jeśli jest to tylko koszula. Mnie kiedyś co innego przypadłoby na święty nigdy, a znajdowało się to również w drewnianej walizce... Kiedy ją ładowaliśmy, sterta się zawaliła i odsłoniła drugie dno walizki, gdzie znalazłem kawałek kolorowego płótna, był to stary obraz hiszpański, gaj oliwny, niepowtarzalny, a kiedy rzeczoznawca go wycenił, szczęki nam opadły.

Umieściwszy wszystkie walizki i pudła na ciężarówce, mężczyźni odjechali, pozdrawiając ich bez słowa. Bussmann długo za nimi patrzył; na jego twarzy malował się wyraz nieobecności.

— Jak często oni tu przyjeżdżają? — spytał Henry.

— Raz w miesiącu — odpowiedział Bussmann i powtórzył: — Raz w miesiącu — a potem dodał cicho: — Opłaca się im, ludzie wystarczająco dużo gubią i o wystarczająco wielu rzeczach zapominają.

Potem zaś mrugnął do Henry'ego i zapytał, jakby to jemu pozostawiał decyzję:

— Jak myślisz, może już czas na małe pokrzepienie?

Ponieważ Henry nic nie odpowiedział, tylko niezdecydowanie uniósł ramiona, Bussmann po prostu poszedł przodem, nie upewniając się w ogóle, czy Henry za nim idzie, zaprowadził go między regały, a potem do miejsca, gdzie ukryte pod podróżnymi pledami leżały jego pokrzepiające zapasy.

To może być tylko Barbara, pomyślał, gdy w pewną pochmurną niedzielę obudził go telefon. Henry niechętnie podniósł słuchawkę, usiadł i odezwał się przeciągłym:

— Taak?

— Tu mówi Fiodor Lagutin z Saratowa. Jeśli źle się połączyłem, proszę o wybaczenie, zależy mi na rozmowie z panem Neffem.

— Fiodorze, to ja — odezwał się Henry — jestem przy aparacie.

— Co za radość móc cię słyszeć — powiedział Fiodor i najpierw spytał o jego samopoczucie, potem o zdrowie w ostatnich dniach, a wreszcie o plany na tę niedzielę.

Fiodor Lagutin, co Henry od razu usłyszał, był w wyśmienitym nastroju i poruszony na swój łagodny sposób; dowiedziawszy się, że Henry nie przewiduje dzisiaj nic szczególnego, powiedział:

— Za twoim pozwoleniem, zajrzę do ciebie po południu, przyniosę wszystko, co będzie potrzebne.

— Co się dzieje, Fiodorze — spytał Henry — coś ci się przytrafiło?

— Mam życzenie świętować z tobą, dzielona z kimś radość wzmacnia się, a mam powód do dużej radości. Niestety, w Adlerze czekają na przyjazd grupy turystów, w przeciwnym razie zaprosiłbym cię do siebie.

— Nie torturuj mnie — poprosił Henry — o co chodzi?

Zamiast odpowiedzieć wprost, Fiodor rzekł:

— Przyniosę to, co konieczne, również orzechy i ogórki.

Potem jednak nie zdołał zachować dłużej dla siebie tego, co napawało go taką radością i zwierzył się Henry'emu, że przyznano mu specjalne stypendium. Później, później opowie mu o wszystkich szczegółach, teraz tylko napomyka o tym, że publicznie zadał pewne pytanie, które spotkało się z tak dużym zainteresowaniem, iż postanowiono umożliwić mu znalezienie na nie stosownej odpowiedzi.

— Co to za pytanie? — dopytywał się Henry, na co Lagutin odparł:

— Ach, Henry, dziwi mnie twoja niecierpliwość, ale żebyś dalej nie musiał zgadywać, powiem, że zadałem sobie pytanie, czy przesłanki nauki języka obcego nie są takie same jak te, które są nieodzowne w matematyce. Ale jeśli chcesz, porozmawiamy o tym później, o matematyce, o umiejętnościach językowych i o ich wzajemnych relacjach.

— Najpierw jednak opijemy twoje specjalne stypendium — powiedział Henry. — A więc do zobaczenia po południu, czekam na ciebie.

Henry wstał, włączył radio i zaniósł je do łazienki. Przywódcy państw europejskich zebrali się w Genewie, żeby obradować o rozszerzeniu Unii Europejskiej na wschód. Wziął najpierw prysznic, namydlił twarz i zaczął się golić. Istniała groźba, że statek z uchodźcami kurdyjskimi zatonie, włoska straż przybrzeżna wzięła go na hol. Brenda O'Hara, kalifornijska piosenkarka — znana jako „Queen of Pop” — obudziła się z długiego letargu i przygotowuje nowe tournée. Podczas gdy Henry czuł na twarzy przyjemne pieczenie płynu po goleniu, Brenda śpiewała: *Let's try it again and again*. A na koniec

wiadomości o sytuacji na drogach: Uwaga, na autostradzie A7 ktoś jedzie pod prąd.

Henry włożył dzinsy, narzucił na siebie koszulkę polo, poszedł do kuchni i wstawił wodę; następnie postawił na stole dwa nakrycia — cieszył się na myśl o odwiedzinach Fiodora. Jako że zrobiło mu się zimno, włożył sweter, naciągnął go na głowę, a potem zaczął wymachiwać rękami, szukając rękawów; myślał przy tym o Barbarze i jej złośliwej uwadze: „Wielki Boże, jak ty się ubierasz, toż to zakrawa na prawdziwą walkę, dobrze, że siebie nie widzisz.” Nalał herbatę, zrobił sobie dwie kromki chleba — jedną z serem, drugą z dżemem — i usiadł przy stole kuchennym. Dwaj moderatory niedzielnego programu rozrywkowego, nadaremnie siłujący się na wesołość, zapraszali jego i jeden koma dwie dziesiąte miliona słuchaczy do wspólnej zabawy: Co byś zrobił, gdybyś przez jeden dzień miał nieograniczoną władzę w Niemczech? Na autorów trzech najoryginalniejszych odpowiedzi czekają nagrody, wśród nich weekend w Paryżu dla dwóch osób. A oto nasz numer telefonu; jeśli macie państwo jakiś oryginalny pomysł, proszę do nas zadzwonić. Henry spojrzał na dwie ciemne truskawki, które nie rozpuściły się w dżemie, nie zjadł ich na razie, przesuwając je łyżeczką coraz dalej na skraj kromki chleba i rozkoszował się przedsmakiem mocnej słodyczy, którą będzie mógł delektować się po zjedzeniu ostatniego kęsa. Do radia dodzwoniła się dwunastoletnia dziewczynka:

— Tu mówi Katia z Celle, mam dwanaście lat, gdybym mogła decydować i tak dalej, to wszyscy

uczniowie już od pierwszej klasy musieliby dostawać kieszonkowe.

Moderator zapytał:

— A kto, droga Katiu, miałby wypłacać im te pieniądze?

— Nasz nauczyciel matematyki — odpowiedziała dziewczynka.

Henry wyłączył radio, ale nie mógł przestać myśleć o zadanyim pytaniu konkursowym; zapalił papierosa i rozważał, jakie wydałby zarządzenia mające poprawić lub ułatwić życie: likwidację biurokracji? Roczny pobyt za granicą? System kar na kolei dla zapominalskich podróżnych? Nie zadzwonił do studia.

Nucąc, umył swoje nakrycie i postawił je z powrotem na stole, potem wyjął ze skrzyni w tapczanie worek na bieliznę i wepchnął do niego wszystko, co przez ubiegły tydzień nagromadziło się w mieszkaniu: skarpety, podkoszulki, majtki, zaplamiony obrus; stwierdził, że ostatnimi czasy nosił wyłącznie swoje ulubione koszule, a oglądając poźółkłe jednokolorowe, przechodzone, które nadal wisały w szafie, pomyślał: „Na was też jeszcze przyjdzie kolej”. Worek na bieliznę związał kawałkiem woskowanego sznurka, pochodzącego z kontenera na odpadki w biurze rzeczy znalezionych. Przyszła mu na myśl uprzejmość starego mężczyzny, który zajmował się praniem rzeczy i, przychodząc po worek, nigdy nie zapominał życzyć „stabilnego zdrowia”.

Henry podszedł do okna, wyjrzał na betonowy plac i powędrował wzrokiem ku sztucznym sta-

wom; wydawało się, że nieliczni przechodnie bardzo się śpieszą. W oddali samolot zniżał się do lądowania z zachmurzonego nieba, podwozie było już opuszczone; gdy jednak maszyna znalazła się poza polem widzenia, ucichł też warkot silnika. Henry odwrócił się, wziął blok do pisania i podszedł do stołu. Volker czeka na odpowiedź, Volker Jansen, jego przyjaciel z młodych lat, musi się w końcu dowiedzieć, czy Henry jest gotów przyjąć jego życzliwą propozycję. Henry przeczytał powtórnie list, w którym Volker proponuje mu, aby ubiegał się o przyjęcie do pracy w Federalnym Urzędzie Miar i Wąg, moment jest sprzyjający, praca urozmaicona i zagwarantowana możliwość awansu; przede wszystkim: znowu byłiby razem, jak niegdyś. Czytał: „Wszystko, co będzie ci potrzebne, aby wykonywać te czynności, przyswoisz sobie z łatwością, obcowanie z urządzeniami pomiarowymi i wagami jest naprawdę przyjemne, później mógłbyś nosić tytuł: urzędnik miar i wag”. Urzędnik miar i wag, pomyślał Henry, badać, stemplować, wytrawiać, wybijać, uśmiechnął się, wziął luźną kartkę, aby wreszcie odpowiedzieć Volkerowi, podziękować mu i delikatnie go poinformować, dlaczego nie uważa się za osobę powołaną do robienia tego rodzaju kariery.

Pisząc, usłyszał nagle trzask i krzyk, rzucił się więc do okna, gdzie zobaczył to, czego się mimo woli obawiał: na placu, otoczony kilkoma motocyklistami, stał Fiodor Lagutin. Jego przyjaciel trzymał w każdej ręce plastikową torbę, rozglądał się, oceniał szanse ucieczki, zdając się równocześnie

zgadywać, jakie zamiary mają wobec niego motocykliści. Było pięć motorów, ich jeźdźcy panowali nad nimi; jakby byli zdecydowani na wszystko, podjechali w stronę Fiodora, tuż przed nim zakręcili i poderwali maszyny do góry, zupełnie tak, jakby prowadzili tresurę. Zataczali coraz ciaśniejsze koła. Coś do siebie pokrzykiwali. Od czasu do czasu któryś z nich niedbale włókł nogi po ziemi. Gdy Fiodor Lagutin otrzymał pierwszy cios — uderzenie pięścią w plecy — Henry gwałtownie otworzył okno i zawołał do niego, tylko zawołał:

— Fiodor, tutaj, tutaj.

Po czym zaczął dawać mu znaki, żeby dobiegł do drzwi wejściowych, sam zaś wykrzyknął jakąś groźbę w stronę motocyklistów.

Fiodor Lagutin zauważył Henry'ego, zrozumiał również jego znaki, ale motocykliści zagrodzili mu drogę, a przejeżdżając obok, uderzyli go w plecy i potem w ramię. Naraz jednak Fiodor cisnął w jednego z motocyklistów plastikową torbę, która go trafiła, tak że wypadł z szeregu i pozostawił lukę, przez którą Lagutin zaczął biec. Henry usłyszał głos jednego z motocyklistów:

— Kozak, to Kozak.

I drugiego:

— Nie pozwólcie mu wejść do domu, złapcie go.

Gonili Fiodora po placu i jego obrzeżu, tymczasem Henry pośpiesznie odszedł od okna, pobiegł do drzwi wejściowych i prawie do nich dotarł — już widział siebie, jak wciąga Fiodora do środka — gdy nagle usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Fiodor stał bez tchu na stopniu niskich schodków prowadzą-

cych do drzwi, obok jego stóp leżał ciężki kawał betonu ozdobnego — Henry zorientował się natychmiast, że pochodzi on ze stosu płyt przy wejściu — a także druga plastikowa torba. Po ziemi rozsypały się odpryski szyby: mozaika promieni i roziskrzonych kręgów otaczała miejsce pęknięcia, na którego brzegach tkwiły odłamki o ostrych krawędziach. Henry zobaczył, że z ręki Fiodora cieknie krew, zobaczył, jak rękaw jasnej kurtki sportowej ciemnieje, i powiedział tylko:

— Chodź, no, chodź.

I pociągnął go po kilku schodach w górę prosto do swojego mieszkania.

— Usiądź!

Fiodor Lagutin usiadł na tapczanie, a Henry pomógł mu ściągnąć kurtkę. Rękaw koszuli był prześiknięty krwią; Henry podwinął go wysoko, ostrożnie, kiedy zaś odsłonił ranę na przedramieniu, powiedział:

— Musimy zdjąć koszulę.

Zdjął ją Fiodorowi przez głowę, podniósł jego rękę i pochylił się nad raną, która bez przerwy krwawiła. Fiodor Lagutin nic nie mówił, tylko pytającym spojrzeniem towarzyszył wszystkim stwierdzeniom i działaniom Henry'ego; nawet wtedy, gdy przyjaciel postanowił podwiązać mu rękę i natychmiast przyniósł z szafy krawat, żeby go wokół niej zacisnąć, Fiodor spoglądał pytająco z wyrazem twarzy, który w mniejszym stopniu zdradzał skrywane zwątpienie, bardziej zaś ciche oczekiwanie, że Henry wyjaśni mu to, co się właśnie stało.

W łazience, gdzie Henry przechowywał kije ho-

kejowe, wisiała również popielata apteczka, w której nigdy nie brakowało plastrów, kompresów ani opatrunków; sięgnął po to, co wydawało mu się wystarczające do udzielenia pierwszej pomocy, i wrócił do pokoju. Lagutin nie siedział już na tapczanie, lecz stał przy oknie; położył rękę na parapecie i, kręcąc z niedowierzaniem głową, przyglądał się swojej ranie ciętej.

Zanim Henry założył opatrunek, wezwał lekarza pierwszego kontaktu, podał swoje nazwisko, adres, i podczas gdy Fiodor uważnie mu się przysłuchiwał, opisał rodzaj rany, a następnie poprosił:

— Proszę szybko, proszę.

Fiodor rzekł:

— Ci z dworu uciekli.

Pozwolił, aby Henry zaprowadził go na krzesło, sam wziął tampon i ucisnął kompres. Od czasu do czasu wstrząsał Lagutinem dreszcz, Fiodor jęczał cicho, ale zaraz potem znów się uśmiechał, jakby nie chciał przyznać się do palącego bólu. Henry przeciągnął ręką po włosach przyjaciela, podał mu zapalonego papierosa i starał się go uspokoić, mówiąc, że lekarz pierwszego kontaktu mieszka niedaleko stąd. Lagutin spojrział na Henry'ego z wdzięcznością i powiedział:

— Jak się nad tym dobrze zastanowić, Henry, ratujesz mnie już po raz drugi.

— To banda — odparł Henry — to banda nędzników.

— Ale dlaczego — spytał Fiodor — dlaczego oni to robią? — A ponieważ Henry milczał: — Co mają przeciw mnie?

Henry zwlekał z odpowiedzią, nie chciał wymówić słowa, wyrzaskiwanego przez jednego z motocyklistów — słowa, które, jak sądził, teraz dodatkowo zraniłoby jego przyjaciela — potem zaś spojrział Fiodorowi w twarz i powiedział tylko:

— Oni chcą panować, chcą, żeby ich zauważono, i chcą panować.

Nie wyjawiając swoich zamiarów, wyszedł z mieszkania na schody i przyniósł plastikową torbę, która wciąż tam jeszcze leżała:

— Proszę, Fiodorze, to twoja własność.

Szybko zbadał zawartość torebki, dostrzegł słoik ogórków, dwie niebieskie świece, woreczek orzechów i butelkę miodu pitnego; chciał postawić te wszystkie rzeczy na stole, ale Lagutin powstrzymał go, prosząc, aby zachować je na „jaśniejszy dzień”.

— Nastanie jaśniejszy dzień — powiedział — a wtedy nadrobimy tę drobną uroczystość; nic z tego, co znajduje się w torebce, nie ulegnie zepsuciu.

Bardzo młody lekarz pierwszego kontaktu nie rozejrzał się po pokoju, nie zwrócił uwagi ani na fotografie, ani na dyndające zakładki, zdawało się też, że nie słucha dokładnie wyjaśnień Henry’ego, bo po krótkim pozdrowieniu od razu podążył w stronę Fiodora, dając do zrozumienia, że już sam widok co nieco mu powiedział: drzwi, rozbita szyba w drzwiach. Przedstawił się, podał Fiodorowi rękę i usiadł przy nim. W milczeniu obejrzał ranę, obejrzał ją dwukrotnie, poczuł wyraźną ulgę, że nie dostrzegł w niej maleńkich okruchów szkła, a po chwili wyciągnął z brzuchatej torby jakieś lekarstwo, które natychmiast kazał Fiodorowi zażyć:

— To złagodzi ból.

Henry powtórnie opisał lekarzowi, co się stało, nie wspominając jednak o tym, że motocykliści już kiedyś wzięli również jego na cel, nazwał ich bezczelnymi szpanerami, którzy znajdują upodobanie w zastraszaniu innych i szerzeniu grozy, i z pewnością sami sobie chcą udowodnić, że coś sobą przedstawiają. Lekarz spojrział na Henry'ego z rezygnacją i milczał. Ponieważ jednak nie uszło jego uwadze, z jakim zainteresowaniem Fiodor przygląda się torbie lekarskiej, powiedział:

— Należała kiedyś do mojego ojca, był lekarzem wiejskim — i prawie natychmiast spytał: — Mieszka pan tutaj, u swojego przyjaciela?

Henry odpowiedział za Fiodora:

— Doktor Lagutin jest gościem politechniki, mieszka w hotelu Adler.

Lekarz usiadł przy stole, coś zanotował i wcale się nie zdziwił, gdy Henry poprosił, żeby mógł wziąć na siebie i załatwić wszystko, co dotyczy doktora Lagutina:

— Proszę przesłać wszystkie rachunki na mój adres.

Zapisałwszy również telefon do biura rzeczy znalezionych, lekarz podszedł do okna i przez chwilę spoglądał na plac, później zaś zbliżył się do Lagutina i powiedział uprzejmie:

— A teraz muszę poprosić pana, aby poszedł pan ze mną, tutaj nie poradzę sobie z tą raną, chyba potrzebne jest szycie. Pojedziemy do kliniki.

— Do której kliniki? — spytał Henry.

— Do Świętej Anny — odparł lekarz. — Zosta-

nie pan powiadomiony, a teraz proponuję, żebyśmy już poszli.

Henry odprowadził ich do drzwi wejściowych, gdzie podziękował lekarzowi, Fiodorowi zaś obiecał, że nie zostawi go samego, a później stał przed wyszczerbioną dziurą w szklanych drzwiach, przyglądając się, jak obaj mężczyźni odchodzą we wczesnym zmroku w stronę taksówki, której lekarz kazał poczekać. Zdawało się, iż Fiodor Lagutin wie lub ma nadzieję, że Henry śledzi go wzrokiem, zanim bowiem wszedł do samochodu, skinął mu jeszcze raz ręką.

Znalazłszy się z powrotem w swoim pokoju, Henry zadzwonił do Barbary:

— Wiesz, co stało się Fiodorowi?

— Co się dzieje, Henry, gdzie jesteś?

— Okrążyli go, a potem gonili.

— Kto?

— No, ci na motocyklach.

— Wrócili znowu?

— Mają tu swój rejon. Fiodor postanowił mnie odwiedzić, mieliśmy zamiar uczcić pewną okazję, ale dogonili go i zatrzymali, więc wybił szybę w drzwiach wejściowych, i wtedy to się stało: zranił się w rękę.

— O, mój Boże — powiedziała Barbara i szybko spytała: — Przyjechała policja?

— Był tu lekarz pierwszego kontaktu, wezwałem go.

— Czy Fiodor jest jeszcze u ciebie?

— Trzeba chyba szyć ranę, lekarz zabrał go ze sobą do kliniki.

— Do której kliniki?

— Do Świętej Anny.

Po oddechu Barbary Henry poznał, jak bardzo jest wzburzona i zatroskana; spytała jeszcze raz, czy wezwał policję, a następnie zażądała potwierdzenia, że klinika Świętej Anny znajduje się istotnie na Nachtigallstrasse. Przeczynał, co Barbara zamierza zrobić, aby więc powstrzymać ją od natychmiastowej wizyty w klinice, zaproponował, że może razem odwiedzą Fiodora, później, teraz powinni poczekać na wiadomość od lekarza, który obiecał do niego zadzwonić. Barbara zgodziła się na to, dała tylko Henry'emu do zrozumienia, że chciałaby się szybko dowiedzieć, jak wszystko przebiegło w klinice.

Henry poszedł do kuchni, przyniósł sobie zimną herbatę, usiadł przy stole i zapalił papierosa. Przypomniał mu się wyraz twarzy Fiodora, gdy ten wcześniej spytał: „Co oni mają przeciw mnie?” — to zdumienie, to nadaremne wypytywanie. I pomyślał: „Dobrze zrobiłem, że nie powtórzyłem mu słowa, które wykrzykiwał jeden z tych szpanerów, prawdopodobnie Fiodor nie od razu by zrozumiał, co ono w tej chwili oznaczało, a może jednak odczułby je jako obraźliwe. Blizna na pewno mu pozostanie, blizna na ramieniu, a kiedy w domu zapytają o jej pochodzenie, powie coś, czego jego najbliżsi nie rozumieją”. I Henry dodał w myślach: „On też jest w to zamieszany, brat Pauli, ma na imię Hubert, trudno go rozpoznać na grupowej fotografii, nosi skórzany kombinezon jak pozostali, również pastor nosi skórzany kombinezon”.

Henry wstał, podszedł do okna i patrzył na zapa-

lające się na skraju placu latarnie, nie równocześnie, tylko jedna za drugą, jakby przekazywały swoje światło dalej, które nie od razu płonęło spokojną, pełną i stałą jasnością w zapadającym zmierzchu, lecz najpierw drżało lekko i migotało, by dopiero po jakimś czasie osiągnąć ostateczną moc.

Plac był pusty, po świetlistym torze wiatr gnał płachtę białego papieru, może jakiś plakat, aż cisnął ją w mrok. Henry nie mógł się zorientować, co też takiego porusza się w oddali przy sztucznych stawach; po raz któryś postanowił kupić sobie lornetkę. Później jednak rozpoznał parę ludzi, idących od przystanku autobusowego w górę ulicy; trzymając się pod rękę, zmierzali od skraju placu w stronę naprzeciwległego wieżowca; Henry był pewien, że to starsi ludzie, sprawiali bowiem wrażenie wyczerpanych, a ich ruchy były bardzo mozolne; nie uszło również jego uwadze, że jedna postać popycha drugą do przodu, aż wreszcie obie zanurzyły się po drugiej stronie w oświetlonym wejściu do budynku. Jakże szybko otworzyli drzwi, jak szybko wśliznęli się do korytarza i przystanęli tam na chwilę, chcąc przypuszczalnie zaczerpnąć tchu albo z uczuciem ulgi popatrzeć na siebie wzajem.

Henry wrócił do stołu, wypił ostatni łyk herbaty i podszedł do garderoby; na jednym z trzech wieszaków z kutego żelaza wisiał jego trencz. Włożył go, ale nie zapiął guzików. Z łazienki wziął jeden z kijów hokejowych, które wylicytowała dla niego Barbara, zważył go w dłoni, zakołysał nim i z powrotem odstawił. Porozmawiać, pomyślał, chciałbym z nimi porozmawiać, sam, szczerze i spokoj-

nie. Znalazłszy się na dworze, po chwili niezdecydowania ruszył w kierunku opuszczonego placu zabaw dla dzieci. Okrążył huśtawkę, ślizgawkę i piaskownicę, gdzie jasno połyskiwała zapomniana foremka do piasku. Na chwilę oparł się o wyrzeźbionego z drewna kozła, któremu bawiące się dzieci zawiązywały czasem szal albo wkładały czapkę. Chciał zapalić papierosa, kiedy jednak zobaczył podrygujące przy sztucznych stawach światełko, schował z powrotem papierosa i zaczął obserwować smużkę światła, wysyłanego najwyraźniej przez lartarkę kieszonkową. Nie było słyhać szmeru silników. Henry spokojnie poszedł w stronę stawów, przyciągany promieniem światła, chwiejącym się nad wodą i szybko przesuającym się po koronach młodych lip, jeszcze zabezpieczonych podtrzymującą je linką.

Nagle usłyszał szorstki kobiecy głos, który spytał:

— Gdzie, musisz to przecież pamiętać; gdzie?

A jakiś zbity z tropu męski głos odpowiedział jej:

— Może tam, na ławce?

Promień światła zachybotał nad drogą, w krzakach i dotarł do ławki, obok której stał drucziany kosz na śmieci. Jąkając się, mężczyzna przypomniał sobie, że najpierw spotkał się z Erwinem, że usiedli na ławce i rozmawiali, a wtedy miał jeszcze kupon toto-lotka ze sobą.

— Ale gdzie? — dopytywała się kobieta — gdzie go miałeś?

Mężczyzna był pewien, że włożył kupon do czasopisma. Wypełniwszy go, kupił jeszcze czasopis-

mo, po czym włożył kupon między strony, zdjęcie na okładce ukazywało lotniskowiec przepływający przez Kanał Sueski.

— Tu go w każdym razie nie ma — powiedziała kobieta i dodała z wyrzutem: — Jak można zgubić kupon? Ale ty właśnie taki jesteś, tobie niczego nie można powierzyć, nie zapominaj, że zgubiłeś również zegarek kieszonkowy mojego ojca; nikt nie gubi zegarków kieszonkowych, tylko ty.

Promień światła wpadł do drucianego kosza na śmieci i Henry ujrzał niewyraźnie, jak kobieta pochyla się głęboko i grzebie w odpadkach, sapiąc przy tym i posyrując.

Henry pozostawił tę dwójkę ich kłótni, ich beznadziejnym, jak sądził, poszukiwaniom, odwrócił się i noga za nogą powlókł się przez plac; od czasu do czasu przystawał, jakby ofiarowując siebie tym, których oczekiwał, ale się nie pojawili. Kilkakrotnie przemierzył betonowy plac, nastawiał ucha w stronę, z której spodziewał się ich usłyszeć, ale z asfaltowej drogi dochodził tylko szum opon samochodowych i głuchy trzask markiz balkonowych, targanych wiatrem na wyższych piętrach. Nie nadjeżdżali. Spojrzał w kierunku okien swojego mieszkania, w którym zostawił zapalone światło, podążył na brzeg placu i szedł ciągle jego skrajem do domu. Zdawało się, że dziura w szklanych drzwiach się powiększyła, przynajmniej Henry miał takie wrażenie, kilka wyszczerbionych odłamków szkła leżało na ziemi, podniósł więc jeden z nich i zabrał do swojego pokoju. Pod światłem lampy stołowej obracał odłamek w palcach, aż wreszcie położył go na

bloku do pisania, przekonany, że to właśnie ten odprysk zranił Fiodora, kiedy w rozpaczy usiłował złapać za klamkę od wewnętrznej strony drzwi. „Niech tu leży”, pomyślał Henry, „zachowam go sobie”.

Wydawało się, że Bussmann wie, dlaczego wzywają go do telefonu; wdychając, podał Henry’emu płaską metalową miskę ze znalezionymi sztucznymi szczękami i nadmienił, że prawie nikt nie składa wniosku o odszukanie tych zgub; następnie z opuszczonymi ramionami podążył za Paulą. Henry przyglądał się protezom i mimo woli wyobrażał sobie, czego to one już nie rozgryzały, czego nie żuły; wydawało mu się nawet, że słyszy ciche odgłosy myślenia, a w pewnym momencie sam poczuł, jakby dostał gwałtownego ataku kaszlu, wyrzucającego protezę z ust. Kichnięcie, powiedział kiedyś Bussmann, niekiedy wystarcza bardzo silne kichnięcie, żeby zgubić protezę, żeby tak niespodziewanie wyrzucić ją z ust, iż właściciel nie ma szansy złapać jej w porę. Henry postawił miskę na półce i przyznał się przed sobą do tego, że on by się chyba też nie przemógł, aby złożyć wniosek o wszczęcie poszukiwań zgubionej protezy — gdyby kiedykolwiek jakiegś używał i gdyby mu zginęła.

Albert Bussmann był wzburzony, zmartwiony, idąc za Paulą, zdejmował już fartuch, i zanim jeszcze Henry zdążył go spytać, co się stało, powiedział:

— Muszę wyjść, muszę go poszukać, chyba znów zabłądził.

— Kto? — zapytał Henry, na co Bussmann odparł:

— Mój ojciec.

Henry spojrzął szybko na zegarek, stwierdził, że czas pracy za chwilę dobiegnie końca, zamknął więc szafę z przedmiotami wartościowymi i odniósł klucze Pauli:

— Proszę, przechowaj je, muszę iść z Albertem.

— Co mu się stało?

— Musi odnaleźć swojego ojca, zamartwia się o niego.

— Znowu — powiedziała Paula, dając do zrozumienia, jak bardzo jej żal Alberta Bussmanna, którego niepokój nie uszedł również jej uwadze.

Bussmanna najwyraźniej nie zdziwiło, że Henry kroczy obok niego; jakby się wcześniej umówili, przeszli razem przez halę dworcową, zajrzeli do poczekalni — niezbyt starannie, raczej dość powierzchownie przeszukali to ponure, zadymione pomieszczenie — i wyszli na plac dworcowy. Tutaj Bussmann powiedział:

— Mój ojciec ma już prawie dziewięćdziesiąt lat, a ciągle jeszcze robi dla nas zakupy, tyle że czasem zdarza mu się nie trafić do domu, nasza sąsiadka informuje mnie zawsze, gdy staruszek zbyt długo nie wraca.

— Może do tej pory już się odnalazł — wyraził przypuszczenie Henry.

Bussmann potrząsnął przecząco głową i rzekł:

— Nie, nie, dzisiaj wyszedł bardzo wcześnie rano, a gdy nie wraca tak długo, zaczyna to budzić niepokój.

Nie ziściła się nadzieja Bussmanna, że znajdzie ojca w stołówce kolejarskiej, także starzy znajomi, których tutaj spotkał i zagadnął o ojca, nie umieli mu pomóc.

— Wilhelm? — spytał któryś — dawno go tu już nie widziałem.

A pewien maszynista o zaczerwienionych oczach zdziwił się:

— Wilhelm, to on jeszcze żyje?

Kierując się intuicją Bussmanna, przeszli się po rynku warzywnym, którego stragany i budy były rozstawione pod przejściem kolejowym; a ponieważ rynek już się zwijał, sprzedawcy wabili klientów tanimi ofertami i gratis dokładali do zakupów kalafiora, ogórki i pęczki włoszczyzny. Jakiś sprzedawca rzucał przechodniom jabłka, a wesoła rozłożysta kobieta zachęcała do spróbowania prażonych kasztanów. Henry dowiedział się, że właśnie ten rynek jest ulubionym celem wypraw ojca Bussmanna i że po wyczerpujących zakupach odpoczywa on niekiedy w jednej z małych, pobliskich knajpek. Zajrzeli więc do wszystkich, ale nie znaleźli w nich poszukiwanego — nie tam, gdzie handlarze pozwalali sobie na piwo i kieliszek wódki.

Na końcu rynku, obok straganu z kwiatami, otoczony kilkorgiem dzieci, grał na katarynce jakiś mężczyzna; na jego widok Bussmann przystanął, schwycił Henry'ego za ramię i powiedział:

— To niemożliwe — a po chwili: — Ty się tylko przypatrz.

W tym chudziutkim starcu, który, kręcąc spokoj-

nie korbką, grał piosenkę *Rozamunda*, Bussmann rozpoznał swojego ojca. Nie zważając na Henry'ego, pośpieszył w jego kierunku, złapał za korbę i przerwał piosenkę, a spostrzegłszy, że starzec patrzy na niego z zakłopotanym uśmiechem, spytał — nie strofując go surowo, lecz raczej z łagodnym wyrzutem:

— Co ty tu robisz, Wilhelmie, wszędzie cię szukamy.

Staruszek wskazał na leżące obok katarynki dwie siatki pełne zakupów i wcale nie czuł się winny, wyjaśnił bowiem, że właśnie wybierał się do domu, gdy właściciel katarynki, który musiał skorzystać z toalety, poprosił o zastąpienie go przy korbce.

— Chciałem mu tylko wyświadczyć grzeczność, Albercie.

— Już dobrze — powiedział Bussmann — już dobrze, ojczy, powinieneś jednak pamiętać o tym, co mi przyrzekłeś.

Chociaż starzec został delikatnie upomniany, wcale nie zamierzał jeszcze wracać do domu; wskazując bowiem na drewnianą miskę z monetami, powiedział, że musi poczekać na powrót kataryniarza, co nieco już się uzbierało, wprawdzie niewiele, ale wystarczy na kilka kufli piwa. Czekali więc na kataryniarza, a starzec nie pozwolił powstrzymać się od zaśpiewania jeszcze innych piosenek: *Oczu czarnych* i *Tam, gdzie Morze Północne unosi fale swe...* Gdy tylko do miski wpadała jakaś moneta, ojciec Bussmanna dziękował skinieniem głowy. W pewnym momencie pozwolił małemu chłopcu pokręcić korbką, za co nagrodił go drobną monetą. Podzię-

kowanie czarnobrodego kataryniarza sprowadziło się do silnego uścisku dłoni.

Mówiąc: „No, Wilhelmie, na nas już pora”, Bussmann objął staruszkę ramieniem, Henry zaś ujrzał ze zdumieniem, jak ojciec przystaje na tę opiekuńczość. Z pewnością byłby zapomniawszy o siatkach z zakupami, gdyż jego mina wyrażała teraz zadowolenie i miłe zmieszanie, ale Bussmann przypomniał sobie o nich, dał znak Henry’emu i szepnął:

— Weź je.

Henry niósł siatki i podążał za obydwojma mężczyznami, wzruszony widokiem tej pary, która szła powoli, trzymając się za ręce. Wyszli już z rynku i przystanęli na czerwonym świetle, gdy starcowi przyszło nagle na myśl, że o czymś zapomniawszy; oczywiście chciał natychmiast zawrócić, ale Bussmann go uspokoił:

— Patrz, ojczu, tam idzie pan Neff i niesie twoje zakupy do domu.

— Kto to jest? — zapytał starzec nieufnie.

— Mój kolega z pracy — odparł Bussmann, na co starzec:

— A więc kolejarz, no to w porządku.

Dom, w którym mieszkali panowie Bussmannowie, domagał się pomalowania; w tym dwupiętrowym, mgliście szarym budynku znajdował się lokal, oferujący wieprzowinę w galarecie i pieczone ziemniaki, co można było przeczytać na karcie wywieszanej w witrynie; kiedy ją mijali, odsunęła się firanka i czyjaś ręka zastukała w szybę, przyzywając ich skinieniem. Starzec, do którego to skinienie było skierowane, zatrzymał się, zachwiał, popatrzył na

syna, jakby chciał poprosić o pozwolenie, ale podporządkował mu się, gdy ten spokojnie pociągnął go za sobą. Bussmann powiedział tylko:

— Nie dzisiaj, **Wilhelmie**, dzisiaj niech oni sami się pobawią.

Na pierwszym podejściu schodów musieli przystanąć, bo starzec z trudem łapał powietrze i trzymał się poręczy; ledwo jednak znaleźli się w mieszkaniu, przezwyciężył słabość i zaczął się dopytywać, co jest do zjedzenia. A więc zupa gulaszowa, od wczoraj, trzeba ją tylko podgrzać, Bussmann uznał też za oczywiste, że Henry zje razem z nimi, i poszedł do kuchni.

Jakże otwarcie i z jaką wytrwałością starzec obserwował Henry'ego, gdy siedzieli naprzeciw siebie przy stole; najwyraźniej chciał najpierw wy badać, czy uda się wciągnąć go w rozmowę, kiedy jednak Henry zainteresował się fotografią ozdobionej girlandami z kwiatów lokomotywy, którą otaczała grupa ludzi w mundurach — tło stanowił śnieżny krajobraz — starzec nabrał zaufania i uznał, że musi objaśnić sytuację na zdjęciu.

— Tak wyglądała — powiedział — nasza nowa zdobycz, nasza dumna atletka, obsługująca wówczas kolej transsyberyjską, gdzie każda inna ugrzęzłaby w śniegu: ona się jednak przedzierała, zawsze się przedzierała, skonstruował ją Henschel.

— A pan ją prowadził? — spytał Henry.

— Tak, mój chłopcze, jako drugi maszynista; mówiąc między nami: moje zadanie polegało na zaznajamianiu z nią pierwszego maszynisty.

To wspomnienie go ożywiło, wargami raz po raz

chwycił powietrze, w pewnej chwili szybko otarł oczy, a potem zaserwował Henry'emu opowieść o moście nad olbrzymią rzeką Leną, moście, którego fundamenty pod naporem lodu się poluzowały, tak że groził zawaleniem. Przy użyciu hamulca bezpieczeństwa ojcu Bussmanna udało się podobno zatrzymać pociąg zaledwie kilka metrów od przechylającego się już na bok mostu; a kiedy wreszcie wszyscy ochłonęli ze strachu, sześcuset podróżnych witało go uroczyście jako wybawcę.

Albert Bussmann postawił przed nimi talerze, znał już opowieść o tym cudownym ocaleniu, mruknął więc do Henry'ego, a do starca powiedział:

— No, Wilhelmie, znalazłeś sobie wreszcie słuchacza, któremu możesz opowiadać te swoje bujdy?

Starzec zachnął się na tę dobroduszną ironię, po czym odparł lekko skrzeczącym głosem:

— Nie było cię przy tym, Albercie, więc nie możesz wypowiadać się na temat moich przeżyć.

I oczekując wsparcia, zwrócił się do Henry'ego z pytaniem:

— Ale pan mi wierzy, prawda?

— We wszystko — odparł Henry — wierzę panu we wszystko.

Starzec popatrzył na niego z wdzięcznością, a chcąc się zrewanżować za to wsparcie, zwierzył się Henry'emu, że na koniec doprowadził pociąg do celu, przez Krasnojarsk i Chicago.

— Czy to nie była Filadelfia, ojcze? — spytał Albert Bussmann, na co starzec:

— Ależ skąd, Irkuck i Chicago.

Na znak, że nie ma ochoty spierać się o stacje

kolei transsyberyjskiej, zażądał zupy gulaszowej, której syn dolał mu wspaniałomyślnie i którą jadł z rozkoszą, nie szczczędząc Bussmannowi uznania. Ponieważ ręka lekko mu drżała, niedokładnie prowadził łyżkę do ust, więc zupa ściekała niekiedy na klapy marynarki, na spodnie, ale Albert Bussmann go nie ganił — jak już nieraz, wyczyści plamy po skończonym posiłku. Do zupy jedli chleb i Henry widział, że Albert Bussmann kraje kromki, starannie oddziela od nich skórkę — twardą ciemnobrązową skórkę — i podsuwa miękki mięsz staremu ojcu, który, nie spoglądając w górę, sięgał po niego, przy czym jego ręka dotykała ręki syna i przez chwilę na niej spoczywała.

Po obiedzie starzec zapytał, czy nie znalazłoby się coś na przekzepienie, dzisiaj wzięła go chęćka, Albert Bussmann zaś poklepał go po ramieniu i przyniósł z kuchni napoczętą butelkę wódki. Obaj przepili do Henry'ego. Bussmann nie chciał po raz wtóry napełnić kieliszków, nawet wtedy, gdy zauważył, że jego ojciec trzyma przy ustach puste szkło w nadziei, iż skapnie zeń jeszcze ostatnia kropla.

— No dobrze — powiedział starzec — ostatnia stacja, proszę wysiadać.

Rozpogodzony, zwrócił się do Henry'ego, chcąc się upewnić, czy aby na pewno nazywa się Neff i czy rzeczywiście jest syna kolegą z pracy, a kiedy Henry przytaknął, starzec uznał, że każdemu, kto pracuje z Hannesem Harmsem można tylko pogratulować.

— Zacny człowiek z tego Hannesa Harmsa — powiedział — wytworny jegomość, szkoda go do

waszego biura rzeczy znalezionych; gdyby nie to nieszczęście parę lat temu, byłby dzisiaj z pewnością na wyższym stanowisku.

— Jakie nieszczęście? — spytał Henry.

Zamiast starca, który tylko przecząco machnął ręką, odpowiedział mu Albert Bussmann; wspominał zwięźle, że Harms był kiedyś maszynistą, ostatnio na trasie Kilonia — Lindau, że zbyt szybko przejechał przez miejsce, gdzie trwała budowa — szyldy, tablice ostrzegawcze były źle oświetlone — tak że dwa czy trzy wagony się wykoleiły i było kilku rannych. Hannes Harms wziął za to odpowiedzialność na siebie, chociaż to nie on prowadził lokomotywę, tylko inny mężczyzna, jego młody uczeń.

— Widzisz — powiedział starzec do Henry'ego — tak to się czasem dzieje, ale teraz Harms odnalazł swój plac zabaw i pomaga paniom w podeszłym wieku szukać torebek, które zostawiły w pociągu; przywoity człowiek, ciesz się, że u niego pracujesz.

— Lubię pracować w biurze rzeczy znalezionych — powiedział Henry — człowiek ciągle zdobywa doświadczenie i nie przestaje się dziwić.

— Wiele się już nauczyłeś — powiedział Albert Bussmann, a po chwili dodał, pochlebiając Henry'emu:

— Kto wie, może kiedyś zostaniesz naszym szefem.

Rozległ się dzwonek do drzwi mieszkania, Albert Bussmann poszedł otworzyć, ale tylko je uchylił, wprowadzie dość szeroko, żeby Henry mógł dojrzeć kobietę, która, stojąc na czubkach palców, zaglądała do pokoju. To, co zobaczyła, najwyraźniej jej wy-

starczyło, nie chciała bowiem wejść do środka — niska ciemnowłosa kobieta w roboczym fartuchu. Niewiele można było zrozumieć z szeptaniny obojga. Jednakże Henry usłyszał, że Albert Bussmann za coś jej dziękuje, a ona poleca swoje usługi na przyszłość; że będzie czegoś pilnowała — nie powiedzieli jednak, czego ma to dotyczyć. Z uczuciem ulgi kobieta zniknęła za uchylonymi drzwiami swojego mieszkania.

— Czy to była Papenfuss? — spytał starzec.

— Tak — odrzekł Albert Bussmann i zwrócił się do Henry'ego: — Nasza sąsiadka.

Rozweselony starzec zaśmiał się i powtórzył:

— Sąsiadka, sąsiadka.

A potem, mruczając pod nosem, zaczął się rozwodzić nad tym sąsiedztwem:

— Ciągłe przychodzi, żeby coś pożyczyć, to trochę mąki, to soli albo margaryny, mógłby mi pan pożyczyć jajko, pyta, a kiedy jej pożyczam, często zapomina je zabrać. Chciałbym wiedzieć, co roi się w głowie tej naszej sąsiadki.

— Tym razem nie chciała niczego pożyczyć — wyjaśnił Albert Bussmann — pytała tylko, czy będziemy jutro w domu, bo chciałyby przynieść nam kawałek ciasta własnej roboty.

— Zapomni — powiedział starzec — do jutra dawno o tym zapomni.

Albert Bussmann sceptycznie spojrział na ojca i delikatnie zwrócił mu uwagę na to, że jest niesprawiedliwy i chyba już nie pamięta, jak uczynna była pani Papenfuss przez te wszystkie lata, ile się nabiegała, ile sprawunków załatwiła, trzeba jej to zapisać

na plus. Twarz starca przybrała nieobecny wyraz, przez chwilę siedział nieruchomo z wzrokiem utkwionym w ozdobioną girlandami lokomotywę, po czym zaczął poruszać się na krześle i zacierać ręce.

— Znów ci zimno? — spytał Albert Bussmann.

Stary przytaknął skinieniem i żeby wyjaśnić nagłe uczucie chłodu, wskazał bez słów na drzwi, które, jak podejrzewał, były zbyt długo otwarte.

— Zaraz, Wilhelmie — powiedział Albert Bussmann — zaraz będzie cieplej, przyniosę ci pled.

Owijając ojca pledem — ze starannością, która mimo woli wzruszyła Henry'ego — przemawiał do niego cicho, obiecując szybką poprawę samopoczucia, kieliszeczek na noc, a starzec tymczasem wpatrywał się bez przerwy w Henry'ego, dokładnie tak, jakby chciał zwrócić mu uwagę na to, jakiej zaznaje opieki. Naraz jednak zmrużył mocno oczy i spytał Henry'ego:

— Nie byłeś ty czasem na transsyberyjskiej, to znaczy, czy ja cię tam nie widziałem?

— Ja? O, nie — odparł Henry — nigdy jeszcze nie jechałem tym słynnym pociągiem.

— A powinieneś — powiedział starzec — kto odbędzie podróż koleją transsyberyjską, temu świat nie ma już nic do powiedzenia, ten wie wszystko.

— Postaram się — obiecał Henry, ale nie dodał już ani słowa, zauważył bowiem, że starzec poczuł znużenie, zapadł się na krześle i niekontrolowanym ruchem strącił ze stołu paczkę papierosów. Henry wstał i obiecał na pożegnanie, że nie straci z oczu kolei transsyberyjskiej; Albert Bussmann odprowadził go na dół do drzwi wejściowych. Obaj znaleźli

powód, by sobie wzajemnie podziękować. Zanim się rozstali, Henry spytał:

— Czy twój ojciec rzeczywiście nigdy nie był na kolei transsyberyjskiej?

— On nie, ale jego przyjaciel — powiedział Albert Bussmann — jego najlepszy przyjaciel; od kiedy nie żyje, mój ojciec myśli czasem, że sam jeździł transsyberyjską, po prostu przejął i przywłaszczył sobie to, o czym nasłuchiwał się przez wiele wieczorów.

A ponieważ Henry tylko popatrzył na niego z niedowierzaniem, Albert Bussmann dodał:

— No, Henry, chyba trafisz stąd do domu, prawda?

Recepcjonistka Adlera знаła już Henry'ego z nazwiska. Powiedziała:

— Dzień dobry, panie Neff — po czym potwierdziła: — Tak, panie Neff, doktor Lagutin jest w swoim pokoju, ale właśnie ma gościa.

— Gościa?

— Jest u niego pewna pani; była tu już kiedyś.

Henry zawahał się przez chwilę, potem jednak poprosił dziewczynę, aby przekazała doktorowi Lagutinowi, że jest tutaj i czeka na niego na dole, gdyż chciałby mu coś zaproponować. Jak bardzo zmienił się głos recepcjonistki, kiedy przekazywała informację od Henry'ego, zabrzmiał naraz melodyjnie, niczym senny śpiew, i jak bardzo ponownie się zmienił, gdy znów zwróciła się do Henry'ego:

— Pan doktor Lagutin prosi, aby wszedł pan na górę.

Henry wspiął się po krętych schodach, jedną ręką trzymając się liny stanowiącej poręcz, w drugiej zaś dzierżąc tekturowy talerzyk z ciastkami — cztery ciastka z migdałami i miodem, które wcześniej kupił w cukierni. Nie musiał pukać, gdyż jak na elektryczny sygnał drzwi się przed nim otworzyły i Fiodor go uściskał.

— Wejdz, przyjacielu, wejdz; nikt nie jest tu milej widziany od ciebie.

Henry ostrzegł go:

— Ostrożnie, ciastka.

Po czym uniósł talerzyk ponad ramiona Fiodora i wszedł do pokoju.

Siedziała tam Barbara. Siedziała przystole, paląc papierosa, wesoło pozdrowiła Henry'ego skinieniem i wskazała na koszyk z owocami:

— Fiodor potrzebuje witamin.

— I ciastek — dodał Henry, stawiając papierowy talerzyk obok kosza z owocami.

Barbara już wiedziała to, czego chciał się dowiedzieć jej brat; jeszcze zanim Henry zdążył o cokolwiek zapytać, opowiedziała, że rana, jak się wyraziła, nie przysparza problemów, że właściwie już nie trzeba zakładać nowego opatrunku i że żadne ściętno nie jest na tyle uszkodzone, aby Fiodor musiał zrezygnować z gry na flecie. Fiodor Lagutin zdemonstrował kilka chwytów i zadęć, pochwalił lekarza pierwszego kontaktu oraz lekarstwa, jakie dostał, nie omieszkał też wspomnieć o maści, którą jego babka zrobiła według starej tatarskiej receptury i którą wcześniej opatrzył również ranę Henry'ego. Powiedział:

— Wierzymy w moc leczniczą, jaką obdarza nas nasz ptak stepowy.

W dobrym humorze wyjął jabłko z koszyka i zaczął je obierać tak starannie, że łupinka jęła się zwijać w pierścienie, a obierając, zwrócił Henry'emu uwagę na leżący na stole list; był to list od rodziny Fiodora. Martwią się o niego w domu. Napisał im, co mu się przytrafiło: że obcy ludzie, których nigdy wcześniej nie widział, nie zaczepił ani nie sprowokował, okrążyli go motocyklami i, przejeżdżając obok niego, pobili i zmusili do ucieczki. Napisał im też, że szukając schronienia u przyjaciela, zranił się, i pozostaje dla niego zagadką, czemu ci motocykliści go napadli, mimo iż nawet nie spojrzeli na nich z dezaprobatą czy wręcz wrogo.

— Tak — powiedział Fiodor — musiałem to opisać mojej rodzinie, i dobrze rozumiem ich troskę, zwłaszcza że musiałem im także wyjaśnić, iż ten napad ciągle wydaje mi się zagadkowy i jeszcze długo będzie mi się taki wydawał.

Fiodor zrobił pauzę, popatrzył na łupinkę jabłka i ciągnął dalej:

— Moja rodzina pragnie, żebym wrócił do domu; dali mi to do zrozumienia, chcieliby jednak, aby ostateczna decyzja należała do mnie.

— Nie powinienes tego robić — powiedział Henry — nie powinienes wracać do domu, pomyśl tylko, jaką pracę ci tu powierzono, jak bardzo ceni się tutaj twoje osiągnięcia.

— Wiem, Henry, wiem, i na zawsze będę za to wdzięczny kolegom z politechniki, bardzo często

odnoszę wrażenie, że łączą nas cudowna wspólnota, wspólnota poszukiwaczy prawdy, którzy pragną znaleźć wspólną drogę, ale sam widziałeś, co w tamtą niedzielę zdarzyło się pod twoim oknem; widziałem oczy tych, którzy mnie tam zaatakowali, z bliska patrzyłem im w oczy, Henry, i zobaczyłem w nich nienawiść. Dlaczego? Dlaczego? Powiedziałeś mi, że — ich zdaniem — naruszyłem pewnie ich rejon, powiedziałeś, że kieruje nimi potrzeba panowania, więc muszą uciekać się do przemocy, aby zorientować się, jak dalece sięga ich władza; co jest jednak powodem takiej nienawiści?

Fiodor rozkroił jabłko i, nadziewając je na ostrze noża, poczęstował najpierw Barbarę, a następnie podał jedną łydeczkę Henry'emu, po czym powtórzył:

— Co jest powodem?

— Kiedyś zagrozili również Henry'emu — powiedziała Barbara — otoczyli go i grozili mu, chciałam wtedy, żeby zadzwonił na policję, ale on nie mógł się na to zdecydować — a zwracając się do Henry'ego, ciągnęła: — Czy nie tak było? Nie chciałeś wezwać policji.

— Wtedy jeszcze nie dość dużo wiedziałem — odparł Henry — może to mój błąd, mimo wszystko jednak pragnę najpierw zrozumieć, dowiedzieć się, dlaczego coś takiego się dzieje i jacy to ludzie organizują się w bandy, a potem znajdują przyjemność w tym, że dają innym poczuć swoją wyższość i szerzą strach.

— No i co — spytała Barbara — czy teraz wiesz już o nich wystarczająco dużo?

— Z pewnością jeszcze nie dość dużo — powiedział Henry — ale wiele już zrozumiałem: oni uważają się za pokrzywdzonych. Nie mówiąc o tym, czują się przegrany, niewinni, przegrany ludźmi. Chcą po prostu odebrać to, co, jak sądzą, zostało im zabrane lub nieprzyznane. I organizują się w bandy, bo w bandzie zostajesz zauważony i reprezentujesz sobą coś, czego nie jesteś w stanie reprezentować jako jednostka.

— Zgoda — powiedziała Barbara — czy trzeba więc pogodzić się z nimi, okazać im zrozumienie, którego oni dla nas nie mają, a może nawet trzeba pogodzić się z przemocą?

— Nieraz przemoc wynika z zaślepienia — wyjaśniał Henry — a kiedy to zrozumiesz, powinnaś może spróbować jakoś przeciwdziałać temu zaślepieniu, na przykład zacząć rozmawiać. Musimy z nimi porozmawiać.

— Ach, Henry, przestań, wiesz dobrze, że oni mówią innym językiem, swoim językiem. Co jednak pozostaje, skoro ludzie nie potrafią się już porozumieć słowami, co?

Henry długo patrzył na siostrę, a potem skinął głową i powiedział:

— Obrona, Barbaro, jeśli nic więcej nie pomaga, pozostaje tylko obrona, przecież sama dobrze o tym wiesz, prawda?

Oboje zauważyli ze zdumieniem, że Lagutin się uśmiecha; było to uśmiech rezygnacji, ale Fiodor wcale nie przejawiał ochoty do wyjaśnienia im powodu tego uśmiechu, kiedy jednak Henry wprost go o to zapytał, odrzekł:

— Wiecie, czasem nasze rozmowy wyczerpują się w wymianie wyznań wiary, a widać to szczególnie wtedy, gdy siedzimy i jesteśmy bezradni.

— Tak jest — poparła go Barbara — i dlatego jestem za tym, żebyśmy wreszcie stąd wyszli, mam tylko nadzieję, że mają jeszcze otwarte.

— Kto?

— To niespodzianka, poczekaj cierpliwie.

— Ale dokąd — spytał Henry — dokąd mamy iść?

— To mój pomysł — powiedziała Barbara — wpadłam na niego przez przypadek; najpierw chciałam iść tam sama z Fiodorem, ale skoro już jesteś, to możesz nam towarzyszyć.

— Nie uchyłisz rąbka tajemnicy?

— No więc — powiedziała Barbara — może będzie to podróż do domu, krótka, skromna podróż do domu, i niech ci to wystarczy.

Również Fiodor nie znał planów Barbary; wprowadzie gdy byli sami, zaproponowała mu złożenie „ciekawej wizyty”, ale nie wspomniała, komu mają tę wizytę złożyć. Barbara bawiła się kluczykami, pognąła do wyjścia, bojąc się, że dotrą tam za późno, toteż napomniała ich jeszcze przy drzwiach:

— No, chodźcie wreszcie.

Zaparkowała samochód w bocznej ulicy; również podczas jazdy nie zdradziła celu wyprawy, tylko sprawnie przejechała obok dworca, na którym, jak co niedziela, pod niebiesko-białą flagą zgromadzili się kibice piłki nożnej, by zawczasu ćwiczyć się w skandowaniu okrzyków; następnie pojechała wytworną ulicą w dół, zmierzając wprost ku owalnej budowli z kopułą i dużymi oknami.

Lekko podniesionym tonem, jakby chciał zadać pytanie, w którym miało się słyszeć zaskoczenie, Henry spytał:

— Muzeum? Muzeum Etnograficzne?

Milcząc, weszli obok siebie po szerokich schodach. Barbara kupiła bilety — trzy razy dla dorosłych — i skierowała kroki ku umundurowanemu jednorękiemu strażnikowi, który po uprzejmie udzielonych wyjaśnieniach skłonił się lekko. Musieli udać się na wyższe piętro. Raz po raz ich wzrok wędrował ku egzotycznym ekspozycjom: afrykańskie kobiety od wieków ubijające jęczmień, rybacy z Ghany łatający sieć, której nigdy nie zanurzą w wodzie. Mimowolnie zatrzymali się przed jednym z działów: półnaczy Pigmeje siedzieli w kręgu i nawlekali na sznur małe okruchy czegoś bliżej nieokreślonego; Barbara wiedziała, że wykonują naszyjniki, wiedziała też, że są to okruchy strusiego jaja, które specjalnie rozbili. Powiedziała:

— Wszystko jest napisane na tej małej tabliczce, możecie sobie przeczytać.

W sąsiedztwie kirgiskiej ekspozycji — rodziny wykrawającej skórę na buty — zobaczyli otwarty namiot, a przed nim figurki dwojga dzieci i starca; siedział na drewnianej beczce pośród kilku uli i palił fajkę z ozdobnym cybuchem, chłopiec trzymał na smyczy owczarka, natomiast mała wystrojona dziewczynka przycupnęła przed wejściem do namiotu i grała na flecie. Jakaś kobieta myła gliniane naczynia. Barbara zaledwie musnęła tę ekspozycję przelotnym spojrzeniem, uroczysta grupa postaci interesowała ją mniej niż Fiodor, na którego twa-

rzy z początku nie widać było poruszenia, ale po chwili pojawił się jednak na niej wyraz lekkiego zdumienia, jak wtedy, gdy człowiek rozpoznaje coś niepewnie lub z niedowierzaniem. Barbara obserwowała Fiodora, jak podchodzi do tabliczki, czyta — Baszkirowie przed świątecznym namiotem — i nagle przeskakuje przez barierkę z liny, poszturchuje figurę starca i lekko opukuje ule, a następnie pochyła się do chłopca i wyjmuje mu z ręki smycz:

— U nas żaden owczarek nie chodzi na smyczy — powiedział do Henry’ego i, jakby musiał przeprowadzić dalsze badania lub dokonać jakiejś poprawki, pochylił się ku figurze siedzącej dziewczynki i ostrożnie wyjął jej z rąk flet. A kiedy przyłożył go do ust, Barbara natychmiast poprosiła:

— Zagraj coś, Fiodorze, proszę, zagraj coś, króciutko.

Zdawało się, że Fiodor jest nawet gotów to zrobić, jednak w tym samym momencie usłyszeli zbliżające się kroki, kroki grupy ludzi, na których czole maszerował jednoręki strażnik. Fiodor wzruszył ramionami, uśmiechnął się do Barbary i zniknął w namiocie, przypuszczając zapewne, że wycieczka szybko przejdzie obok. Ale się pomylił. Grupa — wyłącznie starsi ludzie, większość ubrana jak urlopowicze — na znak strażnika zatrzymała się na wysokości sielanki baszkirskiej.

— A tutaj widzicie państwo — powiedział strażnik, który zapewne był również kustoszem — tu widzicie państwo wycinek z życia Baszkirów, grupy etnicznej, zamieszkującej przede wszystkim południowy Ural. Pierwotnie Baszkirowie należeli do

państwa Złotej Ordy, później byli lennikami carów rosyjskich; na swą obronę sformowali wojsko uralsko-kozackie. Notabene, w Autonomicznej Republice Baszkirskiej żyją nie tylko Baszkirowie, największą grupę ludności stanowią Rosjanie, a poza tym mieszkają tam Ukraińcy, Czuwasze, Mordwini i wiele innych grup narodowościowych; nietrudno więc sobie wyobrazić, że bez przerwy wybuchały w tamtym rejonie powstania.

Na pytanie pewnego brodatego wycieczkowicza w luźnej wzorzystej koszuli: „Z czego ci ludzie dzisiaj żyją?”, strażnik wskazał na ule i powiedział:

— Dla Baszkirów najważniejsze jest pszczelarstwo, a na swoich czarnoziemach uprawiają pszenicę, w stepie zaś hodują bydło. Dawniej byli wielkimi myśliwymi, do polowań układano tam nawet sępy, ale te czasy już dawno minęły.

Barbara i Henry uważnie przysłuchiwali się tym wyjaśnieniom, cały czas jednak mieli na oku namiot, w którym Fiodor na razie zachowywał się cicho, zdając się również słuchać słów strażnika, który ze znajomością rzeczy udzielał informacji; pytania i niepytany opowiadał, że język baszkirski jest bardzo bliski tatarskiemu, że lasy składają się tam przeważnie z drzew liściastych, że wełniany kaptur, który ma na głowie myjąca naczynia kobieta, jest noszony również na Kaukazie i podobnie jak tam nazywa się baszłykiem.

Pytający — z rodzaju tych, co to można ich spotkać w każdej grupie — obserwował w zamyśleniu postaci przed namiotem, po czym spytał:

— Pewnie ci ludzie tam biedują, prawda? Chyba się w ogóle nie rozwijają, prawda?

Strażnik, przyzwyczajony do wszystkich możliwych pytań, nawet się nie obruszył, lecz cierpliwie, odwołując się na poczekaniu do własnej wiedzy, oświecił pytającego i resztę grupy, że Baszkiria obfituje w bogactwa naturalne, że wydobywa się tam miedź, mangan i uran, i że w końcu rozwinął się w tym kraju również godny uwagi przemysł pozyskujący konieczną energię z ropy i elektrowni wodnych. Strażnik nie oczekiwał dalszych pytań, toteż zwrócił się ku ekspozycji kirgiskiej, zdążył już także powiedzieć: „A tutaj widzicie państwo...”, gdy zgłosiła się jakaś bardzo szczupła siwowłosa kobieta; ma jeszcze jedno pytanie, między innymi z zawodowej ciekawości. Potrafi oczywiście wyobrazić sobie życie w namiocie, także życie ze zwierzętami w letnim stepie, przypuszcza jednak, że dzieci baszkirskie muszą też chodzić do szkoły, jak zatem wygląda sprawa ze szkołami tam, w tej głuszy i przy takich odległościach? Chętnie by się tego dowiedziała. Strażnik uznał pytanie za uprawnione, skinął potakująco głową, a jego wzrok powędrował ku figurce dziewczynki. Patrząc na nią, wyjaśniał:

— Ta mała wie z pewnością nie mniej niż jej tu-tejsi rówieśnicy. W stepie szkoły mieszczą się w drewnianych pawilonach i we wszystkich miejscowościach odbywają się lekcje, jak u nas. Tego jednak, czego ta mała uczy się w namiocie, nie da jej żadna szkoła. A ogromne odległości... mój Boże... można je pokonać, wędrując pieszo albo konno, w

dawnych czasach niektórzy Baszkirowie trzymali po sześćdziesiąt albo i więcej koni, zdarzało się, że dzieci przychodziły na świat na końskich grzbietach, by tak rzec. Wreszcie należy wspomnieć, że Baszkirowie mają tam też swoje uniwersytety, znakomite uniwersytety, jak na przykład uniwersytet w Saratowie.

Henry zbliżył się do siostry i szepnął jej na ucho:

— Ten facet mi się podoba.

Barbara odpowiedziała na to:

— Już kiedyś go słyszałam, raz przyprowadziła mnie tu mama i nie mogłyśmy wyjść z zadziwienia.

Oboje wpatrywali się w namiot, oboje myśleli o Fiodorze, który trwał tam bez ruchu i, jak sądzili, z najwyższą uwagą słuchał słów strażnika, musiał ich słuchać, jako że przecież chodziło o jego ziomek. Naraz podnieśli głowy, a członkowie grupy jęli w osłupieniu popatrywać na siebie wzajem, gdyż z wnętrza namiotu zaczęły dochodzić dźwięki fletu, najpierw niepewne, drżące, czasem wzbijały się jasne, zatrzymywały się na chwilę na wysokościach i szorstko się urywały, wreszcie jednak, po kolejnej przygrywce, odnalazły ciągłość w śmiałej pogodności. Obwieszczały radość, być może radość przebudzenia. Co z nim, pomyślała Barbara, dlaczego on gra, co chce nam powiedzieć? Strażnik przeskoczył przez linę, zatrzymał się przed figurą dziewczynki — najwyraźniej odkrył, że brak jej fletu — wyprostował się i energicznie odsłonił wejście do namiotu. Trzymając flet przy ustach, Fiodor wyszedł na zewnątrz, szybko wydobył jeszcze z instrumentu dźwięk radości — być może radości ptaka stepowe-

go — a następnie z powrotem włożył flet w ręce dziewczynki. To osłupienie. To zdumienie. A potem radość, z jaką grupa przyjęła Fiodora, większość uważała prawdopodobnie jego grę na flecie za wyreżyserowany epizod, wszyscy bili brawo, machali do niego i bili brawo. Fiodor musiał się kłaniać, a robił to w sposób tak wesoły, że brawa się wzmagaly, jakiś głos zaś poprosił o bis. Barbara chciała podejść do Fiodora, żeby okazać mu swoją radość, lecz już podbiegł do niego strażnik, stanął tuż przed nim, uśmiechnął się, ale zaraz przyjął pozę służbisty i zapytał:

— Skąd się pan tu wziął?

— Pozwoliłem sobie obejść w tym miejscu moje urodziny — powiedział zadowolony Fiodor — urodziłem się właśnie w takim namiocie.

Strażnik spojrzał mu badawczo w oczy, mrugnął, odsłonił zęby w uśmiechu, pojawiający się zachwyt szukał odpowiedniego wyrazu, a kiedy strażnik nie miał już wątpliwości, skąd Fiodor pochodzi, rzekł półgłosem:

— Witamy, witamy w naszym muzeum — i zwróciwszy się do całej grupy powiedział: — Panie i panowie, kto ma jeszcze jakieś pytania, może uzyskać odpowiedzi z pierwszej ręki, mamy tu gościa, który pochodzi z tego obcego świata.

Podał Fiodorowi rękę. Pozwolił również zainteresowanej szkolniczką kobiecie zrobić zdjęcie. Kiedy zaś Fiodor potwierdził, że informacje na temat Baszkirów są trafne — „Nie mam tu czego prosić, chyba że mógłbym co nieco dodać” — strażnik na chwilę spuścił głowę. Ośmielony pochwała

zapytał, czy Fiodor ma zamiar pozostać nadal w mieście; a jeśli tak, to bardzo by się cieszył, gdyby jeszcze kiedyś zawitał do muzeum, mogliby pójść razem do kawiarni, tam zawsze można znaleźć ciche kąci, w którym da się porozmawiać. Fiodor nie umówił się na konkretny termin. Powiedział:

— Sprawia pan wrażenie, jakby pan już kiedyś był w Baszkirii.

— Jeszcze nie — odparł strażnik — ale może kiedyś to zrobię, napiję się wtedy kobylego mleka, które jest podobno cudownym napojem.

— To jest cudowny napój — potwierdził Fiodor — wierzymy w to, że kobyle mleko wykształca mięśnie i dodaje skórze blasku, a poza tym sprawia, że człowiek staje się stateczny.

Wziąwszy Fiodora pod rękę, Barbara powiedziała z uśmiechem:

— Oto, Fiodorze, czego mi potrzeba, może moglibyśmy robić razem interesy.

— W takim razie ja będę miksował nowy napój i zajmę się jego dystrybucją — powiedział Henry. — Kobyle mleko z wódką, jakaś nazwa na pewno się znajdzie, na razie ten napój mógłby nazywać się „Bawo”, co byłoby skrótem od baszkirskiej wódki.

— Miewałeś już lepsze pomysły — zauważyła Barbara i zaproponowała, aby rzucili jeszcze okiem na ekspozycję kirgiską, a potem pojechali do domu.

Pożegnali się uściskiem ręki. W milczeniu omiętli wzrokiem sceny z życia w Kirgizji; milczeli też przez cały czas w drodze do auta.

Dopiero gdy już przez dobrą chwilę jechali, Barbara poczuła potrzebę powiedzenia czegoś; mówiła

powoli, jakby rozmawiała sama ze sobą i szukała odpowiedzi na coś, co ją poruszało:

— Nie wiem, Fiodorze, jak czuje się człowiek z dala od domu, w obcym kraju — nagle staje przed dobrze znanym obrazkiem, nagle patrzy na wycinek życia ze stron rodzinnych; to chyba musi być dziwne uczucie, prawda? Wyobrażam sobie, że wtedy inaczej widzi się miejsce swojego pochodzenia, nie wiem, jak, ale myślę, że inaczej — już choćby dlatego, że porównanie nasuwa się samo przez się.

A później zapytała wprost:

— Rozumiesz, co mam na myśli?

Fiodor wziął zapalonego papierosa, którego Henry podał mu z tylnego siedzenia, i odpowiedział:

— Oczywiście, Barbaro, że dobrze cię rozumiem. To, co człowiek widzi, gdy spogląda wstecz ku stronom rodzinnym — gdy spogląda tam z innego świata — prawie zawsze wprawia go w zdumienie; i tak jest z wieloma ludźmi. Jakie to wszystko małe, myśli sobie, jakie mizerne i odległe, a może myśli sobie także: Jak mogło mi to wystarczać? Przez kilka sekund ja też tak pomyślałem na widok namiotu i moich rodaków zajętych swoimi czynnościami, a nawet na widok figurki tej dziewczynki z fletem.

— Ale czy się ucieszyłeś, Fiodorze, ucieszyłeś się? — spytała Barbara.

— Owszem, jednak ten obrazek jeszcze bardziej mnie poruszył i mimo woli poczułem litość. Niejeden ci to potwierdzi, że kiedy patrzysz wstecz ku stronom rodzinnym, ogarnia cię współczucie.

— W twojej grze nie było tego jednak słychać — wtrącił się Henry — ja słyszałem tylko pogodę du-

cha, naprawdę, czasem nawet myślałem, że ktoś tam skacze z radości.

— To stara pieśń — powiedział Fiodor — nosi zresztą tytuł *Dar myśliwego*; myśliwy wraca z polowania i przynosi coś swojej najukochańszej; jego oczekiwanie jest duże, ma nadzieję, że prezent zostanie przyjęty i spełni się jego jedyne pragnienie.

Henry nie podjął tego wątku, stłumił w sobie spostrzeżenie, które miał na końcu języka — chciał powiedzieć, że jeśli chodzi o zająca stepowego, to powinien zostać przyjęty z ochotą; Henry ubolewał raczej, iż po nieoczekiwanej, odebranej z zachwytem grze Fiodora na flecie przegapił szansę zorganizowania spontanicznej zbiórki wśród grupy zwiedzających; był pewien, że coś by się uzbierało. Barbarze nie podobały się jego uwagi; poszukała spojrzenia Henry'ego w lusterku wstecznym, potrząsnęła głową i przyspieszyła, żeby wyprzedzić duńską ciężarówkę-chłodnię.

— Dokąd jedziesz? — spytał Henry.

Barbara odparła:

— Do siebie, będziemy tam sami, mama jest u swoich przyjaciółek na brydżu; zgadzasz się przecież, Fiodorze?

— Przepraszam, że może sprawię wam zawód, ale chciałbym teraz wrócić do hotelu; jestem winien moim krajanom dwa listy: jeden do dziadka, a drugi do mojego profesora, byłego kierownika instytutu, który czeka na wiadomości, nad czym tutaj pracuję.

— Możesz to zrobić? — spytał Henry. — Mam

na myśli to, czy wolno ci tak otwarcie pisać o waszym projekcie badawczym?

— Kto zajmuje się badaniami, kto się temu poświęca, Henry, stwierdza wkrótce, że nie jest sam. W wielu miejscach pracuje się nad tymi samymi problemami, w tym samym czasie. Wiemy o sobie.

— A więc nie trzeba dochowywać tajemnicy? — spytał Henry.

— Nie — odparł Fiodor. — Kiedy tutaj zaczynałem, zaprosił mnie kierownik projektu i zapoznał z dotychczasowymi wynikami badań, wspomniał nawet o stanie badań kolegów z Grenoble i Massachusetts, a po długiej rozmowie wtajemniczającej — wiesz, co po tej rozmowie powiedział? „Proszę korzystać, doktorze Lagutin”, tak powiedział, „to, co poznaje ludzki umysł, łaknie publikacji, gdyż wszystkim wychodzi to na korzyść”.

I nagle, bez żadnego związku, głośno przeczytał napis na drugiej duńskiej chłodni, którą Barbara wyprzedziła: „Żywe pstrągi”.

— One nie wiedzą, że są w drodze — powiedział Henry.

— Przypuszczalnie uważają chłodnię za świat — dodał Fiodor.

Przed Adlerem Barbara nie wyłączyła silnika. Z tylnego siedzenia Henry zobaczył, że siostra trzyma w ręce jakąś paczuszkę, którą przed wejściem do hotelu podała na pożegnanie Fiodorowi, zobaczył również, z jakim niedowierzaniem Fiodor ją wziął, z niedowierzaniem i wahaniem. Kiedy Barbara do niego mówiła, skłonił się przed nią

lekko, a gdy cofnęła się o krok, ujął jej rękę i pocałował ją.

— Co było w tej paczuszce? — spytał Henry, gdy tylko Barbara usiadła obok niego.

— Prezent — powiedziała Barbara — drobny prezent.

Powiedziała to tak obojętnie, że Henry poczuł się sprowokowany i zapytał:

— Wolno spytać, co to za prezent?

— Dlaczego musisz to wiedzieć? — spytała Barbara. — Chciałam Fiodorowi sprawić radość, i najwyraźniej się ucieszył.

— A więc nie zdradzisz, co to takiego?

— Cierpliwości, Fiodor z pewnością sam ci o tym powie.

Albert Bussmann odkorkował dwie napoczęte butelki znalezione w pociągu osobowym z Bremy, przyłożył — a ręce mu nawet nie zadrżały — obie szyjki do siebie i, ustawivszy je pod dobrze wyliczonym skosem, przelał resztę z jednej — bommerlundera — do drugiej — steinhägera. Nie uronił ani kropli. Nie powodując bąbelków i nie zmieniając barwy, bommerlunder połączył się ze steinhägerem, Bussmann wypił łyk na próbę, posmakował, wziął drugi łyk i uznał tę mieszankę za zdatną do picia; pełną butelkę wsunął pod leżące na stercie pledy podróżne.

Tęgo ranka Henry zrezygnował z łyku na pokrzepienie, czekał bowiem na przybycie Pauli; Bussmann umiał powiedzieć mu tylko tyle, że wezwano

ją do szpitala, więcej sam nie wiedział. A Hannes Harms, którego Henry ostrożnie poprosił o informację, udzielił mu enigmatycznej odpowiedzi:

— Jakaś sprawa rodzinna.

Henry nie umiał wytłumaczyć sobie niepokoju, o jaki przyprawiała go nieobecność Pauli, osowiały układał na odpowiednich regałach znalezione i przyniesione do biura piłki i książki, energicznie wepchnął płaszcz przeciwdeszczowy na pełną półkę, celofanową torebkę z robótką na drutach i broszurami wsunął między zguby o nazwie „Różne”, i co chwila spoglądał na zegarek. Paula, która każdego ranka pojawiała się w biurze pierwsza, nie przychodziła i nie przychodziła.

Dzwonek wezwał Henry'ego do okna, przy którym wydawali rzeczy znalezione. Stała tam młoda, szczupła szatynka, która na wszelki wypadek najpierw przeprosiła, że przeszkadza, a potem zapytała, czy trafiła we właściwe miejsce, czy tu właśnie lądują rzeczy znalezione w pociągach, również w pociągach podmiejskich. Henry potwierdził to, mówiąc:

— Tutaj jest pani zawsze we właściwym miejscu.

Głos dziewczyny mu się podobał, niski głos, podobały mu się także jej ciemne, spadające na ramiona włosy, które połyskiwały błękitnie. Zanim zapytał ją, jaką zgubę chce zgłosić, skinął jej głową, dodając otuchy:

— Śmiało, cierpliwie, znajdujemy wszystko, co ludziom zdarzyło się gdzieś zgubić.

Podał dziewczynie formularz zgłoszenia zguby i poprosił o jego wypełnienie, po drugiej stronie,

przy czarnym pulpicie, ołówek wisi na sznurku. Jak szybko wypełniła ten formularz! W przeciwieństwie do innych ludzi, którzy zgłaszali tu zguby i z zadziwiającym trudem odpowiadali na pytania — niektórzy nie potrafili nawet przypomnieć sobie rodzaju pociągu — ona prawie bez wahania wpisała wszystkie potrzebne dane, z zaciśniętymi wargami podpisała formularz i oddała go Henry'emu. Henry spojrzał najpierw na nazwisko i przeczytał półgłosem:

— Sylwia Frank?

Dziewczyna zaś odpowiedziała:

— Pseudonim artystyczny, ale chyba wystarczy.

— Oczywiście — rzekł Henry — ależ oczywiście; jak widzę, podała pani również adres... teatr Kammerspiele... mieszka pani w teatrze Kammerspiele?

— Nie — odparła dziewczyna — mieszkam za miastem, w Luntförden, ale mam angaż w Kammerspiele.

— A więc aktorka — powiedział Henry, nie spiesząc się z odszyfrowaniem szybko nabazgranej notatki o okolicznościach zgubienia poszukiwanych przedmiotów. Przezroczyta celofanowa torebka, przeczytał, zawartość: scenopis, kilka programów teatralnych, wydziergany do połowy sweter, dwie gruszki; wartość: nieokreślona.

— Nie potrafiłam podać wartości — powiedziała dziewczyna.

Henry odparł na to ze zrozumieniem:

— Wierzę pani, większość ludzi traci pewność siebie, gdy nagle spytać ich o wartość zgubionego przedmiotu.

— Z niektórych rzeczy mogłabym zrezygnować — powiedziała dziewczyna — ale scenopis, bardzo go potrzebuję, jesteśmy w środku prób.

Henry uśmiechnął się z zakłopotaniem, a w tym uśmiechu kryła się już zapowiedź, która skłoniła dziewczynę do wyprostowania się i podążenia wzrokiem za Henrym ku zgubom określonym jako „Różne”, skąd wziął celofanową torebkę i wywijając nią, wrócił do okienka. Chociaż dziewczyna wydała z siebie dźwięk radosnego zaskoczenia, Henry spytał:

— Czy to jest to, czego pani szuka?

Dziewczyna schwyciła celofanową torebkę, otworzyła ją, wyjęła niebieski skoroszyt, podetknęła go Henry’emu pod nos i powiedziała:

— Proszę, to na tym tak bardzo mi zależało, jak mam panu dziękować?

Zaczęła kartkować scenopis, pokazała Henry’emu zaznaczone jasnozielonym markerem zdania i powiedziała:

— To moja rola.

— A jak nazywa się ta sztuka?

— *Nagła zmiana pogody.*

— *Nagła zmiana pogody?*

— Głównym bohaterem jest pewien meteorolog, stary specjalista od pogody; jedna z jego prognoz prowadzi do tragedii.

— Rozumiem — powiedział Henry i zapytał z prostodusznym wyrazem twarzy — A pani rola? Czy gra pani strefę wysokiego ciśnienia, czy może huragan?

— Wyjaśnię panu całą tę historię: to, co począt-

kowo wygląda na wypadek, okazuje się na koniec zbrodnią.

— Rozumiem — powtórzył Henry i dodał z udawanym zaangażowaniem — Podejrzewam, że chodzi o morderstwo z zazdrości, mam rację?

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna spytała:

— Czy mogę teraz odzyskać swoją własność?

— Nie tak od razu — powiedział Henry — najpierw musi pani udowodnić, że te znalezione rzeczy naprawdę do pani należą; mamy tu swoje przepisy.

— O, Boże — jęknęła dziewczyna — nie mówi pan tego poważnie. Udowodnić? Jak to się robi?

Zdawało się, że nie zauważyła, iż Henry sobie żartuje, żądając od niej dowodu świadczącego o tym, że ten scenopis jest jej własnością; rozbawiona, ale też zagniewana stanęła przed nim, a kiedy Henry wyjaśnił, że zobowiązują go do tego przepisy, powiedziała:

— Chyba pęknę ze śmiechu.

Henry zaczął się zastanawiać, a zastanawiał się z takim wysiłkiem, że nie uszło to uwadze dziewczyny. Naraz jednak wziął od niej scenopis, otworzył go na jakieś stronie i wymamrotał:

— Drugi akt, druga scena, mam nadzieję, że pani pamięta.

— Oczywiście — odparła dziewczyna — scena rozgrywa się w Instytucie Meteorologicznym, ale co to ma znaczyć?

— Czy to doktor Peukert jest tym meteorologiem?

— Mhm.

— A Lora, to pani?

— Tak, ja gram Lorę.

— Wobec tego wie pani również, co musi pani odpowiedzieć doktorowi Peukertowi; on mówi tutaj: „Ale równikowa strefa obniżonego ciśnienia nad Wyspami Brytyjskimi nie wykazywała początkowo tendencji do przemieszczania się na wschód.”

Dziewczyna wzruszyła ramionami i powiedziała obojętnie:

— No więc jeśli pan tak nalega, to odpowiadam mu: „Jednak można było się tego spodziewać.”

Henry powiedział:

— Na to doktor Peukert mówi: „Nie publikujemy podejrzeń, lecz pewne wiadomości.”

— „Zapowiadano wcześniej wiatry północno-zachodnie” — wpadła dziewczyna w rolę — „siła rosnąca do siedmiu, w porywach, i one pozwalały jednak coś podejrzewać; w każdym razie Dieter by wtedy nie wyjechał i nie doszłoby do tragedii.”

Henry czytał pewnym głosem:

— „Ufamy naszym instrumentom. Ich pomiary są niezawodne, przynajmniej ogólnie rzecz biorąc. Nie ma sensu obwiniać instrumentów, skoro to przyroda sprawia, że się mylą, moglibyśmy zresztą zrezygnować z pracy, gdybyśmy pomierzone wartości musieli przekazywać wyłącznie z zastrzeżeniem. Przecież wiesz o tym, Loro.”

— „Szkoda, że nie słyszysz sam siebie” — podjęła dziewczyna tekst — „Mówisz tak, jakbym nadal była twoją asystentką.”

Henry zamknął scenopis, spojrzał w stronę biu-

ra Harmsa, przed którym nagle stanęła Paula, pozdrowiła i najwyraźniej udzieliła kilku zwięzłych odpowiedzi, później zaś z góry skinęła ręką Bussmannowi, a wreszcie zmierzyła Henry'ego długim, znaczącym spojrzeniem.

— W porządku — powiedział Henry do dziewczyny, podając jej scenopis w celofanowej torebce — przekonała mnie pani, te rzeczy bez wątpienia są pani własnością.

— Czy mogę już iść?

— Podpis — poprosił Henry — musi pani jeszcze podpisać potwierdzenie odbioru, a ja muszę pobrać od pani koszty manipulacyjne w wysokości trzydziestu marek.

— Trzydzieści marek?

— Jeśli to dla pani w tej chwili kłopot, może pani zapłacić później.

Henry ledwo przyjął do wiadomości przesadne podziękowanie dziewczyny, co chwila bowiem spoglądał w stronę Pauli, która, zaproszona gestem przez Harmsa, usiadła na krześle dla gości i pozwoliła się wypytywać, przy czym wzrok miała spuszczoney. W pewnym momencie Harms podał jej chusteczkę higieniczną, którą ścisnęła w dłoni. Wypuszczając Paulę od siebie, wręczył jej jakąś listę i otoczył kobietę ramieniem, jakby proponując opiekę. Z listą w ręce i z kluczami, które przyniosła ze swojego biurka, Paula podeszła do szafy z przedmiotami wartościowymi, otworzyła ją i zaczęła sprawdzać poszczególne rzeczy. Nie zauważyła, że Henry podążył za nią i cicho stanął za jej plecami, obserwując, co też ona tak porównuje i notuje. Od-

wróciła się dopiero w momencie, gdy stojąc tuż obok niej, podstawił rękę, aby złapać kilka perełek, które posypały się z rozerwanego naszyjnika.

— Weź tę rękę — powiedziała Paula, a ton jej głosu sprawił, że Henry usłuchał.

Włożył pochwycone perełki do szafy i usiłował spojrzeć Pauli w oczy, ona jednak unikała jego wzroku i demonstracyjnie zajmowała się swoim zadaniem.

— Co się dzieje? — spytał. — Chciałem ci tylko złożyć pewną propozycję.

— Zachowaj ją dla siebie — powiedziała Paula.

Jej odmowa sprawiła, że poczuł się tak bezradny, iż nie miał odwagi dotknąć jej ramienia; chciał już nawet zostawić Paulę przy pracy, gdy przypomniał sobie, w jaki sposób Bussmann wyjaśniał jej nieobecność, toteż zapytał:

— Wezwano cię do szpitala?

A ponieważ nie odpowiedziała, dodał:

— Coś poważnego?

— Sam powinieneś to najlepiej wiedzieć — odparła, odwrócona od niego.

— Ja? — spytał. — Ja nie wiem, o czym mówisz.

— Nie udawaj, byłeś tam.

— Gdzie miałbym być? Musisz wyrażać się jaśniej.

— Napadliście ich — powiedziała rozgoryczona Paula — zbiliście kijami hokejowymi, Hubert leży ze wstrząśnieniem mózgu, mój brat wie, że tam byłeś.

— Posłuchaj, Paulo — powiedział Henry — to możliwe, że kilku graczy z mojego zespołu hokejo-

wego chciało zrobić porządek... Wiedzieli, co wyprawiają ci chłopcy na motocyklach... te nagonki, te groźby i molestowanie. Przecież twój brat należy do nich. Moi koledzy chcieli im pewnie dać nauczkę, nic poza tym... A zresztą oni i mnie wzięli kiedyś w kleszcze, a jednego z moich przyjaciół tak pogonili, że na całe życie zostanie mu blizna.

— Dlaczego się nie przyznasz, że brałeś udział w tym napadzie?

— Mnie tam nie było, Paulo.

— Ale Hubert słyszał, że ktoś woła cię po imieniu.

— To niemożliwe, może ten ktoś usłyszał jakieś podobne imię, na przykład Hanno, jeden z naszych graczy ma na imię Hanno.

Paula spojrzała na Henry'ego z powątpiewaniem, odmówiła przyjęcia papierosa, którym ją poczęstował, a potem powiedziała wyzywającym głosem:

— Ale nie miałeś nic przeciw temu, przyznaj się, że nie miałeś nic przeciw temu napadowi... żeby wyruszyli z kijami hokejowymi i jak na komendę uderzyli: przecież to było po twojej myśli, prawda?

Po sposobie, w jaki odłożyła broszkę do szafy, Henry poznał, że Paula nie ma ochoty z nim dłużej rozmawiać. Nie chciała mu uwierzyć, on jednak czuł potrzebę odparcia jej insynuacji.

— Nie podzegałem ich ani nie namawiałem do przeprowadzenia tej akcji — powiedział — i wiesz, że nadal wierzę w to, iż powinno się próbować z nimi rozmawiać. Kiedyś już sam chciałem to zrobić, ale ich nie spotkałem. Paulo, przecież to powinno być możliwe... żeby się wspólnie spotkać... po-

gadać ze sobą... posłuchać, co każda ze stron ma do powiedzenia. Ja jestem przeciw przemocy, nienawidzę przemocy.

Paula zajrzała w głąb szafy z przedmiotami wartościowymi, macała ręką, grzebała, aż wreszcie wydobyla małą złotą monetę z przytwierdzoną do niej szpilką i usiłując odczytać datę roczną powiedziała:

— Ach, Henry, sam nie wierzysz w to, co mówisz; zawsze ulegasz własnym pomysłom, czasem mam wrażenie, że wszystko robisz tylko na chwilę i jedynie to, co ci akurat przyjdzie na myśl; być może wystarczy to na ten jeden moment, i pewnie nawet jest zabawne, ale myślę, że powinniśmy oczekiwać od siebie czegoś więcej.

— A co by to miało być? — spytał Henry z uśmiechem.

— Jakie to smutne, że tego nie wiesz — odparła Paula i głośno odczytała odkrytą na monecie datę roczną 1789. Na jej twarzy pojawił się wyraz niechęci, który nie zmienił się również wtedy, gdy Henry dał jej do zrozumienia, że jest rozczarowany, rozczarowany tym, iż najwyraźniej nie okazuje zainteresowania jego propozycją.

— Powinnaś przynajmniej posłuchać, słuchanie nic nie kosztuje.

Paula wzruszyła ramionami i nie przerywając pracy, zapytała:

— No więc proszę, dokąd mamy się teraz wybrać? Już kiedyś wymyśliłeś sobie coś szczególnego.

Henry udał, że nie słyszy tej delikatnej ironii; nie mając pewności, czy Paula zgodzi się na jego pro-

pozycję, wyjaśnił najpierw, że wszystko już obmyślił, a nawet zaczął wprowadzać to w czyn, jego siostra jest gotowa pożyczyć mu samochód na weekend, on sam zaś ma na oku pewien odcinek wybrzeża nad Bałtykiem, gdzieś, gdzie nie roi się od urlopowiczów z Zagłębia Ruhry. Paula stawiała ptaszki na swojej liście. Kosz na piknik pożyczyc się z biura rzeczy znalezionych, podobnie też namiot, na kilka dni można by chyba zaryzykować. Czekał lub spodziewał się jakiejś reakcji ze strony Pauli, ona jednak podniosła tylko pod światło łyżkę wysadzaną półszlachetnymi kamieniami, przechyliła ją tak, że kamień zamigotał, i odhaczyła ją na liście. Przywiązany do swojego pomysłu Henry opisał Pauli miejsce na wydmach, potem ognisko nad samą wodą, mogliby się tam w kostiumach kąpielowych prażyć na słońcu, a gdyby im przyszła na to ochota, nurkować w zdumiewająco czystym Bałtyku.

— A jeśli będzie padał deszcz? — spytała Paula drwiąco, na co Henry rzekł:

— Jeśli będzie padało, moglibyśmy pojechać do miasteczka, jest tam największe akwarium w całej okolicy. Można w nim podziwiać dorsze i płaszczyki, ale także węgorze i młode żarłaczki śledziowe, już kiedyś tam byłem. Co o tym myślisz?

— Dziękuję! Jedź sobie sam.

Najpierw słyszał tylko strzępki monologu, odgłosy niedowierzania i rozgoryczenia, niekiedy docierał do niego także krótki, szyderczy śmiech, ale nie skłoniło to Henry'ego, by poszedł zobaczyć, co Buss-

mann robi na swoim stanowisku pracy. Nie po raz pierwszy przeżywał sytuację, gdy ten stary wywiadowca dawał sobie upust i ustalając osoby, które coś zgubiły, miotał złorzeczenia, okazywał zdziwienie lub rubasznie sobie drwił. Bussmann miał zwyczaj rozmawiać ze sobą w trakcie pracy, bywało, że zwracał się sam do siebie jak do kogoś innego: „Jak myślisz, Albercie? Teraz się chyba pomyliłeś, Albercie.” Nagle jednak Henry usłyszał spadające na ziemię szkło, a także jęk towarzyszący zmudnemu wysiłkowi, prześliznął się więc między regałami i ujrzał Bussmanna klęczącego na ziemi i wyciągającego rękę po pustą butelkę, która potoczyła się daleko. Udało mu się ją dosięgnąć, zaniósł więc zdobycz na swoje biurko i z hukiem rzucił na jakiś list. Nie uszło uwadze Henry’ego, że Bussmann lekko się chwile i z ulgą siada na stołku.

— Dobrze, że przyszedłeś, Henry — powiedział, wskazując na rozsypaną zawartość walizki — możesz to wszystko z powrotem zapakować, już znalazłem dla ciebie właściciela tej walizki, zdaje się, że to jakiś kolekcjoner, kolekcjoner niezapłaconych rachunków i upomnień, mieszka tutaj, w Hamburgu.

Bussmann podał Henry’emu dużą kopertę i powiedział:

— Tak czy owak, mój chłopcze, tak czy owak rozwiązałem ostatni przypadek, teraz możesz przejąć wszystkie dalsze sprawy, te torby podróżne i te dwie paczki, a także worki z materiału, w ostatnim czasie wiele się nauczyłeś, na pewno uda ci się znaleźć właścicieli.

Ośłupiały Henry spojrział na niego.

— Co się dzieje, chcesz wziąć urlop?

— Skończyć — powiedział Bussmann — uznali za stosowne odsunąć mnie na „ślepy tor”.

— Ciebie?

— Jeśli nie wierzysz, to przeczytaj ten list, tam, pod butelką, zobaczysz, co jest w nim napisane: wcześniejsza emerytura, przeniesienie na wcześniejszą emeryturę w związku z reformą na kolei; nazywają to reorganizacją pracy.

— Przecież nie mogą tego zrobić — powiedział Henry — jak to tu dalej będzie, ktoś przecież musi prowadzić ten kram, a nikt nie ma tyle doświadczenia co ty, tobie nikt do pięt nie dorasta.

— Ach, Henry, wszystkich można zastąpić, sam nie wiesz, jak łatwo jest zastąpić człowieka, trzeba się tylko do tego przed sobą wystarczająco wcześnie przyznać. Jedne drzwi się zamykają: ktoś odchodzi; drugie drzwi się otwierają: ktoś przychodzi.

Przez chwilę Bussmann patrzył bezradnie na Henry'ego, ale potem ugryzł się w język i powiedział:

— Żał mi tylko mojego ojca, nie wiem, jak go o tym poinformować, on przyjmuje wszystko bardzo osobiście, takie przeniesienie w stan spoczynku też potraktuje osobiście.

— A Harms? — spytał Henry, wskazując na oszklone biuro. — Co mówi na to Hannes Harms?

— To on wręczył mi ten list — odparł Bussmann — objął mnie ramieniem i powiedział tylko: „Chcę ci podarować kilka lat, Albercie, najwyraźniej rzeczoznawca uznał, że to będzie z korzyścią dla cie-

bie”. Nic więcej — poprawił się jednak zaraz i dodał: — Powiedział jeszcze: „Oczywiście zostaniemy w kontakcie, Albercie, po tych wszystkich wspólnych latach nie powinniśmy przecież stracić się z oczu.”

Henry znał ten rodzaj pocieszenia, te nic niewarte próby uspokajania, które miały ułatwić rozstanie, przeszedł więc nad tym do porządku dziennego i zapytał, czy Harms nie powiedział nic więcej, czy nie wspomniał już o następcy Bussmanna, nie zwalniania się przecież człowieka, nie myśląc o zastąpieniu go kimś innym.

— Hannes nie mówił nic o następcy.

— Ale przecież kogoś potrzebujemy — powiedział Henry.

— To już nie moje zmartwienie, mój chłopcze, gdybym wszakże mógł sobie kogoś życzyć, ty byłbyś najwłaściwszy, ty byś dobrze poprowadził ten kram, na swój sposób.

Bussmann machnął ręką, skrzywił się, wstał powoli, nie mogąc jednak ustać na nogach, opadł z powrotem na stołek.

— Jeśli chcesz, Henry, szepnę słówko w twojej sprawie.

— Dziękuję, ale nie zależy mi na tym.

Zmartwiony przyglądał się, jak Bussmann usiłuje wstać, ujął go pod ramię, upomniał, żeby wziął się w garść i spytał:

— Albercie, co byś powiedział na to, żebyś odprowadził cię do domu? I tak za chwilę kończymy pracę.

— Jeśli o mnie chodzi, to możemy iść — powie-

dział Bussmann — dzisiaj wolno mi chyba zrobić sobie fajrant te kilka ostatnich minut wcześniej.

Henry poprowadził starego kolegę przez halę dworcową, przez plac dworcowy, zatrzymał Bussmanna przed sygnalizacją świetlną, uważał, by nie zatoczył się na liny oddzielające plac budowy; niewiele mówili po drodze. Od czasu do czasu ludzie przystawali, patrząc z zaciekawieniem, niekiedy nawet odwracali się i spoglądali za nimi, nie wiedząc, dlaczego starszy z nich potrzebuje podpory. Na moście obaj mężczyźni przystanęli, Bussmann chwycił się balustrady i skinieniem wskazał na kanał: stał tam ponton, a mężczyźni w zabłoconych watawnych spodniach czyścili dno. Specjalnymi grabiami i umocowanymi na linach hakami wydobywali przedmioty, znajdujące się w błocie pod mętną od ropy powierzchnią — sprężyny i opony samochodowe, całe stosy puszek po konserwach, krzesło z kutego żelaza, stalowy hełm, rower; wszystko, co udało się im wydobyć na światło dnia, wrzucali do szkuty. Wrzucili więc do niej parę butów wypełnionych mułem, szafka apteczna poleciała za szkutę i ponownie utonęła w kanale, dziecięca taczka powiększyła pagórek rupieci.

— Nie ma właścicieli — wymamrotał Henry — nic z całego tego kramu nie zostało zgłoszone jako zguba.

Pomyślał: wyrzucone, zatopione. Większość zatopiona potajemnie, w ciemnościach. Pozbyto się tego. Tych bezimiennych znalezisk. Nie zgubionych, nie zapomnianych — wyzbyto się ich. Wszystkich tych przedmiotów spoczywających na dnie rzek i

jezior. Na dnie mórz. Przedmiotów, które poszły na dno. Utonęły.

— Tych rzeczy nikt nie chce — powiedział Bussmann, na co Henry odparł:

— To prawda, tutaj nie mielibyśmy nic do roboty.

Skinęli głowami mężczyznom pracującym na pontonie i obserwowali jeszcze, jak olbrzymimi grabiami wyławiają z kanału kawałek zardzewiałej rury kanalizacyjnej, a potem poszli dalej.

Milczeli do chwili, gdy wreszcie stanęli pod domem, w którym mieszkał Bussmann. Henry otworzył drzwi wejściowe i dał koledze do zrozumienia, że chciałby wejść z nim na górę, tamten jednak usiadł na stopniu schodów i potrząsnął przecząco głową: nie chce, żeby Henry go dalej odprowadzał, nie do samego mieszkania. Podziękował za towarzysztwo, nie patrząc na Henry'ego, podał mu rękę, po czym sięgnął do kieszeni kurtki, pragnąc się przypuszczalnie upewnić, czy zabrał list ze sobą.

— Naprawdę poradzisz sobie sam, Albercie?

— To już tylko kilka stopni.

Henry chciał zostawić go samego, ale nie mógł, popatrzył w górę schodów, jakby miał zamiar ocenić wysiłek czekający jeszcze kolegę, przez chwilę rozważał nawet, czy nie powinien usiąść obok niego i zapalić papierosa, ale nie zrobił tego, gdyż Bussmann, trzymając się poręczy, jął wspinać się po schodach i uśmiechać do Henry'ego.

— Powodzenia, Albercie — powiedział Henry i powtórzył cicho: — Powodzenia — po czym odszedł.

Rzucając ostatnie spojrzenie od drzwi wejściowych, Henry już wiedział, dokąd się uda; świadomy celu, nie zatrzymując się na moście, wrócił na dworzec, a następnie skierował się ku potężnej klinierowej budowli, w której znajdowała się administracja kolei. Nad wejściem pyszniło się błękitne logo „DB”. Spostrzegłszy, iż Henry musiał ratować się skokiem, aby wydostać się z drzwi obrotowych, dziewczyna pracująca w recepcji budynku skinęła mu z uznaniem głową, ładna dziewczyna, która swoim wyglądem dowodziła twarzowości mundurów kolejowych; telefonując, jedną ręką wygładzała niesforną spódniczkę.

— Czy mógłby pan podać jeszcze raz swoje nazwisko?

— Neff — powiedział Henry — i bardzo chciałbym rozmawiać z panem Richardem Neffem, to mój wujek.

Henry odwrócił się i zaczął oglądać sztych sławiący otwarcie pierwszego połączenia kolejowego między Norymbergą a Fürth; nie uszło przy tym jego uwadze, że bardzo pewny siebie głos dziewczyny się zmienił, stał się usłużny, a ona sama szybko przyjęła coś do wiadomości:

— Tak, rozumiem.

Recepcjonistka poprosiła Henry'ego, żeby jeszcze chwilę poczekał, gdyż na górze są właśnie goście. Oglądał więc otwarte wagony pierwszego w dziejach pociągu i uśmiechał się na myśl o odważnych pasażerach, którymi targał wiatr; jednemu odfrunął kapelusz, drugi usiłował schować kilkumetrowej długości szal, machano chusteczkami, pod-

noszono wysoko butelki wina, otwarte usta świadczyły o tym, że śpiewano jakieś piosenki.

— Tak to się wtedy zaczynało — powiedziała dziewczyna, widząc zainteresowanie Henry'ego — musiała to być niezła przygoda.

— Na to wygląda — przytaknął Henry — dlatego biura rzeczy znalezionych były zbyteczne. Zapominalstwo, jakiego my doświadczamy, jest zjawiskiem współczesnym.

— Mówi pan to na podstawie własnych doświadczeń?

— Tak, doświadczam tego co dzień; pracuję w biurze rzeczy znalezionych.

— U nas? A to ciekawe.

— Tak — powiedział Henry — można to tak nazwać: ciekawe.

Dziewczyna podniosła słuchawkę, kiwnęła potakująco głową i powiedziała tylko:

— Przekażę.

Następnie przepuściła Henry'ego.

— Pokój sto dwanaście.

Sekretarka w pierwszym pokoju powitała go uśmiechem i wskazała mu otwarte drzwi, za którymi Henry natychmiast dojrzał wuja siedzącego przy olbrzymim biurku; wuj miał przekrzywioną głowę, jakby coś oceniał, badał, gdyż wyraz boleści spowijał jego kościstą twarz; prawdopodobnie, pomyślał Henry, żądają od niego jakiejś bardzo ważnej opinii. Wuj podniósł się na powitanie Henry'ego:

— Patrzcie, patrzcie, nawet ty znalazłeś do mnie drogę?

Nie oczekując ze strony siostrzeńca pozdrowie-

nia ani wyjaśnienia tej niespodziewanej wizyty, wskazał na mężczyznę trzymającego oburącz jakiś plakat.

Mężczyzna miał na sobie wyblakły kombinezon lotniczy, a długie włosy zebrane na karku w war-kocz, były związane gumką. Artysta, pomyślał Henry, i miał rację.

— Czy mogę panów ze sobą poznać: pan Neff, pan Ewert — i wskazując na plakat, wuj Henry’ego dodał od razu: — Pan Ewert przyniósł nam właśnie swój ostatni projekt, który już wkrótce będzie można oglądać jako plakat we wszystkich pociągach między Flensburgiem a Monachium. Reklama. Reklama niemieckiej kolei. No, i co o tym myślisz, Henry?

Pozdrowiwszy krótko artystę, Henry cofnął się, aby dokładnie przyjrzeć się plakatowi. Jedna połowa ukazywała młodego, bardzo przystojnego kontrolera biletów, który uprzejmie oddaje bilety pewnej korpulentnej pani; na drugiej połowie piękna konduktorka serwowała najwyraźniej rozbawionemu męskiemu towarzystwu piwo w puszkach. Tekst biegnący nad obydwoma połówkami plakatu zapytywał: „Lubisz poznawać nowych ludzi? Można na Tobie polegać? Masz dwadzieścia — dwadzieścia pięć lat?” A czerwonymi literami widniała zachęta: „Czeka na Ciebie praca specjalisty naszego serwisu w środkach komunikacji publicznej”.

— No, Henry, i jak ci się podoba?

Henry wzruszył ramionami, podszedł bliżej do plakatu, pstryknął palcem w piękną konduktorkę i zapytał artystę:

— Czy to ma być Claudia Schiffer?

— Skąd panu to przyszło na myśl? — spytał artysta.

Henry odpowiedział spokojnie:

— Trudno nie dostrzec podobieństwa, mam tylko nadzieję, że Claudia Schiffer zgodziła się wystąpić w reklamie serwisu kolejowego.

— W takim razie niech pan przyjrzy się ustom — powiedział artysta. — Claudia Schiffer ma całkiem inne usta.

— O co chodzi? — spytał wuj Henry'ego, który nie mógł zrozumieć powodu tej wymiany zdań. — Kto ma wyglądać podobnie do kogo?

— Konduktorka — wyjaśnił Henry — do złudzenia przypomina Claudię Schiffer; mówię to tylko dlatego, że Claudia Schiffer ma zastrzeżone prawa do swojej twarzy.

— Nie widzę problemu — powiedział artysta — jeśli ma pan zastrzeżenia, zrobię tej pani barokowe usta, usta barokowego aniołka, z trójkątnym serduszkim na górnej wardze.

— Ta kobieta musi jednak wyglądać ładnie — rzekł wuj Henry'ego.

— Jasne — poparł go Henry — kolej potrzebuje ładnych ludzi; chciałem tylko zwrócić uwagę na to, że Claudia Schiffer posiada szczególne prawa do swojej twarzy, to światowej sławy modelka, ma swoją cenę.

— Dobrze — powiedział artysta — aby uniknąć wszelkich kłopotów, zrobię konduktorce usta kobiety grającej na flecie, okay?

Czekając na decyzję, patrzył na wuja Henry'ego,

a kiedy wreszcie usłyszał słowa: „Niech pan zrobi”, z trudem udało mu się ukryć niezadowolenie.

Zostawszy sam na sam z Henrym, wuj wyszedł z za dużego, pustego biurka, stanął plecami do okna i zapytał, czy w domu wszystko w porządku i co słychać u Barbary; wiadomość, że przygotowuje się do regionalnych mistrzostw kajakowych, spotkała się z jego uznaniem, to zaś, że matka Henry’ego zamierza wybrać się na wypoczynek nad jeziora w Bawarii, przyjął do wiadomości ze zdawkowym uśmiechem.

— Świetnie — powiedział — świetnie, świetnie.

Potem jednak zaczął się dopytywać, jak Henry’emu podoba się w nowym miejscu pracy, w biurze rzeczy znalezionych, jak układa mu się z kolegami, jaki panuje wśród nich klimat, czy satysfakcjonuje Henry’ego pensja, przy czym dał do zrozumienia, że spodziewał się po nim wcześniejszych odwiedzin.

— Sprawiłoby mi przyjemność, gdybyś był wcześniej znalazł do mnie drogę.

Nie zaskoczyła go żadna z odpowiedzi Henry’ego, zdawało się, że już wszystko wie, powoli zapalił cygaro i w milczeniu obserwował wypuszczane kółka, przekonany, że Henry bez pytania poda powód swojej wizyty. I Henry rzeczywiście to zrobił. Chociaż jeszcze nigdy nie prosił o nic swojego wuja i zarazem wysokiego przełożonego, powiedział:

— Dzisiaj, wujku Richardzie, chciałbym cię o coś prosić i dlatego jestem tutaj.

— Chcesz, abym przeniósł cię gdzie indziej?

— Nie.

— No więc o co chodzi?

— O kolegę, starszego kolegę, który nazywa się Albert Bussmann; chcą go odsunąć, przenieść w tak zwany stan spoczynku.

— I czego oczekujesz ode mnie?

— Nie mógłbyś spowodować, żeby został u nas jeszcze kilka lat? To z pewnością najlepszy pracownik, jaki może pracować w biurze rzeczy znalezionych. A poza tym...

— Co?

— Poza tym: on mieszka z ojcem-staruszką, opiekuje się nim, byłem u nich w domu, na pewno nie byłoby dobrze, gdyby obaj siedzieli sobie całymi dniami na głowie. Czy nie mógłbyś czegoś zrobić?

Wuj Henry'ego odłożył cygaro do popielniczki, przez chwilę popatrzył zdumiony na siostrzeńca i nagle zapytał, czy mógłby go czymś poczęstować, może kawą albo herbatą, jest nawet jeszcze herbata, ale Henry podziękował za wszystko. Liczył na jego zgodę.

Wuj wstał:

— Cieszę się, Henry, że przychodzisz do mnie wstawić się za starym kolegą, szanuję cię za to. Ale rzecz, której ode mnie oczekujesz, nie leży w mojej gestii, nie mogę w tej sprawie nic zrobić: przeprowadzamy reformę na kolei, trzeba więc dokonać reorganizacji pracy; a podstawą owej reorganizacji są oceny rzeczoznawcy, rozumiesz? I wiesz też, że naszym zadaniem jest obniżenie kosztów osobowych o ponad trzy miliardy, a żeby to osiągnąć, musimy zmienić strukturę zatrudnienia.

Henry podchwycił ostatnie słowo i powiedział:

— Zmienić, czyli jednak dawać wymówienia, czyli likwidować stanowiska, tak?

— Nie da się tego uniknąć, wszystko jednak ma się odbywać z zachowaniem systemu osłon społecznych.

— Nie rozumiem tego; z jednej strony kolej chce zwolnić tak wielu ludzi, z drugiej zaś zleca wykonanie plakatów werbujących do pracy.

— Takie są zasady restrukturyzacji — powiedział wuj Henry'ego — najpierw musimy zmniejszyć znaczną górę długów, więc aby to osiągnąć, trzeba posłać kilka tysięcy ludzi na emerytury.

Henry udawał, że rozmyśla nad związkiem między górą długów a zwolnieniami, naraz jednak zaśmiał się, zaśmiał się ze zwykłą sobie prostodusznością i nie zmieniając tonu, powiedział:

— To byłoby idealne rozwiązanie, dla mnie: wyślesz mnie na emeryturę, a Albert Bussmann będzie mógł zostać. Wcześniejsza emerytura to dokładnie ten stan, w którym od dawna chciałem się znajdować.

Nie mając pewności, czy Henry tylko sobie zażartował, wuj spojrział na niego, a potem westchnął, potrząsnął głową i zapytał:

— Dwadzieścia sześć, prawda? Jeśli dobrze policzyłem, masz teraz dwadzieścia sześć lat.

— Dwadzieścia cztery — sprostował Henry.

— Jeszcze gorzej — odparł jego wuj — dwadzieścia cztery lata i już marzysz o pójściu na wcześniejszą emeryturę. Wielki Boże, kiedy pomyślę, co ja miałem za sobą w wieku dwudziestu czterech lat; w każdym razie już wtedy ruszyłem pełną parą do

przodu i miałem wytyczony cel w życiu — a ty, czy ty w ogóle masz jakiś cel?

— Co przez to rozumiesz?

— Nie udawaj, dobrze wiesz, co mam na myśli: pozycję, której człowiek chce się dorobić, która mu odpowiada i w której chce jak najwięcej działać albo przynajmniej myśli, że mógłby to zrobić.

Henry zastanowił się przez chwilę, a potem wyjaśnił pogodnie:

— Kiedy słyszę słowo „cel”, od razu myślę o stacji docelowej i słyszę zapowiedź: „Stacja końcowa, tu stacja końcowa, prosimy wszystkich pasażerów o opuszczenie pociągu”.

— Bardzo mi przykro, Henry, ale takie nastawienie nie wydaje mi się zabawne, wcale a wcale nie wydaje mi się zabawne. Trzeba przecież jakoś uprawomocnić swoje życie, tak czy nie? Przez pewien czas można oczywiście żyć sobie swobodnie, można roztrwonić pierwsze lata, ale kiedyś przychodzi moment, że trzeba dokonać wyboru i zacząć działać. Pozwolisz mi chyba powiedzieć, iż człowiek z twoimi zdolnościami mógłby być już dzisiaj dalej, znacznie dalej.

— Oczywiście, że ci pozwolę — powiedział Henry — ale proszę cię, zrozum, że mnie nie zależy na karierze, ja nie chcę żadnych awansów, nie chcę zdobywać wspomnianej przez ciebie pozycji; chętnie pozostawię to innym.

— Czego więc chcesz?

— Dobrze czuć się w pracy i żeby zostawiono mnie w spokoju, oszczędzono mi całej tej biegani-ny i zgiełku.

Wuj Henry'ego zaczął się złościć.

— Wobec tego poszukaj sobie świata — powiedział — który pozwoli ci na wszystko, czego potrzebujesz do dobrego samopoczucia, świata, w którym będziesz mógł żyć w całkowitej zgodzie z własnymi potrzebami; boję się jednak, że będziesz musiał długo szukać. Poza tym nie zapominaj, iż na wcześniejszą emeryturę też trzeba sobie najpierw zasłużyć, wypracować ją, zasłużyć sobie na nią.

— Zrozumiałem — powiedział Henry.

Wstał. Już chciał się pożegnać, gdy zadzwonił telefon. Wuj podniósł słuchawkę i tak ostro wymówił nazwisko ich obu, że Henry'emu przypomniało to dziecinne naśladowanie wystrzału — pif-paf. Wuj stanął nagle jak sparaliżowany, przez chwilę nie mówił ani słowa, milczał i tylko słuchał relacji czy meldunku, raz przełożył słuchawkę z prawego do lewego ucha, Henry słyszał jego przyśpieszony oddech. Odłożywszy słuchawkę, wuj poszukał wzroku Henry'ego i jękając się, powiedział:

— Po raz drugi, to już druga tragedia w tym roku.

Henry przerwał milczenie:

— Wypadek kolejowy?

Wuj potrzebował czasu na odpowiedź; jakby zgubił wątek, zamknął oczy, a następnie powiedział:

— Ktoś rzucił się pod pociąg wjeżdżający na peron, na peron czwarty.

— Mężczyzna? — spytał Henry, na co wuj odparł po chwili:

— Dziewczyna, młoda dziewczyna, to już drugi taki tragiczny przypadek w tym roku; rzuciła się pod wjeżdżający na dworzec pociąg „Wilhelm Raabe”.

Zacisnął wargi, otrząsnął się, jakby się przed czymś bronił, wymamrotał coś, co Henry zrozumiał jako słowa „misja dworcowa”, a następnie ruszył w kierunku drzwi. Najwyraźniej nie chciał, aby ktokolwiek mu towarzyszył. Zanim zostawił siostrzeńca samego, przypomniał mu o obiecanych biletach na niedzielny mecz hokejowy:

— Chcielibyśmy wreszcie zobaczyć cię w akcji, przyjdziemy wszyscy.

Nic więcej nie chciał powiedzieć i już był na korytarzu, gdy Henry pobiegł za nim:

— Jeszcze chwileczkę, wujku Richardzie, jeszcze tylko jedno pytanie.

— Słucham.

— Ta redukcja zatrudnienia, mówiłeś coś o redukcji zatrudnienia, czy dotyczy ona również biura rzeczy znalezionych?

— Wszystkich działów; jeśli się nie mylę, u was trzeba zlikwidować jedno stanowisko.

— Dobrze — rzekł Henry — tylko to chciałem wiedzieć.

Przystanął; a podczas gdy wuj odchodził krótkim, sprężystym krokiem, pomyślał: „Tak kroczy ważny człowiek”. Powoli podążył za nim aż do sali konferencyjnej, drzwi były otwarte, więc Henry wszedł i natychmiast ujrzał wielki olejny portret mężczyzny z bokobrodami, który obojętnie patrzył na stół konferencyjny. Henry był pewien, że stoi przed portretem dawno zmarłego prezesa kolei i opuścił to pomieszczenie.

Doktor Lagutin mógł przyprowadzić dwoje gości na święto studenckie w politechnice, ucieszył się więc, że Barbara i Henry od razu zgodzili się przyjmując jego zaproszenie. Rodzeństwo przyjechało po niego do Adlera, Barbara była zachwycona jego wysoko zapiętą rubaszką, nie wątpiła, że jej też byłoby w niej do twarzy. Zwieszający się z piersi talizman na skórzanym rzemyku okazał się według wyjaśnień doktora Lagutina symbolem wschodzącego w stepie słońca, a kiedy Henry pochwalił miękkość i wytworność butów Fiodora — wydawało mu się, że gołym okiem widać te ich przymioty — przyjaciel obiecał, że przy najbliższej okazji mu takie kupi, z ozdobną taśmą na cholewach.

Barbara pojechała szukać miejsca do zaparkowania i, zawsze pewna, że jakieś znajdzie, tym razem rzeczywiście też je znalazła: ponieważ zaś towarzyszył jej Fiodor Lagutin, ustawiła się na jednym z miejsc zastrzeżonych dla grona pedagogicznego. Jakiś student, który sprawdzał bilety przy wejściu do stołówki, powitał ich serdecznie na „wieczorze roku”, po czym wsunął bilety do otworu w brzuchu postaci o sześciokątnej głowie, w którym zaczęło coś trzaskać i trzeszczeć. Oczy metalowego kolosa zaś iskrzyły, dwie wystające z głowy antenki zaczęły poruszać się badawczo i namierzyły przybyłych. Wreszcie, wydawszy z siebie chrobot, kolos powiedział:

— To dla nas zaszczyt powitać doktora Lagutina i jego gości, siedzicie państwo przy stoliku numer dwa. Życzymy miłego wieczoru.

— Słyszałeś to? — spytała Barbara.

— To Leopold — powiedział Fiodor — umie

jeszcze więcej, Leopold jest w stanie zmierzyć poziom inteligencji.

— Na to sobie nie pozwolimy — rzekł Henry — przynajmniej nie dziś wieczorem.

Wielu starszych gości siedziało już przy stolikach, rodzice studentów, ale także profesorowie i sponsorzy z rodzinami; na powitanie, z myślą o nich wszystkich, grano zdaje się melodie Glenna Millera. Przy dwu sąsiednich stolikach — Henry poznał to na pierwszy rzut oka — pito szampana, on i Barbara zamówili colę i rum, Fiodor, po namowach, bawarskie piwo. Ledwo napoje stanęły przed nimi, gdy przepił do nich pewien krępy mężczyzna z goździkiem w butonierce, kieliszek podniosła w ich stronę także siedząca obok niego bardzo młoda dziewczyna, która ani na chwilę nie traciła dobrego humoru.

— Znasz ją? — spytała Barbara.

Fiodor pokręcił przecząco głową i odsunął swoje krzesło na bok, aby zrobić miejsce dwom kobietom, które przysiadły się do mężczyzny z goździkiem, pytając, czy coś je może ominęło. Z ich rozmowy Henry wywnioskował, że kobieta o ponuro obwisłych wargach i tęgich ramionach ma na imię Johanna; w pewnym momencie, gdy spostrzegła jego taksujący wzrok, Henry uśmiechnął się do niej, ale jego uśmiech nie został odwzajemniony. Barbara zauważyła, że Fiodora nieustannie bawi sposób, w jaki poszczególni goście się witają, i mimo woli sama zaczęła się tym bawić, obserwując objęcia i poklepywanie po ramieniu, głaskanie i muśnięcia pocałunkami.

Gdy rozmowy naraz umilkły, wzrok wszystkich skierował się ku prowizorycznej scenie, na której pojawił się niski mężczyzna sprawiający wrażenie całkiem pomiętego; delikatnie uśmiechał się pod nosem, broniąc się przed przedwczesnym aplauzem.

— Profesor Cassou — szepnął Fiodor — to jest Alexis Cassou; nie tylko uchodzi za geniusza, lecz nim jest. Reprezentuje rektora.

Wysokim głosem geniusz dał wyraz ubolewaniu, że profesorowi Worringerowi, rektorowi, nie jest dane powitać obecnych, zwłaszcza gości, jako że zachorował podczas podróży służbowej do Massachusetts; dlatego też to jemu przypadł zaszczyt powitania wszystkich osób zgromadzonych w tej sali. Nie tylko twarze obecnych mówią mu, że radość na samą myśl o tym wieczorze jest powszechna, potwierdziły to już wcześniej sensoryczne czujniki Leopolda, owego srogiego pana z roziskrzonymi oczyma.

— Leopold — powiedział — stanowi dowód na to, że sposoby pracy żyjącej jednostki i naszej wspólnie stworzonej maszyny do komunikowania się przebiegają zdumiewająco równolegle. Leopold zbiera informacje ze świata zewnętrznego i przekazuje je nam, pozostawiając do naszej całkowitej dyspozycji.

Profesor Cassou dobył z kieszeni marynarki jakiś przedmiot przypominający jabłko, wykonawszy delikatny obrót, rozłożył go, a połówkę, w której paliło się maleńkie światełko, skierował na robota. Odczekał niespełna trzy sekundy, po czym bardzo wyraźnie powiedział:

— Proszę o temperaturę.

Po dwu sekundach maszyna odpowiedziała, skrzypiąc:

— Dwadzieścia dwa i pół stopnia Celsjusza.

Widzowie byli najwyraźniej tak zdumieni, że nikt nawet nie zaklaskał; jednak profesor Cassou nie poprzestał na tej demonstracji; poprosił maszynę o podanie liczby obecnych w sali osób, przy czym niektórzy szybko się rozejrzeli, przeliczyli się w przybliżeniu i nie znaleźli powodu, by powątpiewać w rachunek robota. Wreszcie, po przeprowadzonym mimochodem dowodzie na to, że kolos jest w stanie wykonywać nawet najbardziej niezwykle obliczenia, profesor Cassou zapytał go uprzejmie, czy mógłby również zbadać nastrój panujący w sali. Dokonawszy pomiaru, który nie trwał nawet pięciu sekund, skrzypiący głos ustalił: „Pogodne oczekiwanie”, co zostało skwitowane śmiechem i oklaskami. Zwrócony do gości profesor Cassou powiedział:

— Proszę się nie niepokoić, Leopold nie zdradzi wszystkich pomiarów; ale również pod względem dyskrecji przejawia ludzkie cechy: naśladuje bowiem, a w tym naśladownictwie czyni zrozumiałą istotę ludzką i jej specyfikę.

Po dowcipnym opisie nowoczesnych możliwości komunikacji, przy czym podkreślona została wymiana informacji między maszynami, profesor Cassou wyraził pogląd, że musimy przygotować się na to, iż pewnego dnia doświadczymy zbratania człowieka z maszyną, jakiegośmy się nigdy dotąd nie spodziewali. Następnie jeszcze raz życzył wszystkim zebranym miłego wieczoru i, odprowadzany

oklaskami, okrężną drogą dotarł do swojego miejsca.

— The Bazar is open — oznajmił jakiś student ze sceny i pierwszy podążył w stronę zimnego bufetu. Nie był to luksusowy bufet; jakby konstruktorzy maszyn byli miłośnikami prostoty, w dwuszeru stały tam potężne misy sałatek: misy z sałatką ziemniaczaną i śledziową, oczywiście również rodzima sałatka z kiełbasą, ale także sałatki z ogórkami, fasolą i mięsem oraz naznaczona chorobliwą bladeścią sałatka na bazie klusek. Pokrojony chleb piętrzył się między misami, dokładnie odmierzone kostki sera zapraszały, by nadzieć je na wykałaczkę. Można tam też było znaleźć ugotowane na twardo jajka, roladki z szynki i dwa niepokrojone salami takich rozmiarów, że pozwalały wnioskować o szczególnym sposobie jego przyrządzenia.

Także ludzie przy sąsiednim stoliku — mężczyzna z goździkiem i kobieta o imieniu Johanna — podążyli do bufetu, wzięli talerze i sztucce, opuścili kolejkę i sunęli wokół stołu, badawczym wzrokiem lustrując potrawy. Obsługując się bez pośpiechu, mieli czas na obserwowanie wyborów dokonywanych przez innych gości, co niekiedy ich inspirowało, niekiedy zaś spotykało się z niemą dezaprobatą. Henry stał w kolejce za Fiodorem i jeszcze zanim obaj się obsłużyli, zauważył skrywane zainteresowanie, z jakim kobieta obserwuje postać Fiodora, i to nie tylko postać: zdawało się, że koniecznie chce się dowiedzieć, na jakie potrawy zdecydował się ten mężczyzna w rubaszce i co nałożył sobie na talerz lub do miseczki. Gdy Fiodor spiętrzył na

sałatce z klusek pewną odmierzoną ilość ogórków, które następnie udrapował kilkoma kostkami sera, trąciła swojego męża, kierując jego wzrok na tę szczególną kombinację. Mężczyzna z goździkiem nie mógł pojąć, co żonę tak dziwi, toteż ze zdobytymi jajkami i roladkami z szynki niecierpliwie wrócił do stolika. Zainteresowanie kobiety nie ustało nawet w trakcie jedzenia, co chwila zerkąca w stronę Fiodora, zupełnie tak, jakby liczyła kęsy albo oceniała sposób przeżuwania. Aby dać jej do zrozumienia, że takie zachowanie w ogóle mu się nie podoba, Henry, chcąc do niej przepić, podniósł kieliszek i mrugnął, w reakcji na co kobieta odwróciła się energicznie i wdała w rozmowę z mężem.

Naraz jednak wszyscy przy sąsiednich stolikach zamilkli. Profesor Cassou, który przy bufecie zjadł dwie czy trzy kostki sera, biorąc je przy tym rękami, odkrył doktora Lagutina, szczęśliwy i jednocześnie zaskoczony skinął do niego ręką, wziął szybko rzodkiewkę i podszedł do stolika:

— Drogi kolega Lagutin.

— Wielce szanowny pan profesor Cassou.

Poprzestali na przelotnym uścisku, Fiodor przedstawił swoje towarzystwo, a ponieważ profesor Cassou zapragnął między nimi usiąść, Henry przyniósł wolne krzesło.

— Jak miło pana widzieć, drogi kolego Lagutin.

— Grenoble, panie profesorze, ostatnio spotkał się w Grenoble, miałem zaszczyt brać udział w pańskim sympozjum.

— Pamiętam, pamiętam — powiedział profesor Cassou — chodziło tam też o Wolframa, ale tylko

na samym początku byliśmy odmiennego zdania, później wypracowaliśmy wspólne stanowisko.

Henry otworzył gościowi jedną ze stojących na podorędziu butelek wody mineralnej, a napełniając szklanę, spytał:

— Czy można wiedzieć, Fiodorze, o co wtedy chodziło?

Fiodor milczał przez chwilę, jak gdyby wolał, żeby to profesor Cassou wypowiedział się na temat różnicy zdań między nimi; jednakże po zachęcającym spojrzeniu profesora sam odpowiedział:

— Wolfram, kolega z Anglii, zaprezentował tezę, że prawo ciężenia jest czymś innym niż rzeczywiste spadanie jabłka, obliczanie tego spadania jednak tym samym, czym owo spadanie.

Prosząc o potwierdzenie, Fiodor spytał profesora Cassou:

— Czy się mylę?

Ten zaś uśmiechnął się do niego z uznaniem i powiedział:

— Owszem, chodziło o tę sporną tezę.

A potem Fiodor opowiedział, w jaki sposób poznał Henry'ego, opisał upadek na peronie, utratę dokumentów oraz to, jak niespodziewanie odzyskał rzeczy, o których myślał, że bezpowrotnie zaginęły. Powiedział:

— Gdyby nie pomoc biura rzeczy znalezionych i szczególnie przenikliwość pana Neffa, pewnie teraz nie siedzielibyśmy tu razem.

Po czym dodał w zamyśleniu:

— Ciągle jeszcze nie jestem pewien, czy to, że się ze sobą spotkaliśmy, było przypadkiem, czy też ko-

niecznością, przypuszczam jednak, że była to konieczność.

Położył rękę na przedramieniu Henry'ego i uśmiechnął się do niego. Profesor Cassou, którego ten gest uradował, pokręcił głową; trudno mu ocenić, co jest przypadkiem, a co koniecznością, toteż z zasady przychyła się do konieczności. Widać było po nim, że zastanawia się nad tym zdaniem, podaje je w wątpliwość, potwierdza krótkim skinieniem głowy, w końcu jednak znowu uznaje za kontrowersyjne, więc wzruszając ramionami musi stwierdzić, że niekiedy czuje się zmuszony wierzyć w cuda. Może brzmi to dziwnie, ale musi w nie wierzyć, w określone misterium znajdowania lub, dokładniej mówiąc, misterium odnajdowania. Wystarczy, że pomyśli, w jaki sposób i w jakich okolicznościach odnalazł po długim czasie swoją siostrę — ciągle jeszcze wydaje mu się to tajemniczym zrządzeniem losu. Żadne biuro rzeczy znalezionych nie umiało mu wtedy pomóc w poszukiwaniach, a międzynarodowe biuro poszukiwań osób zaginionych, któremu powierzył tę sprawę, również nie było w stanie dostarczyć mu wytęsknionej dobrej wiadomości.

— Czy to się działo w czasie wojny? — spytał Fiodor.

— Wojna nas rozdzieliła — odparł profesor Cassou. — Ponieważ zbliżał się front, wysłano nas na wieś, do dziadków; moja matka przekupiła kierowcę autobusu, który obiecał, że nas do nich zawiezie; było to całkiem niedaleko. Moja siostra Sophia miała wówczas sześć lat, ja byłem o rok starszy. Zanim odjechaliśmy, mama zdjęła wisiołek i zapię-

ła łańcuszek na szyi Sophii — małego srebrnego delfina unoszącego się na grzbiecie fali, fali z bursztynu — a potem pocałowała nas po raz ostatni.

Z opanowaniem profesor Cassou opowiadał o potężnej kolumnie ludzi i pojazdów, wszyscy uciekali, było gorąco, samoloty zaś latały tak nisko, że można było dojrzeć twarze pilotów. Również ich autobus został trafiony, tak że najpierw nim zatrzęśło, a potem wpadł do przydrożnego rowu. Sophie była ranna, żołnierze położyli ją na ciężarówce, a ponieważ on sam był zakleszczony i nie mógł się oswobodzić, pozostało mu tylko patrzeć, jak ciężarówka odjeżdża, na południe, w kierunku wielkich portów, dokąd wszyscy zmierzali. Profesor Cassou urwał, skinął w stronę sceny, na której pojawiła się kapela, kapela studencka złożona z pięciu ubranych na czarno chłopaków występujących pod nazwą „Why not”.

— A potem? — spytała niecierpliwie Barbara, profesor Cassou zaś powtórzył:

— A potem, no cóż.

Po wojnie zaczęły się poszukiwania, pisali i pisali, uczyli się czekać; mnóstwo osób, które wojna rozdzieliła, chciało się wzajemnie odnaleźć, kiedy zaś dowiedzieli się, że na Atlantyku zatonął niejeden okręt, nie wykluczali, iż również Sophie straciła życie.

— Początkowe przypuszczenie stało się z czasem pewnością — powiedział profesor Cassou i wspominał, że w takim przekonaniu żył prawie dziewięćnaście lat, aż do jesieni, kiedy to w Montrealu odbywała się konferencja, w której miał zaszczyt

wziąć udział jako asystent cybernetyka profesora Servala.

— I wtedy się państwo odnaleźliście? — spytał Henry.

— Nie od razu — odrzekł profesor Cassou — najpierw spotkałem tłumaczkę o nazwisku McFarland. Zaprowadziła mnie do swojej ulubionej restauracji.

Jedli, pili wino, rozmawiali o kanadyjskiej gościnności; zauważył, że kobieta co jakiś czas mierzy go pytającym i rozbawionym wzrokiem i raz po raz sprawdza, która jest godzina. W pewnym momencie przeprosiła go i wyszła zatelefonować, kiedy zaś po godzinie podszedł do stolika jej mąż, wstała i zdołała wypowiedzieć tylko słowa: „Arnold McFarland, mój mąż — Jean Cassou, mój brat”, po czym wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Miała jeszcze ten wisiorek? — spytała Barbara po chwili milczenia. — Tego srebrnego delfina?

— Nie — odrzekł profesor Cassou. — Musiała go zgubić, gdy okręt tonął.

— A więc — powiedział zadowolony Fiodor — jeśli mnie wszystkie znaki na niebie i ziemi nie mylą, zawdzięcza pan odnalezienie siostry ukierunkowanemu przypadkowi — a może był to przypadek konieczny?

— W każdym razie tajemniczy — odparł profesor Cassou, wstał i poklepał Fiodora po plecach; pożądanego go obecności przy innym stoliku, gdzie przy czerwonym winie siedziało kilkoro seniorów.

Nikt nie cieszył się tak bardzo jak Fiodor, gdy paru studentów przedstawiło skecz, który zatytułowali *Zdalne sterowanie*. Wystąpili jako rzemieślnicy, w roboczych ubraniach, przydźwigali cegły, wiadra z zaprawą, dachówkę holenderską i ramy okienne, a także dwie rury odpływowe. Nagle znieruchomieli, a jeden z nich zapowiedział:

— Panie i panowie, obejrzyście za chwilę światową premierę; z pomocą skonstruowanego przez nas urządzenia do zdalnego sterowania zbudujemy na oczach państwa dom.

Odświętnie ubrany mężczyzna z deską rozdzielczą na brzuchu wystąpił do przodu, na sygnał optyczny zastygli w bezruchu murarze zaczęli wykonywać ćwiczenia rozluźniające, a na sygnał akustyczny, który zabrzmiał jak gwizdek, aktorzy mechanicznie przystąpili do sensownych działań. Pracowali zespołowo: jeden przynosił cegły, drugi murał; sterowani sygnałami optycznymi lub akustycznymi, kładli symboliczne rury, brali miarę dla ram okiennych — mężczyzna z deską rozdzielczą przydzielał każdemu stosowne zadania. Wszystko to odbywało się szybko, budziło wspomnienia o dawnych filmach niemych, a kiedy wniesiono belkę wiązania dachowego i symbolicznie ją ustawiono, można było zobaczyć, że prosty dom szeregowy nabiera kształtów.

Nagły błysk na desce rozdzielczej, po którym nastąpił sygnał alarmowy przypominający kwilenie, przerwał naraz sensowny przebieg czynności, a na wymyślanym placu budowy zapanował zabawny bałagan. Mężczyzna z deską rozdzielczą kręcił

czymś, przyśrubowywał coś i rozgniewany uruchamiał różne dźwignie, ale nie udało mu się zapobiec zderzeniom i upadkom aktorów ani temu, że jeden wrzucał zaprawę do rury odpływowej, drugi układał dachówkę pod oknem, i że kielnią walono jak młotem, a piłą ręczną nie piłowano, lecz murowano. Bezsens kwitł. Budowa domu wymknęła się spod kontroli. Chociaż mężczyzna z deską rozdzielczą bardzo starał się zapanować nad organizacją pracy, urządzenie do zdalnego sterowania przestało go słuchać i nie pomagały przekleństwa ani potrząsanie. Wreszcie musiał wyjaśnić, wzruszając ramionami: „Najwyraźniej zdalne sterowanie jest uszkodzone”. Nagrodzono oklaskami jego i aktorów, którzy kłaniali się kilkakrotnie, a potem tak metodycznie posprząтали plac budowy, jakby to wcześniej wyćwiczyli.

— Czy to był twój pomysł, Fiodorze? — spytał Henry.

Fiodor odparł:

— Trochę w tym uczestniczyłem; zyczyłbym sobie tylko, żeby jeszcze lepiej odegrali zamęt spowodowany błędnym przekazywaniem sygnałów.

Podczas gdy studenci wracali do swoich stolików, publiczność ponownie zaczęła bić im brawa, klaszkał także mężczyzna z goździkiem, tylko jego żona patrzyła ponuro, prawie obrażona, i wygłosiła swoje zdanie tak, że zrozumiano je nawet przy sąsiednim stoliku:

— Co za bzdura, mógłbyś mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodziło?

Fiodor pochylił się do przodu, poszukał spojrze-

niem jej wzroku, najwyraźniej gotów uprzejmie wyjaśnić kobiecie sens skeczu, jednak Henry rzeczowo odwiódł go od tego pomysłu:

— Daj spokój, Fiodorze, nie warto.

Zwrócił mu natomiast uwagę na profesora Casou, siedzącego przy stoliku kilku starszych panów, który podniósł kieliszek, aby do nich, młodych, przepić; uznali to za wyróżnienie.

Naraz przez scenę przemknęły wielokolorowe światła i zataczając kręgi oraz przecinając się, jak na zamówienie skupiły się na gitarzyście, ten zaś dał znak kapeli, która z jedynie sobie znanego powodu zaczęła występ od *Love, love, love*. Ten stary numer Beatlesów zabrzmiał na początku nieco melancholijnie, zupełnie tak, jakby chciano odzyskać coś utraconego. Zaraz też na parkiecie pojawiły się pierwsze pary. Również niektórzy seniorzy, sponsorzy i rodzice studentów zaryzykowali marsz na parkiet i tylko mężczyzna z goździkiem nie uległ temu pędowi, bo chociaż żona kilkakrotnie go szturchała, a raz nawet usiłowała poderwać do tańca, ciągle odmawiał.

Z jaką galanterią skłonił się Fiodor przed Barbarą; na te kilka kroków, które dzieliły ich od parkietu, podał jej ramię i skłonił się jeszcze raz, zanim ujął jej rękę. Tańczył poważnie i z pasją, niekiedy zamykał oczy, a gdy je otwierał, spoglądał na Barbarę ze zdumieniem, jakby nie potrafił wyjaśnić sobie przepełniającej go nagle radości. Henry nie spuszczał oczu z tych dwojga, nigdy wcześniej, pomyślał, nie widział swojej siostry tańczącej z większą lekkością, nawet podczas najweselszych uroczy-

stości w Związku Wodniaków. Na wspomnienie słów, jakie wówczas powiedział do Barbary: „Tańczysz jak kajakarka: zanurzenie, wynurzenie”, uśmiechnął się i postanowił, że mimo iż od tamtej chwili upłynęło już sporo czasu, przeprosi za nie siostrę.

Po pierwszym tańcu Fiodor chciał odprowadzić Barbarę do stolika, ona jednak, jak większość par, pozostała na parkiecie, i gdy tak czekali oboje na następny kawałek, Barbara położyła Lagutinowi rękę na ramieniu. Nie mówili ani słowa, milczeli nawet wtedy, gdy skończyli tańczyć *The Girl from Ipanema*. Henry nie potrafił zachowywać się inaczej, tylko gestykulował z uznaniem i zachwytem, towarzyszył im w tańcu, nucąc wraz z nimi melodię i wystukując palcami rytm na blacie stołu; mimo woli sam też zapragnął nagle zatańczyć z Barbarą.

Gdy gitarzysta zapowiedział *Rock around the clock*, kilka par zeszło z parkietu, ale Fiodor i Barbara zostali — chwycili się za ręce, spojrzeli na siebie wyzywającym i dodającym odwagi wzrokiem, odetchnęli głośno i zaczęli od umówionego wcześniej małego skoku. Jak oni wyrzucali stopy, jak z obrotem oddalali się jedno od drugiego, jak, nie patrząc na siebie, szukali się wyciągniętymi rękami i z łatwością znajdowali, i jak Fiodor ją nagle do siebie przyciągał, a potem, pochylając się, szybko brał na plecy, okręcał i opuszczał, uwalniając jednym ruchem, jakby ją odrzucał. Jej radość. Jej wesołość. Już udało się im wzbudzić uznanie i wzmożone zainteresowanie gości siedzących przy stolikach, pokazywano ich sobie, rozmawiano o nich. Nie uszło

uwadze Henry'ego, jak bardzo oboje koncentrują się mimo całej radości; zauważył krótką zapowiedź Fiodora, zobaczył, jak obejmuje nadgarstki Barbary i ciska nią między swoimi szeroko rozstawionymi nogami, wyliczając to jednak tak, że Barbara się zbierała i stawiała na nogach, obdarzając go uśmiechem; zdawała się uszczęśliwiona, iż wszystko się jej udaje. Gdy wreszcie Fiodor swawolnie przykucnął, podparł się rękami pod boki i cudownie zaczął wyrzucać nogi, dał jej znak, by robiła to samo, co on, ale Barbara potrząsnęła przecząco głową, popatrzyła na niego, bez tchu i szczęśliwa, po czym się poddała. Jak nagle Fiodor przerwał taniec, jak lekko się podniósł, by objąć Barbarę ramieniem i poprowadzić do stolika.

— Byliście bardzo dobrzy — pochwalił ich Henry — moglibyście razem występować, naprawdę, ale teraz musicie się czegoś napić.

Podsunał im kieliszki. Ponieważ kieliszek Fiodora był prawie pusty, Barbara podała mu swój, kiedy zaś on pił, Henry spoglądał w stronę sąsiedniego stolika, na mężczyznę z goździkiem, który pochylał się do żony i o czymś z nią szeptał, nie spuszczać oczu z Fiodora. Raptem też kobieta spytała — na tyle głośno, że Henry dobrze zrozumiał jej słowa — skąd nagle bierze się ten odór, ten stajenny smród, jej mąż zaś wciągnął powietrze, zaczął węszyć, po czym stwierdził równie głośno, że cuchnie tu potem i skórą, zaraz się jednak poprawił i dodał:

— Właściwie kozą, ostro cuchnie kozą.

— Ja też tak myślę — powiedziała kobieta —

nagle to powietrze: jak w koziarni; powinniśmy chyba poszukać innego stolika.

Siedząca obok młoda dziewczyna spojrzała na nich ze zdumieniem, gdyż najwyraźniej nie poczuła zmienionego zapachu, w każdym razie nie widziała powodu, by krytycznie pociągać nosem, i z pewnością czekała na to, aby ktoś ją do tego zachęcił.

Fiodor nie zwrócił uwagi na paczkę papierosów, którą podsunął mu Henry, jego twarz znieruchomiała, oczy sprawiały wrażenie nieobecnych. Po chwili — wyraz jego twarzy się nie zmienił — Barbara pomachała mu ręką przed oczami, pytając:

— Hej, Fiodorze, gdzie jesteś, źle się czujesz?

Zamiast odpowiedzieć, Lagutin wstał, zadrżał lekko, przytrzymał się krawędzi stolika i stając w niemal uroczystej postawie, która zaniepokoiła Henry'ego i Barbarę, powiedział:

— Wybaczcie mi, moi przyjaciele.

A potem odszedł. Tylko przez chwilę, z wyrazem całkowitej bezradności, spojrzał na sąsiedni stół, przeszedł obok parkietu i dotarł do profesora Casou, ale nie rozmawiał z nim, tylko skłonił mu się i głównym wyjściem opuścił stołówkę.

Rodzeństwo było pewne, że Fiodor wróci po krótkiej chwili.

— Prawdopodobnie poszedł do toalety — powiedział Henry.

Patrzył jednak na Barbarę tak badawczo i tak długo, aż siostra wreszcie spytała:

— Czy coś się stało z moją twarzą?

— Już dawno nie wyglądałaś tak dobrze — pochwalił ją Henry — właśnie cię na nowo odkrywam.

— Nie opowiadaj bzdur — zachnęła się Barbara — chyba coś knujesz.

— No dobrze — przyznał — ale trzymaj się mocno: chciałbym ci coś zaproponować, po głębokim namyśle chciałbym cię prosić, abyś dała mi szansę u Neffa i Plumbecka, jest mi obojętne, do jakiego działu mnie wsadzisz, z mojego punktu widzenia może to być dział wysyłkowy albo reklamacji; jak wiesz, nie mam szczególnych wymagań.

A ponieważ Barbara popatrzyła na niego zaskoczona, dodał pogodnie:

— Nie muszę nadmieniać, że będę się starał pracować pilnie dla dobra rodziny. No co? Dasz mi taką szansę?

Zdawało się, że siostra powątpiewa w powagę prośby Henry'ego. Poglądziła go po spoczywającej na stole ręce i zapytała zdumiona:

— Naprawdę tego chcesz?

A kiedy powtórnie spytał: „Dasz mi taką szansę?”, skinęła potakująco głową i odparła:

— Zawsze, wiesz przecież. Chyba jeszcze jest czas.

Gdy Barbara obiecała mu następny taniec, wstał i rozejrzał się, a ponieważ nigdzie nie mógł dostrzec Fiodora, przeprosił na chwilę, przespacerował się obok stolików, by rzucić okiem na gości siedzących w rogach sali, następnie zaś wyszedł na korytarz. Obok otwartych okien doszedł aż do szerokich schodów, na których siedzieli studenci ze swoimi dziewczynami, obmacując się wzajemnie; Henry uśmiechnął się do nich. Przed drzwiami toalety natknął się na profesora Cassou; stary naukowiec natychmiast wziął go na bok, a zgadłszy, że Henry wy-

brał się na poszukiwania, zapytał, czy doktorowi Lagutinowi coś się stało, sprawiał dziwne wrażenie, gdyż przeszedł obok niego, jakby był całkiem nieobecny duchem.

— Nie wiem — powiedział Henry — coś jest nie tak, wstał nagle, przeprosił i wyszedł. Takie formalne pożegnanie.

— Wyszedł na dwór — rzekł profesor Cassou — coś jeszcze za nim zawołałem, ale on nawet się nie odwrócił.

Henry podziękował i zszedł po schodach. Wypatrywał Fiodora w ciemnościach, okrążył gmach biblioteki; gdy tylko dostrzegł jakąś samotną postać, natychmiast szedł za nią, ale na koniec spotykało go zawsze rozczarowanie. Stał przez chwilę na trawniku i spoglądał ku rozświetlonym oknom stołówki, gdzie ludzie ponownie zaczęli tańczyć. Pomyślał: „Coś musiało go zranić, głęboko dotknąć, tak, że nie był w stanie wydobyć z siebie słowa; a może tylko kiepsko się poczuł”. Kiedy Henry zauważył, że w portierni rozbłysło światło, przeszedł szybko na drugą stronę i zapukał w szybę. Doktor Lagutin? Tak, był u niego, potwierdził portier, poprosił o wezwanie taksówki, a potem przechadzał się tam i z powrotem, póki nie przyjechała; nie umie powiedzieć, dokąd doktor Lagutin pojechał. I spytał zatroskany:

— Czy coś się stało?

— Nie, nie — powiedział Henry — brak nam go tylko przy stoliku.

Wrócił do stołówki i już od wejścia dał Barbarze znak, przyzywając ją do siebie.

— Znalazłeś go?

— Poczekaj — powiedział Henry, podszedł do sąsiedniego stolika, zmierzył wzrokiem mężczyznę z goździkiem, długo, niezdolnie długo, a potem wy-
palił:

— Jest pan obrzydliwcem, nędznym obrzydliw-
cem.

Ostłupiały mężczyzna podniósł się, szukając od-
powiedzi, ale Henry dodał:

— Zaostrzyć, kogoś takiego jak pan należałoby za-
ostrzyć, a potem wbić jako kołek, kołek w koziarni.

Zdawało się, że mężczyźni przez chwilę odebra-
ło mowę, przełknął ślinę, spojrzął na żonę, w koń-
cu jednak znalazł słowa, by zaprotestować:

— Na co pan sobie pozwala, panie...

— Niech pan zamilknie — powiedział Henry z
groźbą w głosie — bo inaczej dostanie pan w mor-
dę.

Odwrócił się do Barbary i rzekł tylko:

— Chodź.

Milcząc, pociągnął ją za sobą i dopiero gdy zna-
leźli się na dworze — natychmiast skierował jej kro-
ki w stronę parkingu — zrelacjonował siostrze
wszystko, czego się dowiedział, a także to, co już
wcześniej podejrzewał:

— Fiodor pojechał do siebie, do hotelu, bo
gdzieżby indziej? Na pewno jest w Adlerze.

— Może powinniśmy tu na niego poczekać —
zastanawiała się Barbara — może jeszcze wróci.

— Fiodor już tu nie wróci, czuję to, wiem.

— To co robimy?

— Pojedźmy do jego hotelu.

Cofając się, Barbara zawadziła o tablicę z napi-

sem „Zarezerwowane dla grona pedagogicznego”, zaklęła tylko, ale nie wysiadła, a potem jechała tak szybko, że Henry musiał ją parę razy strofować. Kilkakrotnie, zwłaszcza w pobliżu placu dworcowego, zdawało się jej, że rozpoznaje Fiodora wśród przechodniów, i za każdym razem chciała się zatrzymać, ale Henry widział jednak wyraźniej, toteż kazał jej jechać dalej.

Do Adlera zjechali najwyraźniej nowi goście, przed hotelem stały bowiem dwie taksówki; Barbara zaczekała, aż się oddalą, a potem wjechała na chodnik, i oboje wysiedli. Młoda recepcjonistka rozpoznała Henry’ego, skinęła mu uprzejmie głową i poprosiła gestem o chwilę cierpliwości, żeby mogła poświęcić się nowym przybyszom. Byli to zdumiewająco młodzi ludzie, ale dziewczyna zwracała się do nich, używając ich akademickich tytułów, i witała wszystkich po angielsku i francusku. Henry i Barbara usiedli przy małym stoliku za fikusami.

— To są z pewnością goście politechniki — szepnął Henry. — Adler ma podpisaną umowę z tą uczelnią.

Henry nie musiał wyjawiać powodu swojego przybycia, w przerwie dziewczyna podeszła do nich i zakomunikowała, że doktora Lagutina nie ma w pokoju, zajrzał tu tylko na chwilę, poszedł do siebie i zaraz potem opuścił hotel.

— Nie zostawił żadnej wiadomości? — spytała Barbara.

— Nie.

— A kiedy wychodził — spytał Henry — czy miał coś przy sobie, gdy wychodził?

— Jak to? Miał przy sobie torbę, tę, którą zawsze nosi.

— Nic więcej?

— Nie wiem, dlaczego mnie pan o to pyta — zdziwiła się recepcjonistka — ale to jest jedyna odpowiedź, jakiej mogę panu udzielić.

— I nie powiedział, kiedy wróci? — spytała Barbara.

— Nie.

— W porządku — zakończył tę rozmowę Henry; podziękował dziewczynie, położył rękę na plecach Barbary i popchnął ją przed sobą do wyjścia. Po chwili niezdecydowania wsiedli do auta i zapalili papierosy. W padającym z hotelu świetle mogli rozpoznać każdą postać; postanowili czekać, mając pewność, że Fiodor przecież kiedyś wróci. Z początku w milczeniu obserwowali nielicznych ludzi, którzy wchodzili do hotelu albo go opuszczali; mężczyznę, który jeszcze w wejściu doprowadzał do porządku swoje ubranie, parę, która długo się narażdała, a potem jednak postanowiła nie wstępować do hotelu, kogoś prawdopodobnie pijanego, kobietę, która wychodząc, radośnie wymachiwała torebką. Siedzieli w ciszy, obserwowali i czekali.

Im dłużej jednak czekali, tym bardziej byli zmartwieni i zaniepokojeni, nie przestawali więc zadawać sobie pytania, dokąd Fiodor mógł pójść, on, który ledwo zna miasto; przede wszystkim jednak myśleli o jego nagłym pożegnaniu w stołówce. Nie

tylko Henry, również Barbara była przekonana, że pożegnanie nie nastąpiło pod wpływem kaprysu ani wskutek przesytu czy braku ochoty; oboje prawie równocześnie zobaczyli wtedy wyraz twarzy Fiodora, odcień bólu i bezradności.

— Ta nagła rozpacz — powiedziała Barbara — czy ty to też zauważyłeś?

— Słowa — powiedział Henry — tylko te słowa mogły go tak zranić, Fiodor zdaje się ze swoistą nadwrażliwością reagować na słowa. Jeśli wszystkie znaki na ziemi i niebie mnie nie mylą, doszło do niego to, o czym rozmawiało tych dwoje przy sąsiednim stoliku, ta potwora i ten facet z goździkiem.

— W pewnym momencie zaczęli się rozglądać za innym stolikiem — przypomniała sobie Barbara — prawdopodobnie chcieli się przesiąść, jak najdalej od nas.

— Odór koziarni — powiedział Henry — kiedyście po tańcu wrócili do stolika, im wydawało się, że czują smród koziarni, niby mówili to sobie ot tak w powietrze, ale te słowa miały ugodzić.

Henry dotknął ramienia Barbary, skierował jej uwagę na wejście do hotelu, przed którym pojawili się dwaj policjanci i bez wahania weszli do Adlera.

— Chciałbym wiedzieć, czego tam szukają — powiedział.

Na to Barbara odparła w zamyśleniu:

— Chyba nie przyszli tu z powodu Fiodora?

— To mało prawdopodobne — rzekł Henry, a czując jej rosnący niepokój, pogładził ją po rękę. Zdawało mu się, że potrafi zapewnić siostrę, iż ci policjanci chcą tylko zasięgnąć jakichś informacji,

to z pewnością rutynowe zadanie, i że zaraz stamtąd wyjdą. Rzeczywiście, nie trwało długo, a obaj pojawili się znowu w oświetlonym wejściu, weseli, dziwnie weseli, jeden dał drugiemu przyjaznego kuksańca w bok, obaj się śmiali.

— Widzisz — powiedział Henry — nie ma powodu do zmartwienia — a spojrzawszy z ukosa: — Lubisz go, prawda? Mam na myśli Fiodora. Lubisz go?

— Nic się chyba przed tobą nie ukryje.

— Rozumiem to, Barbaro, Fiodor jest naprawdę sympatycznym chłopcem, chciałbym, żebyśmy mogli się częściej spotykać.

Milczeli przez chwilę, a potem Barbara powiedziała:

— W sąsiednim budynku jest biuro podróży, znasz je, kiedyś zasięgałam tam informacji. Połączenie nie jest wcale takie złe.

— Jakie połączenie?

— No więc, z Frankfurtu są regularne loty do Moskwy, a stamtąd kursują do Samary pociągi, przy dobrych połączeniach podróż trwa najwyżej dwa dni.

Zaskoczony, ale również uradowany Henry spytał:

— Więc masz już taki plan?

— Tak — odparła Barbara — na kiedyś, później, a ty obiecałeś mi, że pojedziesz ze mną.

— Fiodor bardziej by się ucieszył, gdybyś pojechała sama.

— Nie sądzę.

Wlepili wzrok w wejście do hotelu, gdyż pojawi-

li się tam dwaj mężczyźni, niemłodzi, na pewno nie studenci, którzy idąc powoli, dyskutowali o czymś gwałtownie. Nagle jednak zatrzymali się jakby zdumieni i podali sobie ręce. Podali sobie ręce, co przez chwilę wyglądało tak, jakby chcieli się objąć, ale nie doszło do tego; komplementując się wzajemnie, weszli do hotelu.

— Pogodzili się — powiedziała Barbara.

— Albo przekonali — uznał Henry i dodał: — Czasem to się udaje, czasem rozsądek zwycięża.

Ponieważ coraz mniej ludzi wychodziło z hotelu albo do niego wchodziło, Henry zaczął się niecierpliwić, zapalił papierosa — miał to być ostatni — potem zaś chciał już położyć kres temu oczekiwaniu; nie wypalił jednak papierosa do końca.

— Zaraz wrócę — powiedział, wysiadł i podążył do Adlera. Na jego widok młoda recepcjonistka uniosła ramiona, ubolewając, że może tylko powiedzieć, iż doktor Lagutin ciągle jeszcze nie wrócił do domu — powiedziała „do domu”. Henry skinął potakująco głową, wiem, wiem, a potem zapytał dziewczynę, czy nie wyświadczyłaby mu pewnej grzeczności. Zapisał swój numer telefonu, podsunął jej kartkę i powiedział:

— Niech pani poprosi doktora Lagutina, żeby do mnie zadzwonił, nawet o późnej porze, będę czekał na jego telefon.

— Z chęcią — powiedziała dziewczyna — jeśli będzie trzeba, przekażę pańskie życzenie nocnemu portierowi.

Henry położył przed nią dwie monety, podziękował i wrócił do auta.

Początkowo Barbara nie chciała przystać na jego decyzję, zamierzała poczekać jeszcze chwilę, wydawało się jej, że nie myli się sądząc, iż Fiodor niebawem wróci, w końcu jednak zgodziła się z bratem:

— Dobrze, pojedźmy do ciebie; chciałabym się trochę położyć.

— Możesz zostać u mnie na noc.

— W takim razie musiałabym uprzedzić mamę.

Henry uśmiechnął się mimo woli.

— Ach, Barbaro — powiedział dobrodusznie — nie chciałbym wiedzieć, jak często mówiłaś to już w ostatnim czasie.

— Taka jest właśnie różnica między nami: od ciebie matka nie oczekuje, żebyś dotrzymywał obietnic.

A przejeżdżając w żółtym tempie obok Adlera, powiedziała:

— Nie bierz mi tego za złe, Henry, ale czasem myślę, że wszystko sobie zanadto ułatwiasz.

— Jak to?

— Żyjesz z dnia na dzień, robisz raz to, raz owo, wszyscy ci wybaczą, jak wybacza się dziecku, miłemu dziecku, przyznaję — w każdym razie matka tak robi.

Po chwili zaś dodała:

— Bez celu, mam na myśli to, że żyjesz bez celu.

— Za to dobrze sobie ze sobą radzę — powiedział Henry i spokojnie zwrócił jej uwagę na to, że wjechała w ulicę jednokierunkową, a teraz już musi jechać nią dalej i przy fontannie skręcić w lewo. Gdy wysiedli na parkingu przy wieżowcu i natężyli ucha, czy nie słyszą czegoś z okien Henry'ego, Bar-

barze zdało się, że usłyszała dźwięk telefonu; jeszcze na korytarzu, biegnąc do mieszkania, oboje mieli wrażenie, że dzwoni telefon, kiedy jednak otwierali drzwi, zamilkł.

— Musisz natychmiast oddzwonić — powiedziała Barbara.

Henry wybrał numer Adlera, a Barbara poznała po wyrazie jego twarzy, że nie zdążyli odebrać telefonu, na który oboje tak czekali.

Podeszła do okna i zasunęła zasłony, natychmiast jednak uchylła je, pozostawiając rozsuniętą szczelinę, i wyrzała na betonowy plac, po którym, pochylając się w obronie przed wiatrem, wlokła się jakaś samotna postać. Z ocienionej strony naprzeciwległego wieżowca zbliżała się druga, obie szły w swoją stronę, jakby były umówione, ale chociaż prawie się musnęły, żadna z nich się zatrzymała.

— Co się tam dzieje na dworze? — spytał Henry.
— Czy ci akrobaci znowu wrócili?

— Tylko dwaj starsi mężczyźni — odparła Barbara — nie ma motocykli.

— Pewnie akrobaci siedzą jeszcze w swojej knajpie — powiedział Henry i postawił colę i rum na ławie, zapraszając Barbarę gestem, by usiadła obok niego. — Jeśli zadzwoni telefon, ty odbierzesz.

— Nie, ty.

Warkot motocykli na dworze kazał im wyteńczyć słuch, Henry stanął przy oknie, rzucił tylko krótkie spojrzenie na zewnątrz i powiedział:

— To Busche wrócił do domu, mój sąsiad, to był jego Harley-Davidson.

— Czy on do nich należy?

— Do kogo?

— No do tamtych, do akrobatów, jak ich nazywasz.

— Nie, Busche jest w porządku, ma pralnię chemiczną, z nim można pogadać.

— A z tymi innymi — spytała Barbara po chwili — próbowałeś już kiedyś z nimi porozmawiać?

— Próbowałem, owszem, próbowałem i na tym się skończyło. Oni nie słuchają, oni po prostu nie umieją słuchać, a jeśli już coś z siebie wydobędą, są to obelgi i groźby; chciałbym wiedzieć, jak oni rozmawiają ze swoimi dziewczynami.

— Ale to przecież nie może dalej tak trwać, żeby człowiek, który chce cię odwiedzić, bał się po zmroku.

— Masz rację: coś musi się zdarzyć, i jestem pewien, że coś się zdarzy, ale bez przemocy.

Jakże szybko Barbara podniosła słuchawkę, gdy zadzwonił telefon, mimo woli odwróciła się do Henry'ego, skinęła, żeby podszedł jak najbliżej, najwyraźniej chciała, by, na ile się da, mógł słuchać razem z nią, a potem przedstawiła się pełnym nazwiskiem i zaczęła mówić z przerwami:

— Tak, dobrze się pan połączył... jest w domu... Proszę poczekać... oddaję... Sam mu pan to za chwilę powie... Słucham?... Rozumiem, przekażę... Dziękuję panu za telefon.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała badawczo na brata.

— Zrozumiałeś?

— Trening, zrozumiałem tylko słowo „trening”, muzyczka w tle była zbyt głośna.

— Mam ci przekazać, że środowy trening się nie odbędzie, dopiero w czwartek.

— Czy ten, kto dzwonił, podał swoje nazwisko?

— Hanno, zrozumiałam Hanno, czy to nie wasz bramkarz?

— Nasz bramkarz, tak, wielki łapacz, on chwyci krążek nawet wtedy, gdy leci na niego z szybkością osiemdziesięciu, a nawet stu kilometrów na godzinę, wyłapie go z powietrza.

Barbara powiedziała na to tylko „Świetnie”, usiadła na tapczanie, a potem wyciągnęła się i leżała z otwartymi oczami.

Henry już od wejścia do biura rzeczy znalezionych poznał, że Paula jest rozeźlona. Przed jej biurkiem stał mężczyzna w modnym nieprzemakalnym płaszczu, z okularami słonecznymi wysoko na włosach; już sama jego postawa zdradzała coś protekcyjnego i żądającego. Henry pomyślał: „To ktoś, kto jest przyzwyczajony, żeby spełniać jego życzenia”. I jak gdyby Paula go o to poprosiła, stanął obok niej i spytał:

— Czy mogę jakoś pomóc?

Paula wskazała na mężczyznę, a potem na formularz wniosku o wszczęcie poszukiwań, na którym leżał długopis, i wyjaśniła, że ten pan uważa za zbyt szybkie wypełnienie tego wniosku. Powiedziała:

— Ten pan mówi, że zgubił pęk kluczy, i ma nadzieję, iż wylądował on u nas i będzie go mógł od razu zabrać.

— Pęk kluczy — powtórzył Henry z westchnie-

niem — znowu — a zwracając się do mężczyzny: — Wielki Boże, jak sobie pomyślę, ile ich nam tu przynoszą: można by sądzić, że zaginięcie sprawia pęk kom kluczcy ogromną przyjemność; w tej chwili leży ich na półce chyba z dziesięć.

— To dobrze — powiedział mężczyzna — w takim razie pokazanie mi ich wszystkich z pewnością nie sprawi panu kłopotu.

Paula postukała paznokciem we wniosek o wszczęcie poszukiwań, a ponieważ Henry zrozumiał to jako znak, powiedział:

— Najpierw musi pan wypełnić ten formularz, niech pan to spokojnie zrobi.

— Ale po co? — spytał rozgniewany mężczyzna.

— Taki panuje u nas zwyczaj — odrzekł Henry, a Paula dodała:

— To jest zgodne z przepisami.

Jakby chcąc pomóc poirytowanemu wnioskodawcy, Henry wziął długopis i z poważną miną zaczął zabawę w pytania, spytał więc:

— Dnia.... zgubiłem następujący przedmiot, a więc — pęk kluczcy?

Wpisał słowa „pęk kluczcy” i pytał dalej:

— Dokąd? Do jakiej stacji docelowej?

— Do Bambergu.

— A więc Bamberg. Czas odjazdu?

— Około dziewiątej.

— To niestety niedokładny czas.

— No więc: godzina ósma pięćdziesiąt siedem.

— Numer pociągu?

— Nie mam pojęcia.

— Nazwa pociągu?

— Czy ja muszę to wiedzieć?

Chociaż Henry widział, że mężczyzna traktuje jego pytania jak impertynencję, wypytywał niewzruszenie dalej i tylko Paula czuła jego z trudem powściągane rozbawienie podczas tego śledztwa. Musiała nad sobą zapanować i zmusić się do zachowania powagi, gdy Henry pytał o przypuszczalne miejsce zgubienia kluczy, a pytał, robiąc znaczące pauzy:

— W pociągu? W wagonie restauracyjnym? Na peronie? W poczekalni? A może przy okienku kasowym?

Mężczyzna potrząsał przecząco głową, w pewnym zaś momencie gwałtownie sięgnął po formularz, przebiegł wzrokiem wydrukowane w nim pytania, przekonawszy się zaś, że Henry istotnie trzyma się urzędowego tekstu, powiedział:

— Doprawdy, można zwariować, skąd ja mam wiedzieć, gdzie zgubiłem klucze? Co to za pytania?

— Skoro pan tego nie wie — powiedział Henry — mógłby pan przynajmniej podzielić się z nami jakimś domniemaniem, bywa, że to naprowadza nas na ślad.

— Jeśli o mnie chodzi, niech pan napisze: na peronie, przy budce telefonicznej na peronie — powiedział mężczyzna — jest tam tylko jedna, zresztą nieczynna.

Henry zapisywał całą odpowiedź, a tymczasem mężczyzna podniósł pełen nadziei wzrok ku Pauli, szukając potwierdzenia słuszności swoich pretensji albo przynajmniej oczekując słów pocieszenia, czegoś w rodzaju: Tak to już u nas jest, możemy tylko

prosić pana o wyrozumiałość, w końcu wszystko to wyłącznie dla pana dobra.

Wydobyto z mężczyzny wszystkie informacje, wymagane we wniosku o wszczęcie poszukiwań, na koniec zaś Henry kazał sobie dokładnie opisać ów pęk kluczy — ich liczbę, znaki szczególne, breloczek — zanotował wszystko, czego się dowiedział i poprosił mężczyznę o podpis. Ten znowu pokręcił głową, nie mogąc najwyraźniej pojąć, że Henry wstaje dopiero teraz, po tym uciążliwym wypytywaniu, i znika między regałami, gdzie cicho pogwizdując, zaczyna szukać i sprawdzać, a zaraz potem przynosi kilka pęków kluczy do wyboru:

— No, które są pańskie?

Mężczyzna bez wahania wziął skórzane etui, potrząsnął nim, aż wypadło kilka kluczy, a oprócz tego mała, masywna sowa i zdjęcie legitymacyjne, nie większe niż znaczek pocztowy, ukazujące pucołowatą dziewczęcą twarz; poza tym na kółeczku do kluczy wisiał łańcuszek, do którego była przymocowana porysowana kula od strzelby myśliwskiej.

— To są moje klucze — powiedział mężczyzna i uznał, że musi dorzucić uwagę: — Dlaczego nie przyniósł ich pan od razu?

Henry poprosił go o te klucze, sprawdził je spokojnie, obrócił w palcach i zaczął przyglądać się sobie:

— Złoto? Jest ze złota?

— Oczywiście — odpowiedział mężczyzna.

— A ten kluczyk z ząbkami?

— Od mojego garażu.

— A ten, ten płaski?

— Od mojego mieszkania w mieście.

— Wobec tego to jest chyba kluczyk od pańskiego samochodu?

— Owszem. A poza tym, ta dziewczynka to moja córka, skoro zaś chciałby pan wiedzieć jeszcze więcej, to nazywa się Angelika i ma sześć lat.

Uwadze Henry'ego nie uszła wysilona ironia, z jaką mężczyzna wygłosił ostatecznie zdanie; udał, że nic nie zauważył, i w takim zamyśleniu obracał kulkę w palcach, iż nie dosłyszał pytania:

— Czy to już panu wystarczy?

Na kolejne pytanie: „Czy mogę teraz dostać swoje klucze?“, Henry nie zareagował, ale przyglądając się kulce, spytał:

— To chyba pamiątka, niezbyt miła, prawda?

— Zgadł pan — powiedział mężczyzna — a jeśli chce pan dokładnie wiedzieć, jest to pamiątka po ostatnim polowaniu, kula trafiła mnie rykoszetem pod lewą łopatką. Tak, a teraz proszę mi oddać klucze, powoli mam tego dosyć.

Spojrząwszy szybko na Paulę, która do niego mrugnęła, Henry podniósł z ubolewaniem ramiona, przeprosił za to żmudne dochodzenie, okazał nawet zrozumienie dla rosnącej niecierpliwości, stwierdził jednak, że nie ma możliwości odstąpienia od ustalonej procedury.

— Bardzo mi przykro — powiedział — naprawdę bardzo mi przykro — i nie zwracając uwagi na irytację mężczyzny, dodał zmartwiony: — Jest nam pan jeszcze winien dowód na to, że te klucze są pańską własnością.

— Dowód na co? — spytał mężczyzna.

A Henry:

— Przekonywający dowód na to, że ten pęk kluczy należy do pana; jak pan wyjaśnił, sowa jest z masywnego złota.

— Niech pan nie żartuje, chyba to, co panu opowiedziałem, wystarczająco dowodzi, iż jestem właścicielem.

— Pańskim zdaniem, ale nie moim — odparł Henry.

— Czy chce pan jakiegoś oświadczenia z mocą przysięgi? A może mamy sprawdzić, czy klucze pasują do mojego auta albo do mojego mieszkania w mieście?

Henry rzucił okiem na kulę, którą obracał między opuszkami palców, i nagle powiedział:

— Jeśli dobrze pana zrozumiałem, pod lewą łopatką, kula trafiła pana rykoszetem pod lewą łopatką.

— Dobrze mnie pan rozumiał.

W tym momencie Henry — w sposób ani przemyślany, ani prowokujący, raczej mimochodem zapytał:

— Czy mógłbym zobaczyć tę bliznę?

Mężczyzna mimo woli podszedł do Henry'ego, mięśnie jego twarzy drżały, szukał słów, by wyrazić swoje zdumienie i oburzenie, a kiedy Henry spokojnie powiedział: „Żadnych więcej dowodów nie będziemy wymagali”, jęknął, rozejrzał się i rozgoryczony zapytał:

— Czy ma pan przełożonego? Chciałbym porozmawiać z pańskim przełożonym, nie przywykłem do takiego traktowania. Pańskie zachowanie jest niesłychane.

Henry nie próbował nawet uspokajać mężczyzny, obojętnie wskazał na biuro, w którym, dobrze widoczny za szklaną szybą, siedział Hannes Harms:

— Tam jest szef.

Na znak Henry'ego Paula podniosła się i poszła do biura; kiedy rozmawiała z Harmsem, oboje wyglądali przez moment na rozbawionych, zbliżając się jednak do oburzonego mężczyzny od razu przybrali poważne miny. Ten nie czekał nawet, żeby szef skończył wygłaszać słowa powitania, tylko rozgorączkowany natychmiast zaczął się uskarżać na sposób, w jaki go tu potraktowano, a zwłaszcza na różne insynuacje; chce zgłosić w tej sprawie zastrzeżenie, chce zaprotestować, w końcu zamierzał tu tylko zgłosić zgubę, a to chyba nie jest powód, aby poddawać go przesłuchaniu albo żądać od niego zdjęcia marynarki i koszuli.

Hannes Harms, którego Paula zdążyła już wtajemniczyć w całą sprawę, chciał teraz osobiście usłyszeć od tego mężczyzny, o co chodzi i co go tak rozgorczyło, nie przerwał mu więc ani razu, ciągle kiwał głową, a kiedy już przyjął skargę do wiadomości, zwrócił się do mężczyzny w te słowa:

— Pan Neff nie pracuje u nas jeszcze zbyt długo, proszę nie brać mu za złe jego gorliwości, a poza tym, jak mi się wydaje, spełniał tylko swój obowiązek.

— Obowiązek? — spytał pogardliwie mężczyzna.
— Obrażanie wnioskodawcy nie wygląda mi na spełnianie obowiązku.

— O czymś pan zapomina — powiedział Harms.
— Wszystko, co tu robimy, wykonujemy starannie,

według sprawdzonych reguł, i wszystko zawsze po to, by chronić dobro ludzi, którzy coś zgubili.

Nie wdając się w rozmowę na ten temat, mężczyzna podszedł szybko do biurka Pauli, chwycił pęk kluczy, podetknął go Harmsowi pod nos i spytał:

— Wobec tego mogę już chyba zabrać swoją własność?

— Niestety, jeszcze nie, niestety, jest nam pan jeszcze winien ostatni dowód.

Mężczyzna spojrzął na Harmsa z niedowierzaniem, zacisnął wargi, nagle zdjął marynarkę i tak wysoko podniósł koszulę, że na kilka sekund odsłonił łopatkę.

— Wystarczy — powiedział Harms — dziękuję panu — po czym dodał rzeczowym tonem: — Może pan zabrać swoją własność.

— Ku mojemu ubolewaniu jeszcze nie — powiedziała Paula — musimy otrzymać ryczałtową opłatę manipulacyjną w wysokości trzydziestu marek.

Mężczyzna osłupiał, a potem roześmiał się szyderczo, z wyrazem pogardy podszedł do biurka Pauli i zapłacił żadaną sumę; następnie bez pożegnania opuścił biuro rzeczy znalezionych.

Paula i Henry oczekiwali bury, patrzyli na Harmsa, który nad czymś rozmyślał, a potem okrążył biurko i wreszcie, jakby chciał nadać swoiste znaczenie temu, co ma do powiedzenia, poprosił ich gestem ręki do swojego biura: tam zatem padną stosowne słowa.

Poszli do biura; ku ich zaskoczeniu Harms zaproponował im krzesło i stółek, ale nie tylko to: postawił na stole termos i filiżanki, po czym popro-

sił Paulę, aby nalała. Kropelki potu połyskiwały w jego siwych włosach ściętych na jeża. Ani słowa wyrzutu; przeszedł po prostu do porządku dziennego nad zachowaniem Henry'ego wobec aroganckiego wnioskodawcy i wyznał, że niedawno dowiedział się czegoś, co spędza mu sen z powiek, dowiedział się tego, jak się wyraził, z góry. W tym momencie Henry zorientował się, do czego Harms robi aluzję, i nie pomylił się, gdyż szef utkwiał w nim wzrok i wspomniął o rozmowie z kierownikiem regionu, serdecznej i szczerzej rozmowie, podczas której został poinformowany, że jedna osoba będzie musiała opuścić tę placówkę.

— Tak, Henry — powiedział — twój wujek dał mi do zrozumienia, że chcesz od nas odejść, przytoczył również twoje argumenty, szlachetne argumenty, muszę to przyznać, ale to, co chcesz w ten sposób osiągnąć, nie ma szans powodzenia: w dziale personalnym mają własne dyrektywy, ludzie muszą wykonywać swoje zadania.

Paula pochyliła się nad stołem.

— Czy to prawda, Henry? Chcesz nas opuścić?

A ponieważ Henry nie odpowiedział od razu, Harms rzekł:

— Chce odejść, żeby Albert mógł zostać.

— Nie możesz nam tego zrobić — powiedziała Paula — sam przecież widzisz, jak bardzo cię potrzebujemy.

Harms zaś dodał:

— Wdrożyłeś się już do pracy, niczego więcej nie musisz się uczyć, nawet od Alberta.

Zrobił pauzę, a następnie zapytał:

— Wiesz, że Albert poszedł na zwolnienie chorobowe?

— Albert?

— Tak, nie jest pewne, czy i kiedy do nas wróci; twój wujek powiedział mi to przez telefon.

— Albert — powiedział Henry, wstał i spojrzał na stojak przed regałami, na którym wisiał tegoż niebieski fartuch, obszerny fartuch z wypchanymi kieszeniami. Nikt nie umiał odpowiedzieć na pytanie, co można by zrobić dla Alberta, teraz i w najbliższym czasie, toteż Henry postanowił w głębi duszy, że najpierw odwiedzi starego Bussmanna.

Zanim wyszli z biura, Paula ułamała kawałek żytniego herbatnika i podsunęła go gilowi, który, usadowiony nieruchomo na żerdzi, nie okazał jednak zainteresowania tym poczęstunkiem.

— On mnie już nie lubi.

— Lubi cię, Paulo, zaczyna się tylko pierzyć, a wtedy traci apetyt.

Między regałami, tam, gdzie na jednej z półek leżały zapomniane książki, a obok kilka aparatów fotograficznych, Henry schwycił Paulę za rękę i zatrzymał ją. Nie zareagowała na jego próbę pocałunku, tylko spojrzała na niego w zadumie i zdaje się, że nawet nie zauważyła ręki, którą położył na jej ramieniu. Zadowolił się tym, Paula zaś poczuła, iż Henry chce jej coś wyznać. Ostrożnie wziął jeden z aparatów z półki, był to drogi aparat: ktoś, kto zapomniał go ze sobą zabrać, musiał się chyba bardzo śpieszyć albo być bezmyślny, uznał Henry. Był pewien, że właściciel wkrótce się po niego zgłosi.

— Jeśli zgłosi się do ciebie, wystarczy, że spytasz

go o ostatnie zdjęcia, już kiedyś wstępnie opracowałem tę sprawę i dałem film do wywołania, zdjęcia są w tej torebce.

Usiadł na zwiniętym nadmuchiwanym materacu, poklepał miejsce obok, zapraszając Paulę, by również usiadła, potem zaś zaczął wyjmować fotografie, jedną po drugiej, i podsuwać jej pod nos:

— Popatrz na to.

Badawczo obejrzała kolorowe zdjęcia, odłożyła je, wzięła do ręki po raz drugi, a wreszcie powiedziała:

— Woda, widzę tylko wodę.

— Musisz przyjrzeć się dokładniej — powiedział Henry — musisz je ze sobą porównać, wtedy coś ci się rozjaśni.

— A co takiego?

— Jeśli ułożysz kilka fotografii obok siebie, wtedy to zobaczysz: fale, fotograf miał za każdym razem na oku tylko fale, ich powstawanie i znikanie, ich zmienną postać.

Ułożył kilka fotografii w szeregu jak karty do gry i w tym momencie Paula to zauważyła: falę z poszarpanym grzbietem, która się rozciągnęła i natychmiast została zalana przez inną: płaski, pokryty pianą jezor liżący plażę, bliski wyschnięcia; zostawiane z tyłu przez holownik rozłożyste fale morskie, na których przysiadła mewa i tańczące, pokryte obwarzankami słońca fale opływające nagą dziewczynkę.

— Popatrz, Paulo: to studium fal, ten fotograf jest może nawet ich miłośnikiem, w każdym razie: jeśli kiedyś zgłosi się do ciebie po swój aparat, bę-

dziesz mogła zadać mu kilka pięknych, podchwytliwych pytań.

— Mam nadzieję, że jednak ty to zrobisz — powiedziała Paula — że zostaniesz u nas i sam to zrobisz.

Pogładziła go przelotnie po policzku, uśmiechnęła się w zamyśleniu i patrząc na fotografię, powiedziała:

— Niczego nie wskórasz; wątpię, czy Albert wróci; panujące tu zasady nie przewidują takiej wymiany. Ale mimo to, Henry, sam fakt, iż spróbowałeś coś zrobić, zasługuje na uznanie. Jestem o kilka lat starsza od ciebie i dlatego pozwolę sobie powiedzieć, że dobry z ciebie chłopak i że wszyscy cię tu bardzo lubimy.

Objął ją bez słowa ramieniem i przyciągnął do siebie, ale kiedy zapowiadało się na to, że za chwilę spadną z materaca, wyprostował się szybko, schwytał ją za rękę i spytał:

— Pojedziemy? Pojedziemy razem nad morze?

Paula potrząsnęła przecząco głową; znowu pogłaskała go po policzku, ale chociaż Henry dostrzegł w jej spojrzeniu szczerą sympatię, to również poczuł, że patrzy na niego z pobłażaniem; poczuł to szczególnie w chwili, gdy powiedziała z uśmiechem na twarzy:

— Jesteś dobrym chłopcem, Henry, bądź również rozsądny. Nie pojedziemy razem.

— Ale dlaczego nie?

— Nie wiem, jak by to się skończyło, jedno wszakże jest pewne: nie skończyłoby się dobrze.

Miała zmęczoną twarz, najwyraźniej bolały ją o-

czy. Wzdychając, podniosła dwa zdjęcia. Przyłożyła jedno do drugiego i powiedziała:

— Fale — a następnie: — Ciebie kiedyś porwała taka fala, opowiadałeś mi o tym, pamiętasz?

— Ależ oczywiście, to było podczas szkolnej wycieczki, na wyspach, nałykałem się wody.

Spojrzał na nią zdumiony, zdumiony, że to pamięta; kiedy usiłował ją pocałować, wstała i przesunęła ręką po jego włosach. Następnie spokojnie zebrała wszystkie fotografie i włożyła je do torebki:

— Proszę, będą ci potrzebne.

Z torebką i aparatem fotograficznym, który wzięła z półki, Paula podeszła do szafy, gdzie przechowywali przedmioty wartościowe. Henry szedł za nią powoli, a potem stanął tak blisko niej, że mógł obserwować jej ruchy, widział, jak coś przesunęła, układa i robi miejsce dla nowych rzeczy. Nie śmiał jej dotknąć, a kiedy się odwróciła, uśmiechnął się zażenowany, jakby przyłapany na gorącym uczynku. Paula poprosiła go o papierosa. Podając jej ogień, zapytał:

— Chciałabyś, żebym tu został?

— Oczywiście — powiedziała Paula i dodała pogodnie: — Nie ma tu nikogo, przy kim zguby czułyby się tak dobrze, jak przy tobie. Tu jest twoje miejsce.

— A przy tym, Paulo, przy tym sam wydaję się sobie niekiedy zgubą.

— Ale i tak zabawną — powiedziała Paula, a po krótkim namyśle: — Co myślisz o tym, żebym zaprosiła zgubę — Henry'ego — na małże? Tym razem ja płacę.

— Zgoda, cieszę się, i pomyślę, co zrobimy później.

— Co masz na myśli, mówiąc „później”?

— Później wszystko będzie możliwe.

Paula zaśmiała się i rzekła:

— Wiesz, Henry, gdyby ktoś nas podsłuchiwał, na pewno przypominałoby mu to rozmowę dzieci.

— I co z tego? Rozmowy dzieci trzeba traktować poważnie.

Dzwonek wezwał ich do okienka, gdzie wydawali rzeczy znalezione. Paula powiedziała tylko:

— Interesanci.

Henry zaś wzruszył ramionami i posłusznie poczłapał do okienka.

Pochylony nad kierownicą listonosz poprowadził swój rower na wybetonowany plac, odstawił go obok hydrantu i otworzył wypchaną torbę, którą wcześniej przypiął do bagażnika. Posortowane, zapakowane i spięte gumkami listy leżały w torbie w poręcznych paczuszkach, ułożone według numerów domów. Listonosz znał wszystkie numery wieżowców, znał również wielu adresatów w swoim rejonie, którzy nazywali tego niskiego, zawsze dobrze usposobionego Nigeryjczyka „Joe”, tak, jak sam chciał, by go nazywano: „Dzisiaj Joe przynosi radosną pocztę”.

Jakże ochoczo i dokładnie odbił piłkę, którą jakiś chłopiec zagrał do niego, i jak się ucieszył na widok Henry’ego, zmierzającego z plastikowymi torbami w rękach do swojej klatki schodowej.

Henry otworzył drzwi i pozwolił wejść Joemu, ten zaś natychmiast zaczął karmić skrzynki kilkorga mieszkańców pocztą i reklamami; w pewnym momencie podniósł triumfująco list lotniczy, przyzwał Henry'ego skinieniem i wskazał na znaczek z dwoma pieszczącymi się lampartami.

— Afryka — powiedział — Namibia, wielu ludzi przesyła Joemu pozdrowienia.

Henry skinął mu głową i wszedł do swojego mieszkania stwierdzając, że drzwi nie są zamknięte.

Przy jego biurku siedziała Barbara. Nie wstała, gdy wszedł, spozjrzała tylko na niego z ulgą i mruknęła:

— Wreszcie.

Na pytanie zaś: „Co ty tu robisz?”, odparła:

— Czekam na ciebie.

Henry ujął jej dłonie — wiecznie zimne dłonie — i zaczął pocierać, aby je ogrzać. Ale Barbara nie uśmiechnęła się do niego ani mu nie podziękowała.

— Masz jakieś wieści o Fiodorze?

Skinęła potakująco głową i po chwili opowiedziała, że była na politechnice i dotarła aż do sekretariatu rektora.

— Rozmawiałam z jego referentem i sekretarką, Fiodor poprosił o urlop, podobno musiał pilnie pojechać do domu.

— Nie wierzę w to.

— Musisz uwierzyć, oficjalna wersja brzmi: Doktor Lagutin złożył podanie o możliwość przerwania pracy i zostało ono rozpatrzone pozytywnie.

— Czy to znaczy, że już wyjechał?

— Z politechniki pojechałam do Adlera — opowiadała Barbara — tam potwierdzono, że wyjechał.

— I nic nie zostawił? Ani słowa? Ani znaku?

Barbara podała mu otwartą kopertę:

— Masz, zostawił to dla nas w recepcji, przeczytaj tylko to zdanie, ono mówi wszystko.

Henry przeczytał: „Strzałę, która cię ugodziła, możesz wyrwać, ale słowa utkwia w tobie na zawsze”.

W kolejnym zdaniu Fiodor obiecywał jeszcze, że codziennie będzie pił z jednej z filiżanek podarowanych mu przez Barbarę i zawsze będzie stawiał drugą filiżankę na znak oczekiwania.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, unikając wzajemnie swojego wzroku; nie uszło uwagi Henry’ego, jak bardzo drży ręka Barbary. Oboje wiedzieli, że nie udałoby się im zmienić decyzji Fiodora, nie wierzyli też w jego gotowość do powrotu, choćby nawet na ich zaproszenie.

Barbara poszła do kuchni, wróciła z dwiema szklankami i butelką coli, ale zanim postawiła wszystko na stole, stanęła przy oknie i wyrzała na plac.

— Henry, chodź tu, prędko — wyszeptała; nie zawołała, tylko wyszeptała, on zaś podszedł do niej i w mgnieniu oka pojął, co dzieje się na dworze.

Okrążyli go, pięciu młodych ludzi na motocyklach okrążyło Joego, zacieśnili krąg i złośliwie jechali wprost na niego, a kiedy listonosz, trzymając oburącz torbę, usiłował wymknąć się przez lukę, śmiejąc się podążyli za nim i odcięli mu drogę.

— To Joe — powiedział Henry — nasz listonosz.

Zaczęły padać ciosy, niezbyt mocne; ciosy, wymierzane w Joego przez jadących tuż obok niego motocyklistów; jeden z nich próbował wyrwać mu torbę z listami, ale Joe trzymał ją mocno obiema rękami, mimo to podczas szarpaniny kilka listów wypadło i rozwiął je wiatr. Zrozpaczony Joe pobiegł za nimi, aby je pozbierać, przydeptywał je, w pewnym momencie upuścił torbę, a może to napastnicy wytrącili mu ją z rąk, przy czym dwóch z nich natychmiast zawróciło — przejechali torbę i triumfalnie wyrzucili ręce do góry. Wtedy Joe postanowił bronić własnym ciałem tego, co zostało mu powierzone; położył się na torbie, przywarł twarzą do ziemi i czekał bez ruchu.

— Wezwać policję? — spytała Barbara, a po chwili spytała jeszcze raz: — No, powiedz, wezwać policję?

Henry nie odpowiadał, wlepił tylko wzrok w plac, zbyt długo, jak zdawało się Barbarze, naraz jednak odsunął ją na bok i bez słowa wyszedł z pokoju. Przechodząc, chwycił kij hokejowy z inicjałami E. S. Barbara usłyszała, jak zdecydowanym krokiem schodzi po schodach, a w chwilę potem zobaczyła go na skraju placu, gdzie, oceniwszy krótko sytuację, ruszył w stronę Joego, który nadal leżał na torbie z listami.

Chociaż dwu z motocyklistów podjeżdżało do niego bardzo powoli, Henry szedł dalej swoją drogą. Ich szydercze spojrzenia. Ryk silników. Henry nie rozumiał, co motocykliści do niego wykrzykują. Kiedy otrzymał cios w plecy, odwrócił się i w obronie podniósł kij hokejowy, zachęcając napastnika:

— No, chodź, spróbuj jeszcze raz.

Tamten jednak zaśmiał się i zawrócił, ale zatoczył tylko łuk i znów ruszył w kierunku Joego.

Joe siedział teraz w kucki obok torby z listami i najwyraźniej zastanawiał się, dokąd ma uciekać; w jednej ręce trzymał kilka podniesionych z ziemi listów, które wyciągnął ku Henry'emu ze słowami:

— Proszę, szefie, Joe uratował te listy.

Kłęcząc, Henry wziął od niego listy, wepchnął je do torby pocztowej, a następnie się poderwał. Znowu któryś z akrobatów jechał wprost na niego, nie dbale wlokąc nogi po ziemi, nagle jednak poderwał maszynę tak wysoko, że przednie koło, jakby grożąc, stanęło dęba; Henry stracił motocyklistę z siodłka. Oburącz wyprowadził kij i trafił napastnika w kark; stojąca przy oknie Barbara nie była w stanie dostrzec, gdzie padł cios, zobaczyła tylko, że trafiony kuli się w sobie i spada z motocykla, który wyślizguje się spod niego.

— Biegnij — zawołał Henry do Joego — biegnij pod „dwa A”, tam ci ktoś otworzy.

Joe posłuchał, wyprostował się, podniósł torbę z listami, ale motocykliści znów odcięli mu drogę i zaczęli jechać wprost na niego tak, że musiał się wycofać i poszukać oparcia w Henrym. Kiedy tak stali ramię w ramię, Barbara przez chwilę poczuła radość, poruszyło ją, jak ci dwaj tam na dworze wzajemnie zapewniają sobie ochronę, jak mając do siebie zaufanie, oczekują napastników. Gotowy do uderzenia Henry trzymał kij hokejowy; jednego z akrobatów, który podjechał zbyt blisko, trafił w rękę i zobaczył, jak ten się gwałtownie oddala, robi szero-

ki łuk, po chwili jednak znów podjeżdża. Henry był pewien, że uda mu się uchylić w ostatnim momencie, dlatego też nie zszedł mu z drogi, tylko zdecydowanie stał w miejscu.

Wyglądająca przez okno Barbara krzyknęła, gdy przewrócili Henry'ego, zobaczyła, jak brat upada, zobaczyła też, jak przejeżdżający obok motocykliści go kopią, a on usiłuje pochwycić kij hokejowy, leżący prawie w zasięgu jego ręki. Zadzwoiła na policję. Opowiedziała o całym zajściu. Podała adres.

Zanim jeszcze opuściła mieszkanie, podeszła do okna i zobaczyła całkiem inne miejsce, a może raczej całkiem odmienną sytuację: wprawdzie bowiem otoczeni przez motocykle Henry i Joe nadal siedzieli na ziemi, lecz z różnych stron zbliżało się ku nim coraz więcej mężczyzn; przybywali z małych sklepików leżących naprzeciw, z klatek schodowych w blokach i z dwu parkujących ciężarówek, nawet z wykopu wyszli dwaj robotnicy, którzy chwycili za łopaty i przyłączyli się do innych. Bez pośpiechu, spokojnie i pewni swej przewagi, ruszyli w stronę pierścienia zamkniętego wokół obu mężczyzn; Barbara zobaczyła jeszcze, jak zderzają się ze sobą. Nie odczekując, nie uprzedzając groźbą ani żadnym ostrzeżeniem, nawet nie oszacowali wstępnie i nie wymierzili odległości; jakby podążali za jakimś przymusem lub poleceniem, które wreszcie musieli wykonać, zderzyli się ze sobą, nieuchronnie.

Druga maszyna przewróciła się i leżała z pracującym silnikiem, a jej kulejący kierowca próbował uciekać. Postaci zakleszczyły się i zbiły w grudę na ziemi, a kto usiłował zbiec, miał za sobą od razu

dwu prześladowców. Nad głowami pojawiła się łopata i uderzyła. Jakiś motocykl zakręcił karkołomnie, zatrzymał się przed rannym, któremu udało się wdrapać na siodełko; skądś padł cios, więc ranny znów padł na ziemię.

Kiedy Barbara pochyliła się nad Henrym, pomagając mu wstać, w pobliżu ucichł odgłos motocykli, ryk ostatniej maszyny zamilkł w oddali.

— Możesz iść? — spytała Barbara.

— Spróbuję — powiedział Henry i podpierając się rękami o ziemię, uklęknął i zastygł w bezruchu, Joe przysunął się do niego i podał mu ramię. Jeden ze stojących w kole mężczyzn schwycił Henry'ego i postawił na nogi, dopytując się troskliwie, dokąd ma go zaprowadzić. Henry nie od razu odpowiedział, wziął się pod boki, zrobił w miejscu kilka kroków na próbę i spojrzał w kierunku, gdzie zniknęły motocykle.

— Nie wrócą już, szefie — powiedział Joe — dzisiaj dostali nauczkę.

— Dopilnuj swoich listów — rzekł Henry, uśmiechając się do niego, po czym poprosił Barbarę, aby zaprowadziła go do domu.

Barbara wzięła brata pod rękę; wszyscy, którzy stali dokoła, zwrócili się w ich stronę. Kiedy już było wiadomo, dokąd zmierzają, krąg się rozwarł, a z najwyższych okien wieżowców wyglądało to tak, jakby Barbara i Henry szli przez szpaler. Na placu ich ruchy uległy spowolnieniu, raz musieli przystanąć; Henry stał niepewnie, najwyraźniej nie miał siły iść dalej. Ale wtedy Joe przyniósł kij hokejowy,

który Henry wykorzystał jako podpórkę i pozwolił Barbarze zaprowadzić się do domu.

Mimo nalegań siostry nie położył się, tylko wziął krzesło i usiadł przy oknie.

— Stłuczenia — powiedział — nic więcej.

Barbara poszła do łazienki; nie domykając drzwi, stanęła przed lustrem i badawczo zaczęła oglądać w nim twarz; Henry widział, jak ręką nabiera wody i chłodzi policzki.

Przysunął drugie krzesło do okna i zawołał siostrę do siebie:

— Chodź, zobacz to.

Siedząc obok siebie przy oknie, patrzyli na plac, gdzie stały teraz dwa radiowozy, otoczone ludźmi, którzy nie mogli odejść i byli wypytywani przez policjantów albo sami zgłaszali się na świadków. Jak się uzupełniali, jak wpadali sobie w słowo. Jak to wskazywali różne miejsca placu — tutaj, tutaj — i sugerowali kierunek, w którym udali się ci, co mogli jeszcze uciekać. Policjantów nie dziwił widok świadków gotowych udzielać informacji, jeden z funkcjonariuszy robił notatki.

Po odjeździe radiowozów ludzie zaczęli się powoli rozchodzić, szli pojedynczo i w grupkach, od czasu do czasu niektórzy przystawali, odwracali się albo spoglądali na drugą stronę ku oknom wieżowca. Już niebawem plac należał do wiejącego bez przerwy wiatru, który oczyścił go z papierów, liści i wyrzuconych pudełek po papierosach, a teraz wywijał białą plastikową torbę.

Jakby dreszcz go przeszył, Henry uniósł ramio-

na i westchnął. Zatrokana Barbara zerkała na niego z boku, a gdy ich spojrzenia się spotkały, skinęła mu głową i spytała:

— Lepiej się czujesz?

— Tak — potwierdził Henry — teraz już lepiej.

Barbara wstała, chciała podejść do telefonu, zadzwonić do biura rzeczy znalezionych, aby poinformować, że Henry przyjdzie później, ale on schwytał ją za ramię i przyciągnął z powrotem na krzesło.

— Zostań tu, a ja pójde jeszcze do biura, nie chciałbym zostawiać ich samych; kto wie, co tam się znowu zdarzyło.

Barbara spojrzała na niego zaskoczona i spytała:

— Zmieniłeś zdanie?

— Coś zrozumiałem.

— Zrobię herbatę — powiedziała Barbara i zniknęła w kuchni.

Słyszał, jak siostra nalewa wodę do czajnika, a potem włącza radio. *Summertime*. Henry lubił rozświetloną słońcem elegijność tej piosenki; mimo woli zaczął nucić melodię, urwał jednak słysząc, że i Barbara ją nuci, nie bezwiednie i po prostu pod nosem, lecz tak, jakby chciała dotrzeć do niego i obudzić w nim jakieś wspomnienie. Później usłyszał, że stawia naczynia na tacy, wyjmuje cukiernicę z kredensu i zdecydowanymi cięciami kroi cytrynę. Henry uprzątnął już połowę stołu i opróżnił przepelnioną popielniczkę, a robiąc to, myślał natrętnie o Fiodorze, myślał: „Za wcześnie, Fiodorze, za wcześnie nas opuściłeś”. Chciał wziąć tacę od Barbary, ale nagły ból biodra uniemożliwił mu ja-

kikolwiek ruch, więc oparty o stół, przyglądał się tylko jak siostra rozstawia filiżanki.

— Herbata musi jeszcze naciągnąć — powiedziała, odwróciła się do okna i wyjrzała na plac. Na pytanie Henry'ego: „Dzieje się tam coś?”, odparła:

— Cisza, jest cicho i spokojnie; chciałabym, żeby Fiodor był teraz tutaj.

— Napiszesz do niego.

— Tak, Henry, napiszę do niego, wkrótce.

Hannes Harms już go oczekiwał. Przywitał Henry'ego przelotnym uściskiem dłoni i poprosił do swojego biura, gdzie wskazał mu krzesło dla petentów:

— Usiądź, musimy porozmawiać.

Szef poczęstował go papierosem. Wahając się i zwlekając dowiódł, jak trudno mu zacząć, po chwili jednak powiedział:

— Albert już chyba nie wróci. Udar. Dowiedziałem się wczoraj.

— Już nigdy nie wróci? — spytał Henry.

— Tak sądzę.

— Możemy go odwiedzić?

— Powiadomią mnie.

— Może wszystko dobrze się skończy — powiedział Henry — mój wujek też miał udar, już trzy lata temu, a potem wrócił do pracy.

— Miejmy nadzieję, że Albertowi też się uda.

Najwyraźniej Harms chciał powiedzieć jeszcze coś więcej, ale spojrzawszy w dół na Paulę, wstał i skierował uwagę Henry'ego na dwie dziewczynki

stojące przed jej biurkiem, zakłopotane i świadome winy.

— Paula do nas macha.

— Wobec tego zejdźmy do niej.

Paula znała imiona tych dziewczynek, które trzymały się blisko siebie; pokazała na Margrit i powiedziała:

— To jest Margrit — po czym pokazała na Annę i rzekła:

— A to jest Anna.

I zanim jeszcze Henry poprosił dziewczynki, by podążyły za nim i zgłosiły zgubę, Paula wyjaśniła, że to nauczycielka poradziła im zapytać w biurze rzeczy znalezionych, w dworcowym biurze rzeczy znalezionych; Anna jest nieszczęśliwa, bo zgubiła swój flet.

— Taak — powiedział Henry — a więc zgubiłaś flet; zgubiłaś czy zostawiłaś przez zapomnienie?

— W pociągu — odparła Anna — byliśmy z klasą na wycieczce, wędrowaliśmy po łąkach.

— W pociągu Anna jeszcze grała — powiedziała Margrit — w drodze powrotnej, tak.

— W takim razie byliście również w Lüneburgu — domyślił się Harms, na co Anna odpowiedziała:

— W Lüneburgu mieliśmy przesiadkę; wszystko odbyło się tak szybko, że pewnie zostawiłam flet gdzieś na siedzeniu w przedziale.

— Matthes przyniósł nam jakiś — odezwała się Paula — wpisałam go już do rejestru; leży wśród zabawek.

Henry zniknął pośród regałów, dziewczynki coś między sobą szeptały, a kiedy znów się pojawił, An-

na wybiegła mu naprzeciw: natychmiast rozpoznała flet, który Henry trzymał w ręce.

— Czy to rzeczywiście twój instrument? — spytał.

— Dostałam go na urodziny — wyjaśniła Anna, a Margrit dodała:

— Byłam przy tym.

— Dobrze — rzekł Henry — wobec tego możesz nam z pewnością coś zagrać, prawda?

— Nie wiem, co.

— Zagraj po prostu to samo, co grałaś w pociągu w drodze powrotnej.

Anna zastanowiła się, poszeptwała znów ze swoją przyjaciółką, a następnie poważnie zapytała:

— Czy jeśli zagram, to odzyskam flet?

— Odzyskasz go.

— Zgoda — powiedziała Anna — zagram najpierw *Próbnny lot*.

— Co to jest *Próbnny lot*? — spytał Harms.

— No więc, jest tam mały ptaszek, który jeszcze nigdy nie opuszczał gniazda, jego mama wabi go, żeby przyfrunął do niej, na następną gałąź; mama wabi go co chwila, ale on się boi. W końcu jednak próbuje i jest tak zachwycony, że nie ląduje na gałęzi, tylko swawolnie fruwa dookoła i chce jej pokazać, ile mu to sprawia radości. Lądując fika koziółka.

— No to posłuchajmy — poprosił Henry.

Anna przytknęła flet do ust, a wszyscy obecni w biurze stali przezywając to, co przedstawiała im dziewczynka: drzewo, gniazdo, starszego, wabiącego ptaka na gałęzi.

— Czy mogę teraz dostać flet?

— Możesz — powiedział Harms — możesz i powinnaś wiedzieć, że słuchaliśmy cię z wielką przyjemnością. Tylko musisz nam jeszcze coś podpisać.

Zwróciwszy się zaś do Pauli, rzekł:

— My zrezygnujemy z opłaty manipulacyjnej, a ty z honorarium za występ artystyczny, zgoda?

Henry pogroził jej wesoło palcem:

— Nigdy więcej nie zapominaj tego pięknego fletu.

— Na pewno nie, obiecuję.

Obie dziewczynki pożegnały się poważnie, ale już na schodach zaczęły szeptać między sobą i chichotać. Zobaczywszy to, Henry powiedział:

— Tacy gubiący nam się podobają, gubiący, którzy dbają o naszą rozrywkę.

Kiedy Paula zaczęła uzupełniać spisy potrzebne na następną licytację, Harms ponownie wskazał na biuro i z uwagą: „Henry, jeszcze nie skończyliśmy”, poszedł przodem; po twarzy szefa, po jej zamyślnym wyrazie, który zniknął dopiero wtedy, gdy siedzieli już naprzeciw siebie, było widać, że szef chce omówić jakieś ważne sprawy.

— Nie wiem, Henry, czy wiesz, że zgodnie z planem zatrudnienia mam swojego zastępcę; do tej pory był nim Albert. Ale nie wiemy, czy Albert do nas wróci, a jeśli nawet, to czy będzie mógł lub chciał pełnić tę funkcję. Ponieważ jednak w najbliższym czasie będę musiał odbyć kilka podróży — podróży służbowych, chodzi o współpracę różnych biur rzeczy znalezionych — musimy tu być obsadzeni zgodnie z planem — chyba to rozumiesz.

— Ależ oczywiście.

— To dobrze, Henry, w czasie mojej nieobecności będziesz mnie zastępował, całkiem oficjalnie. Zostaniesz moim zastępcą. Postanowiliśmy to i poinformujemy o tym dział personalny.

Henry patrzył na szefa osłupiałym wzrokiem, machnął przecząco ręką, wstał i zapytał:

— A Paula? Ona przecież jest tu o wiele dłużej, ma większe prawo.

— To Paula wysunęła twoją kandydaturę — odparł Harms.

— Paula?

— Uznała, że jesteś najlepszym pracownikiem, jakiego w ostatnich czasach mieliśmy w biurze, a ja podzielałam jej opinię. Długo o tobie rozmawialiśmy.

— Paula wysunęła moją kandydaturę? — powtórzył Henry niedowierzająco.

— Ceni twoją pracę — powiedział Harms — a myślę też, że cię lubi.

Henry podszedł do okna i spojrzał w dół ku Pauli, która, siedząc nad swoimi wykazami, nie odwzajemniła jego spojrzenia, na co miał nadzieję; usłyszał, że Harms zadaje mu jakieś pytanie, ale jakby go nie zrozumiał i czekał, że szef zada je po raz wtóry.

— No to co, Henry, jak będzie? Chcę napisać do działu personalnego, przyjmujesz naszą propozycję?

A ponieważ Henry milczał, Harms dodał:

— Nie pożałujesz tego. Aby wspiąć się wyżej, potrzeba niekiedy trampoliny — jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Henry potrząsnął przecząco głową. Podziękował i oświadczył:

— Cieszę się, że jesteście zadowoleni z mojej pracy. Ale wspinanie się — nie zależy mi na tym, żeby wspiąć się wyżej, chętnie zostawię to innym.

— Dobrze — powiedział Harms — już kiedyś mi to powiedziałeś, wówczas, gdy przyszedłeś tu po raz pierwszy; skoro przeszkadza ci słowo „wspiąć się”, nazwijmy to inaczej, nazwijmy to „zmieniać”; czy od czasu do czasu nie pragniesz zmiany? Twój wujek na pewno nie miałby nic przeciw temu.

— Być może, ale mnie się podoba tak, jak jest, nie interesuje mnie praca w administracji, a jak bardzo ona panu doskwiera, widzę to po papierach leżących na pańskim biurku.

— Ach, Henry, wobec tego zdradź mi, co ci się tutaj tak bardzo podoba?

— Nie wie pan? Pan ze swoim długoletnim doświadczeniem? A więc to, co mi się podoba... a nawet więcej niż podoba... to codzienne spotkania z osobami, które coś gubią, z ludźmi, którzy zgłaszają nam swoje zguby. Nigdy nie myślałem o tym, co ludzie zostawiają, o czym zapominają albo co gubią na terenie dworca. I nigdy nie wierzyłem, że można ich dobrze poznać dopiero wtedy, kiedy pojawiają się tutaj, aby podpisać wniosek o wszczęcie poszukiwań; to biadolenie, te sprzeczki, te wyrzuty wobec samych siebie. I ta radość, gdy zaświta nadzieja i gdy mogę ich pocieszyć. Czasem, kiedy uda mi się pomóc jakiemuś wnioskodawcy w odzyskaniu jego własności, jestem nie mniej szczęśliwy niż on sam.

Hannes Harms roześmiał się, przemaszerował w zamyśleniu dookoła swojego biurka, a potem podszedł do Henry'ego i powiedział spokojnym głosem:

— Kiedy się tak ciebie słucha, mój chłopcze, można utwierdzić się w słuszności swojego wyboru, czuję to nawet ja po tych wszystkich latach.

Słyszając jakiś hałas, obaj spojrzeli w kierunku okienka wydawania rzeczy znalezionych, sokista Matthes przyniósł tam właśnie jakąś zgubę, nieforemną, kolorowo pomalowaną, która gdy chciał ją odstawić, upadła na ziemię.

— Co to jest? — spytał Henry, na co Harms odparł rzeczowo:

— Przecież widzisz, że to leżak, szczególna wersja, dwuosobowa.

— Mój Boże, jak można o czymś takim zapomnieć?

— Już kiedyś zadałeś mi takie pytanie — przypomniał Harms — w odniesieniu do mojego małego Piusa, pamiętasz?

A po chwili dodał:

— Powoli powinienesz przestać się dziwić, ale to jeszcze nastąpi, na pewno jeszcze nastąpi.

Patrząc w dół ku Matthesowi, który, najwyraźniej w dobrym humorze, rozstawił leżak, żeby na próbę położyć się przed biurkiem Pauli, Harms spytał:

— No to co, Henry, jak to z nami będzie, przyjmiesz stanowisko, które ci proponujemy?

— Jeśli o mnie chodzi — powiedział Henry — jeśli o mnie chodzi, wołałbym, żeby zostało tak, jak jest, przynajmniej na razie.

Wzruszył ramionami i zaczął rozważać, czy nie poprosić szefa o wybaczenie z powodu podjęcia takiej decyzji, zaniechał tego jednak i uśmiechnął się pod nosem na widok sokisty, który najwyraźniej znalazł najwygodniejszą dla siebie pozycję.

— O czym myślisz, Henry?

— Myślę już o człowieku, który zgubił ten leżak, o wnioskodawcy, i sądzę, że będzie miał trudności z udowodnieniem, iż że ten leżak jest jego własnością: poleżeć na próbę — to chyba nie wystarczy.

— Na pewno wpadniesz na jakiś pomysł — powiedział Harms — jeszcze nigdy mnie nie zawiodłeś.

Życzliwie skinął głową Henry'emu, pokiwał nią także sam sobie, zupełnie tak, jakby teraz już wystarczająco dużo wiedział o Henrym, albo przynajmniej to, co, jak mu się wydawało, powinien wiedzieć.

Przekład „Biura rzeczy znalezionych” Siegfrieda Lenza powstał podczas mojego pobytu w Europäisches Übersetzer-Kollegium w Straelen, który mógł dojść do skutku dzięki stypendium fundacji Robert Bosch-Stiftung. Obu instytucjom pragnę w tym miejscu serdecznie podziękować.

Sława Lisiecka